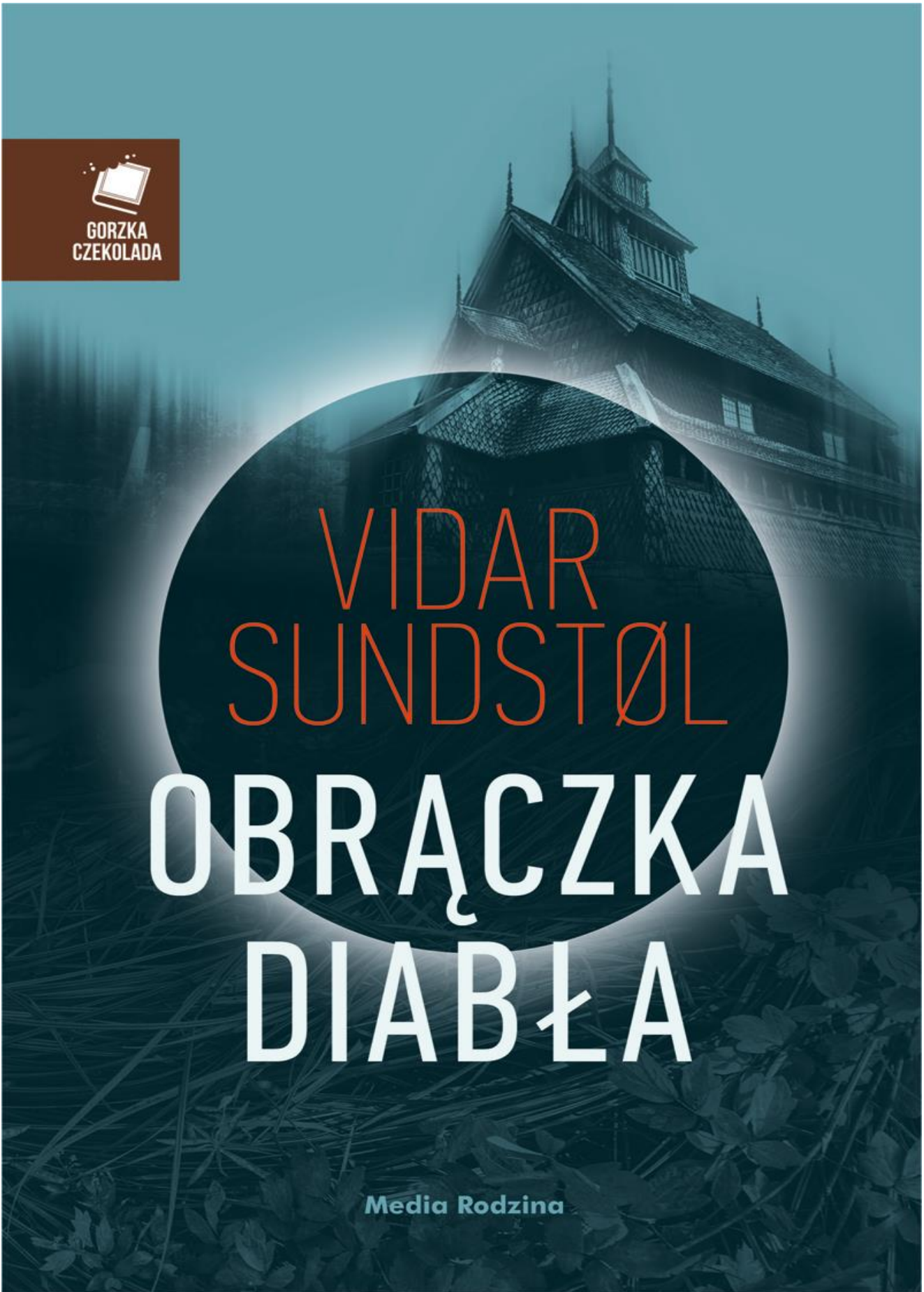




GORZKA
CZEKOLADA



VIDAR
SUNDSTØL

OBRĄCZKA
DIABŁA

Media Rodzina

VIDAR
SUNDSTØL
**OBRĄCZKA
DIABŁA**

Tłumaczyła Katarzyna Tunkiel

Media Rodzina

PROLOG

SPOMIĘDZY PNI sosen z wolna wylania się procesja postaci w pelerynach. Słysząc cichy szmer wielu głosów. W środku pochodu cztery osoby niosą osłoniętą niewielkim baldachimem platformę przymocowaną do dwóch długich drągów, które spoczywają im na ramionach – coś w rodzaju lektyki. Pod baldachimem stoi drewniana figura mężczyzny w wysokim, spiczastym nakryciu głowy.

Nieduże mokradło otoczone jest kępami wrzosów. Z trzech stron górują nad nimi rozmieszczone gdzieniegdzie sosny. Z czwartej wyrasta łagodny pagórek. Pierwsze promienie słońca ciepło oświetlają widoczne nań korony drzew, ale mokradło nadal spowija cień.

Na dźwięk czyjegoś głosu postacie w pelerynach zaczynają formować szereg. Z przodu stoi osoba, na której zawołanie wszyscy milkną. Głos należy do mężczyzny. Poza tym bezkształtne okrycia nie zdradzają płci. Kaptury zasłaniają twarze.

Korowód rusza, uczestnicy zaczynają śpiewać. Pieśń brzmi, jakby powstała tu i teraz. Jakby zlewała się z podmokłą ziemią. Z rumowiskiem granitów pod pagórkiem. Z szemrzącą wodą potoku. Jakby nie dało jej się śpiewać gdzie indziej.

Każdy z uczestników pochodu opiera ręce na ramionach poprzedzającej osoby, z wyjątkiem czwórki niosącej drewnianą figurę. Nie są już pojedynczymi jednostkami, ale większym organizmem o wielu członkach.

Dlatego nic się nie dzieje, kiedy okrągła klamra spinająca kołnierz peleryny obluzowuje się i spada na ziemię. Nikt nie woła. Nikt nie przystaje i nie zaczyna szukać. Pieśń rozbrzmiewa dalej. Ruch trwa dalej. Stopy wdeptują piękną klamrę z dwiema smoczymi głowami coraz głębiej w grunt.

ROZDZIAŁ 1

SUROWY ZAPACH wykopanej ziemi był wyraźnie wyczuwalny w miejscu, gdzie stał, nieco z dala od ludzi zebranych wokół trumny. Niektórzy już w kościele rzucali mu badawcze spojrzenia. Nikt go wcześniej nie widział. Ale zmarły rozpoznałby go, nawet po tylu latach. Tego był pewien.

– Bądź przy mnie, Panie... – Samotny głos pastora brzmiał, jakby mógł zamilknąć stłumiony pierwszym podmuchem wiatru. Trumna powędrowała w dół między ciemno ubranymi sylwetkami zgromadzonych przy grobie. Gdzieś śpiewał ptak, łoskocząc jak górski strumyk. To pierwszy ptasi śpiew w Norwegii, który słyszał od lat.

Dopiero kiedy z parkingu dobiegł go trzask zamykanych drzwi samochodów, podszedł do osób, które, jak przypuszczał, były wdową i synem. Patrząc w ziemię czekał, aż ostatni maruderzy złożą kondolencje.

Wreszcie nadeszła jego kolej.

Kobieta sprawiała wrażenie wycieńczonej.

– Chyba nigdy pana nie widziałam – powiedziała.

– Max Fjellanger.

Po kilku sekundach skojarzyła nazwisko.

– Och, ale pan przecież... Knut by się ucieszył. To znaczy, gdyby mógł nas teraz widzieć. Nazywam się Karoline Abrahamsen. – I zwracając się do syna, dodała: – To dawny kolega z pracy taty.

Max przywitał się z nim i złożył kondolencje.

– Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale nasz kontakt się urwał, kiedy przestałem pracować w policji.

– Nie przeprowadził się pan do Stanów? – zapytała.

– Owszem.

– A teraz jest pan w Norwegii przypadkiem? – chciał wiedzieć syn.

– Tak.

W rzeczywistości specjalnie przyjechał na ten pogrzeb, ale pomyślał, że dziwnie byłoby im się do tego przyznać. Mimo wszystko ostatni raz kontakt z Knutem Abrahamsenem miał prawie trzydzieści lat temu. Inny kolega z dawnych czasów, którego ledwie pamiętał, napisał do niego mejl. Gdy tylko przeczytał, że Knut nie żyje, zrozumiał, że musi jechać. Inaczej czułby, że kogoś zawiódł. Jeżeli nie Knuta, to jakąś część siebie. Może to, co jeszcze w nim zostało z młodego człowieka.

Teraz, po wszystkim, odczuwał pustkę. Nie żałował, ale nadszedł czas wracać do domu. Samolot do Tamy odlatywał nazajutrz rano, a on nie znał nikogo w Skien.

– To było utonięcie? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Właściwie tylko tyle wiedział o życiu Knuta w ostatnich trzydziestu latach – że utonął.

Skinęła głową, a w jej oczach nagle pojawiła się rozpacz. Syn chwycił ją delikatnie za rękę, spoglądając jednocześnie na Fjellangera.

Matka odsunęła jego dłoń.

– Idź, ja zaraz przyjdę.

Młody mężczyzna zawahał się, ale surowy wzrok matki sprawił, że niechętnie się wycofał.

– Udany chłopak – powiedział Max.

Uśmiechnęła się smutno.

– I troskliwy po śmierci taty. Przejdźmy się, nie mam siły dłużej tutaj stać.

Powoli odeszli znad mogiły. Żwir chrząścił pod ich stopami. W pobliżu wznosił się ciemny, grubo ciosany pomnik na grobie Vidkuna Quislinga. W przedziwny sposób górował nad całym cmentarzem w Gjerpen.

– Knut był wtedy na rybach?

Szła dalej bez słowa. Już myślał, że mu nie odpowie. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał, jakby mówiła do kogoś za nimi.

– To właśnie jest dziwne – powiedziała. – Nie mamy pojęcia, co tam robił.

– Na jeziorze?

– Jeziorze? – Popatrzyła na niego zdeorientowana. – Znalaziono go w Dalen. W rzece wpływającej do jeziora Bandak.

Gdzieś w głębi coś Maksa Fjellangera boleśnie nurtowało. Rana, wątpliwość, której nigdy nie udało mu się pozbyć.

– To pewnie dla pana dziwne, przecież właśnie tam pracowaliście.

– Jak długo został tam po moim odejściu? – zapytał.

– W Dalen? Tylko rok.

– Nadal pracował w policji, kiedy...?

– Nie, odszedł, jeszcze zanim go poznałam.

To zaskoczyło Maksa. Uważał Knuta za człowieka, który zostanie w policji aż do emerytury.

– Czym się w takim razie zajmował?

– Od lat już nie pracował. Był na rencie.

Max nie zapytał dlaczego.

Niewiele drogi zostało im do parkingu, gdzie czekał syn wraz z garstką innych osób, zapewne krewnych.

– Serdecznie zapraszam na drobny poczęstunek... – powiedziała.

Uniósł ręce w odmownym geście.

– Dziękuję, ale mam coś do zrobienia.

Mówił prawdę. Musiał wracać do domu.

Nawet nie próbowała udawać, że jest zawiedziona. Po co komu właściwie obcy wśród rodziny, kiedy najbardziej potrzebuje się bliskich?

– W takim razie dziękuję panu za przybycie. Jak mówiłam, Knut by się cieszył.

Max wątpił w to, biorąc pod uwagę okoliczności.

Karoline Abrahamsen uściśnęła mu oburącz dłoń. Krewni właśnie wsiadali do samochodów. Max chciał odejść na bok, żeby zamówić taksówkę, ale powstrzymała go nagła myśl.

– Czy Knut miał nadal kontakt z dawnymi znajomymi z Dalen?

– Nie. Chyba nie bywał tam, odkąd odszedł z pracy. Nikogo już tam nie znał. Poza tym nawet słowem nie wspominał, że się tam wybiera. Koło północy, kiedy nie mogłam się do niego dodzwonić, zgłosiłam zaginięcie. Następnego ranka znalaziono go w rzece Tokke.

Na jej twarzy ujrzał coś w rodzaju buntu. A może zwątpienia?

– Myśli pani, że mogło dojść do przestępstwa? – zapytał cicho, żeby nikt inny nie słyszał.

– Trzeba ufać policji – powiedziała. – Bo jeśli nie jej, to komu?

Po czym podeszła do samochodu, za którego kierownicą siedział już syn. Wsiadła do środka i auto pomału potoczyło się przez parking. Kiedy mijali Maksa Fjellangera, odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Nic więcej. Tylko spojrzenie. Otwarte. Wyczekujące.

ROZDZIAŁ 2

Z AUTOBUSU jadącego przez Siljan i śródlądową część okręgu Vestfold spoglądał na pola zieleniące się młodym zbożem. Zabudowania gospodarskie znajdowały się w bezpiecznej odległości od drogi i nie można było im się przyjrzeć – duże budynki okalające podwórze stały tak od setek lat, otoczone wzgórzami, które porastał las złożony z topoli, brzoź i świerków.

Kurhan na poletku. Samotny olbrzymi dąb o gałęziach jak macki.

Wszystko to usiłowało go zatrzymać. „To stąd pochodzisz” – mówiło otoczenie głosem, który słyszał jedynie on. – „Nieważne, czym stałeś się później. To tym jesteś”.

Ale nie dawał się przekonać. To było dawno temu.

W hotelu na Gardermoen czuł się prawie jak w domu. Wszystkie przylotniskowe hotele są do siebie łądząco podobne. Tak jak wszystkie porty lotnicze. Przyjazd na międzynarodowe lotnisko to jak przyjazd do innego kraju. Nieokreślonego, anonimowego kraju, gdzie wszystko zostało sprowadzone do najmniejszej wspólnej wielokrotności wygody i konsumpcji.

Maksowi się to podobało. Dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

Włączył telewizor i oglądał przez chwilę CNN. Stara bieda. Zmiana kanału na NRK nie pomogła. Nie rozpoznawał prowadzących ani niczego innego w wiadomościach „Dagsrevyen”. W końcu ostatni raz oglądał je pół życia temu. Ale poruszano te same tematy co wszędzie: wojna, terror, kryzys klimatyczny.

„Odtąd pogrzeby będą zdarzać się coraz częściej” – pomyślał. – „Ludzie zaczynają umierać po pięćdziesiątce. W zeszłym roku Ann, teraz Knut Abrahamsen”. – Max miał wrażenie, że większość osób zabijał rak. Ale nie Knuta. Knut utonął.

W Dalen.

Dawna rana lekko zapulsowała. Nigdy nie zagojona wątpliwość. Przypomnił sobie owczarka przywiązane do drzewa na podwórzu gospodarstwa rodziny Homme – szczekał, próbując się uwolnić. Przypomnił sobie też, jak komendant Jørgen Homme powiedział zachrypłym od mrozu głosem: „Spuść psa, a nic więcej nie zrobisz już w tej pracy”.

Poddał się bez walki i nigdy nikomu o tym nie wspomniął. Nawet swojemu przyjacielowi Knutowi Abrahamsenowi, z którym pracował każdego dnia. Ale wątpliwości nigdy go nie opuściły, wręcz przeciwnie – rosły, więc odszedł z policji, zaledwie dwa lata po ukończeniu szkoły. Jednak nie był stworzony do tej profesji. Zawiódł w najważniejszym momencie.

Niedługo później rozpoczął nowe życie w Stanach. Spotkał Ann i się ożenił. Dwadzieścia osiem dobrych lat, aż do jej śmierci w zeszłym roku. Przez ten czas wspólnie rozwijali prywatne biuro detektywistyczne, które rozrosło się tak bardzo, że już nie zajmował się prowadzeniem śledztw, tylko tonął w zadaniach administracyjnych. Zwyczajnie odniósł sukces. *The American way*. A jednak rana wątpliwości nigdy całkiem się nie zagoiła. Co prawda przez długie okresy nie dawała o sobie znać. Aż niespodziewanie znów się odzywała. W samym środku rozmowy. Kiedy stał w korku. Wieczorem w łóżku. Wątpliwości i tchórzostwo. Powinien był sprzeciwić się komendantowi, a przynajmniej donieść o jego dziwnym zachowaniu.

Przełączył z powrotem na CNN, ale nie potrafił skupić się na wiadomościach. Co innego zaprzętało jego myśli. Niewyjaśniona wizyta Knuta w starych stronach. Wzrok Karoline Abrahamsen. Owczarek stojący na tylnych łapach, który szarpał łańcuch, bo jako doświadczony pies tropiący dostrzegł oznaki rozpoczętej akcji poszukiwawczej.

Skrzywiony, jakby się brzydził, otworzył laptop i zalogował się do sieci hotelowej.

W polu wyszukiwarki wpisał „Eidsborg” – nazwę wioski tuż koło Dalen, gdzie mieszkał komendant Jørgen Homme.

Większość wyników dotyczyła kościoła słupowego w Eidsborgu. Raz go odwiedził, wkrótce po rozpoczęciu pracy. Teraz zrozumiał, że kościół jest pod pewnym względem wyjątkowy. Chodziło o stary wizerunek świętego. Może jako policjant o tym wiedział, ale nawet jeśli tak było, wiedza już dawno poszła w zapomnienie.

W wielu wynikach pojawiała się nazwisko Henrika Thuego, profesora szkoły wyższej w Bø i autora książek *Kościół słupowy w Eidsborgu* oraz *Duch miejsca*, również na temat świątyni. Max pomyślał, że ktoś taki na pewno wie prawie wszystko o tym miejscu. O starym komendancie również, i o zaginięciu z roku osiemdziesiątego piątego.

Minutę później zadzwonił do profesora Thuego i umówił się na spotkanie za dwa dni w jego gabinecie w Bø. Udał, że ma napisać artykuł o kościele słupowym w Eidsborgu dla norwesko-amerykańskiego czasopisma.

W ciszy, która nastąpiła po krótkiej rozmowie, niemal paraliżowała go myśl o tym, co właśnie zrobił. „Pies jest agresywny i nie można go użyć”. – W głowie słyszał głos komendanta, który kłamał w żywe oczy.

Czuł, że rana zaraz się gwałtownie otworzy. Nagle cisnął pilotem o ścianę, aż baterie rozsypały się po pokoju.

– Kurwa! – krzyknął.

Nie powinien był w ogóle przyjeżdżać do Norwegii. Ten idiotyczny pomysł musiał skończyć się wyciąganiem starych brudów.

– Nie, nie, nie – mamrotał. Zdecydowanie tego nie chciał.

Znow chwycił telefon, żeby zadzwonić do Thuego i odwołać spotkanie, ale uznał, że głupio to robić zaledwie parę minut po pierwszej rozmowie. Najlepiej, jeśli trochę odczeka. Może pół godziny, wtedy zadzwoni i powie, że coś mu wypadło.

Tymczasem mógł poszukać w Internecie czegoś na temat śmierci Knuta Abrahamsena. Okazało się to trudniejszym zadaniem, niż przypuszczał. Widać gazety nie rozdmuchiwały takich wypadków, nawet w głębi Telemarku, gdzie na pewno nie działo się zbyt wiele. W każdym razie nie wtedy, kiedy pracował tam Max.

Wreszcie znalazł krótką notatkę o tym, że policja zakończyła śledztwo w sprawie okoliczności utonięcia w Dalen. Komendant z gminy Tokke wypowiedział się, że nie istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. Na temat samego wypadku nie napisano nic, z wyjątkiem tego, że z rzeki wyłowiono również kluczyki samochodowe zmarłego. Knut najwyraźniej nie miał ich przy sobie, gdy został znaleziony.

Już miał wyłączyć laptop, gdy w krótkim tekście coś przykuło jego uwagę. Komendant Jon Homme. Musiał spojrzeć kilka razy, żeby upewnić się, że dobrze widzi, ale nie było wątpliwości.

Nagle zaczęły mu drżeć ręce, więc dopiero po kilku próbach zdołał wpisać nazwisko w okienku wyszukiwarki. W końcu pojawiło się kilka wyników. I zdjęć. Nowy komendant był niemal identyczną kopią dawnego. Jon Homme to bez wątpienia syn Jørgena.

Klnąc pod nosem, Max chwycił telefon i zadzwonił do wypożyczalni samochodów.

ROZDZIAŁ 3

TIRILL VESTERLI siedziała na kanapie z podkurczonymi nogami i czytała szwedzki kryminał. Skupiona wyłącznie na akcji książki bawiła się medalionem zawieszonym na łańcuszku na szyi.

Uwielbiała ciszę, która zapadała, kiedy jej czteroletni syn wreszcie zasnął, a ona mogła otworzyć książkę i znów dać się wciągnąć zagadkom. Tylko o tej porze w ciągu dnia miała czas oddawać się lekturze. Nic nie irytowało jej bardziej niż ludzie twierdzący, że na pewno mnóstwo czyta jako bibliotekarka w szkole wyższej w Bø. Jakby w pracy nie miała nic innego do roboty!

Czytała zatem tylko wieczorami, kiedy Magnus spał. Najczęściej kryminały. Ten pochłonęła już prawie do połowy i właśnie zaczęła obstawiać, że mordercą jest lekarz ze szpitala dziecięcego. Nie wydawał jej się szczególnie podejrzany jako osoba, ale nie mogła sobie wyobrazić, jaką inną rolę miałby odegrać pod koniec opowieści. Sprawiał wrażenie postaci, którą autor oszczędzał na coś wielkiego. Ale mogła się mylić, co zdarzało jej się dość często. W każdym razie jej przecucie miało rację bytu jedynie, gdy pojawiała się przed połową książki.

Nie tylko tajemnice wymyślonych morderstw interesowały Tirill Vesterli. Gdy media donosiły o zabójstwach albo podejrzanych zgonach, nastawiała uszu niczym głodna lisica, która wyczuła ofiarę. Fascynował ją proces dochodzenia do tego, kto jest sprawcą – również w prawdziwych sprawach. Na ogół było to łatwiejsze niż w przypadku książek. Zazwyczaj winę ponosił mąż. Na dłuższą metę trochę ją to nudziło, ale takie już jest prawdziwe życie.

Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę Sancerre, pełną do połowy. Wyciągając rękę po kieliszek z szafki, zwróciła uwagę na coś za oknem.

Nagle jej serce zaczęło walić, jak gdyby ktoś wstrzyknął w nie czystą adrenalinę. Palce zacisnęły się kurczowo na nóżce kieliszka. W świetle letniego wieczoru wyraźnie widziała postać częściowo ukrytą za budką dozorca.

A właśnie znów zaczęła czuć się bezpiecznie.

Kiedy rok wcześniej studentka Cecilie Wiborg z Asker zniknęła bez śladu w noc świętojańską, zapoczątkowało to szeroko zakrojoną akcję policyjną, która odbywała się tuż za progiem jej domu. Przez kilka tygodni Bø codziennie gościło w wiadomościach. Niedługo po zaginięciu dziewczyny Tirill udała się na policję z teorią na temat możliwej przyczyny jej zniknięcia. Nadal sądziła, że to dobra teoria, ale policjanci nie dali się przekonać. Uśmieiali się tylko serdecznie, a gdy wychodziła, pokleпали ją po ramieniu.

Zaraz potem zaczęła zjawiać się postać. Pierwszych kilka razy ledwie zwróciła na nią uwagę. Zarejestrowała jedynie, że jakiś nieznajomy stoi koło budki dozorca. Za trzecim czy czwartym razem zaczęło to być nieprzyjemne. Zwłaszcza że mężczyzna spoglądał w stronę jej mieszkania, gdy stała w oknie. Tkwił tam przez kilka wieczorów w tygodniu. Zawsze ubrany na czarno, z kapturem bluzy mocno naciągniętym na czoło. Nie dało się dojrzeć jego twarzy.

Z powodu reakcji policji na swoje ostatnie doniesienie nie zdobyła się na odwagę, żeby to zgłosić. Uznano by ją tylko za jeszcze większą wariatkę. Ale jakoś w październiku, mniej więcej w czasie, kiedy śledztwo w sprawie Cecilie mocno wyhamowało, wszystko ustało samoistnie. Wizyty obserwatora w czerni zdarzały się coraz rzadziej.

Jednak dopiero wiosną Tirill przestała codziennie myśleć o nieznajomym.

A teraz znowu tam stał. Ta sama, odrobinę zgarbiona sylwetka, ubrany na czarno, w kapturze mocno naciągniętym na czoło.

Drżącymi rękami do połowy napełniła kieliszek białym winem, które wypija głośnymi haustami. Kiedy znów wyjrzała przez okno, już go nie było.

Nieprzyjemne uczucie w brzuchu ustąpiło nagle miejsca płomiennej złości, która rozżarzyła się jak zapalka. Kilkoma długimi susami wybiegła na korytarz. Nie miała czasu szukać kluczy, które walały się gdzieś w bałaganie, dlatego zostawiła uchylone drzwi. Pokonywała po dwa stopnie naraz w drodze z mieszkania na drugim piętrze, z sykiem przeklinając wszystkich potencjalnych wrogów. Zwinęła ulotki znalezione na podłodze i wetknęła je w szczelinę między drzwiami wejściowymi a futryną.

Następnie w samych skarpetkach wybiegła na parking; kamyki i żwir wbijały jej się w stopy, ale za budką też nikogo nie było. Widziała jedynie krótko przystrzyżoną trawę, w której leżały jakieś nakrętki od napojów i kilka niedopałków. Przykucnęła i je pomacała, ale żaden nie był ciepły.

Na rowerze jechał starszy z somalijskich chłopców. Miał na sobie ciemną bluzę z kapturem i czarne dżinsy. Kto jeszcze tak się ubiera w ciepły letni dzień? Na pewno to jego widziała.

Tirill wbiegła na parking i zatrzymała chłopaka.

– Stałeś tu przed chwilą? – zapytała, wskazując palcem za budkę.

Zmarszczył czoło – chyba nie rozumiał. Tirill wiedziała, że prawie nie mówi po norwesku.

– *Did you just stand on the corner of the shed?*

Pokręcił głową, ale miała przecucie, że to nie była odpowiedź na jej pytanie. Może wyglądała na wariatkę, stojąc w samych skarpetkach i nadal ciężko sapiąc.

– Stałeś tam przed chwilą? – spróbowała ostatni raz, ale chłopak odjechał tylko bez słowa.

Rozejrzała się wokół po opustoszałym parkingu. Spoglądała na okna różnych mieszkań. Czy ktoś widział tę scenę?

Odeszła ze spuszczoną głową.

W mieszkaniu ogarnęło ją uczucie, że coś jest nie tak. Zaciągnęła się zapachami w salonie. Czy ktoś tutaj był? „Jasne, że nie” – pomyślała z irytacją. – „Weź się w garść!”. Ale drzwi cały czas były otwarte, kiedy ona stała na tyłach budki dozorczy.

Sprintem przebiegła przez salon i wypadła na korytarz, gdzie znajdowały się drzwi do obu sypialni i łazienki.

Drzwi do pokoju dziecięcego były uchylone.

Całkowicie zamarła. Wszystko w niej znieruchomiało. Nawet krew przestała płynąć w jej żyłach. Wszystko w niej zastygło w oczekiwaniu na to, co ujrzy po otwarciu drzwi.

Ręką obcą jak ze złego snu pociągnęła za klamkę.

Łóżko było puste. Kołdra leżała na podłodze.

To, co trzymało ją na nogach przez ostatnie sekundy, zgasło nagle jak wyłączona żarówka. Nie poczuła upadku, zanim z łomotem nie uderzyła kolanami o podłogę. Chwilę później była trzeźwa i gotowa. Zadziałał agregat awaryjny. Silnik napędzany instynktem. Wstała, myśląc jedynie o tym, by znaleźć syna. Szarpnęła drzwi do malutkiej ubikacji, ale tam go nie było.

W łazience też nie.

Ani w sypialni Tirill.

Drzwi, otwierane szarpnięciem jedno po drugim, ukazywały wnętrza pomieszczeń.

Ale mieszkanie nie było duże i wkrótce skończyły się miejsca, gdzie mogła szukać.

– Magnus! – zawołała zdesperowana, próbując odnaleźć komórkę, która, jak pamiętała, leżała na stoliku koło fotela. Teraz jednak nigdzie jej nie widziała.

– Magnus!

Wykrzykiwała jego imię, a w swoim głosie słyszała narastające przerażenie.

– Mamo... – Zza pleców dobiegł ją cichy pisk.

Okręciła się wokół własnej osi.

– Magnus?

Odpowiedziało jej radosne sapnięcie.

– Gdzie jesteś?

Z wąskiej szczeliny między kanapą a ścianą wystawała kędzierzawa główka.

– A kuku! – zawołał, pękając z podekscytowania.

Tirill podbiegła do syna i wyciągnęła go ze szczeliny tak wściekła, że mogłaby cisnąć nim o ścianę.

– Siedzisz tak tutaj bez słowa, kiedy ja... Kiedy ja myślałam...

Gdy jego dolna warga zaczęła drżeć, rzuciła się na kanapę i mocno przytuliła drobne ciało dziecka. Płacząc, pomyślała, że w jego obronie z łatwością mogłaby kogoś zabić.

ROZDZIAŁ 4

MAX JECHAŁ DROGĄ E18 do Drammen, a następnie E134 na zachód, minął Hokksund i Kongsberg. W rejonie Meheia, otoczony przez las, przekroczył granicę Telemarku i niedługo później ujrzał przed sobą otwartą przestrzeń. Pagórkowaty lesisty krajobraz, poprzecinany wygiętymi dolinami, z wysokimi granitowymi górami w tle.

Widok podniósł go nieco na duchu. A może przytłoczył? W każdym razie wywoływał zawroty głowy.

W Notodden zatrzymał się na stacji benzynowej, gdzie kupił hot doga. Stojąc w oparach benzyny, popił jedzenie colą. Jakiś samolot nad jego głową ciągnął za sobą białą smugę, odlatując na zachód, ale było już za późno, żeby żałować.

Zadzwoił do informacji i otrzymał numer Karoline Abrahamsen. Wdowa odebrała od razu, jakby tylko czekała na czyjś telefon.

– Max Fjellanger. Spotkaliśmy się wczoraj.

– Tak...

– Jestem w Notodden, w drodze do Dalen.

Na drugim końcu na długą chwilę zapadła cisza.

– Co zamierza pan tam robić? – odezwała się wreszcie.

– Zobaczyć miejsce, gdzie znaleziono Knuta. Myślę, że jestem mu to winien. Jeżeli czegoś się dowiem, oczywiście dam znać.

– Dowie się pan czegoś...?

Nagle wydała się wystraszona.

– Po co pan to robi? Przecież przez trzydzieści lat nie mieliście kontaktu.

– Robię to dla siebie – powiedział Max. – To skomplikowane.

Godzinę później jego oczom ukazał się Eidsborg. Wioska była położona w niecce. Garstka gospodarstw otoczonych zielonymi łąkami, rozrzuconych w półkolu nad niewielkim jeziorkiem. Brunatny od smoły kościół słupowy, organiczny jak stara sosna.

Zaparkował na skraju drogi i patrzył. Spodziewał się, że coś się z nim stanie, kiedy znów ujrzy ten widok. Bo znajdował się już w gminie Tokke. Stąd zostało zaledwie kilka kilometrów do siedziby gminy, Dalen, gdzie mieścił się posterunek policji. Na drugim brzegu jeziora widział gospodarstwo rodziny Homme, gdzie mieszkał Jørgen.

Eidsborg tworzył układ o elementach idealnie rozmieszczonych względem siebie. Centrum stanowiło okrągłe, błękitne jak niebo jeziorko. Budynki i zielone łąki po jednej stronie, kościół po drugiej, wszystko to osłonięte przez lesiste pagórki – obraz idealnej wręcz sielanki.

Max Fjellanger przypominał sobie, że w rzeczywistości nie spotyka się nic idealnego.

Wynająwszy domek letniskowy na polu kempingowym, jeździł chwilę po Dalen, aż znalazł posterunek policji, tego dnia zamknięty. Okazało się, że jest czynny jedynie dwa dni w tygodniu. Max domyślił się, że to obecnie nic niezwykłego na wsi. Za jego czasów urzędowano tam przez cały tydzień.

Wrócił do Eidsborga wąską, krętą drogą pod górę, którą dopiero co zjechał w dół. To dla takich tras do Norwegii przybywają niemieccy i holenderscy turyści.

Tuż za kościołem skręcił w prawo, w stronę gospodarstwa rodziny Homme i innych.

Komendant Jon Homme stał w szerokim rozkroku na podwórzu, w obciętych dżinsach, z gołym torsem i w czapce z daszkiem z logo firmy Zetor, wpatrując się w nadjeżdżający samochód z wypożyczalni. Za nim Max ujrzał to samo drzewo, które rosło tam, kiedy był tutaj ostatnio. Jesion, na ile potrafił ocenić. Teraz też do pnia przywiązany był pies. Tym razem nie owczarek, a norweski elkhund, który zaciekle ujadł na widok intruza.

Zatrzymał się przy wejściu do stodoły i wysiadł. Homme spokojnie do niego podszedł. Podobieństwo do ojca było uderzające, a szczekania psa nie dało się odróżnić od tego, które Max słyszał za sobą trzydzieści lat temu, gdy szedł z pochyloną głową do auta.

Jak gdyby czas stanął tu w miejscu.

– O co chodzi? – zapytał Homme z rezerwą.

– Chciałem tylko zapytać, czy...

Zagłuszyło go ujadanie psa.

– Cicho! – krzyknął policjant, tak ostro, że Max drgnął.

Pies zamilkł, a on spróbował odezwać się raz jeszcze. Wtedy jednak nastąpiło to samo: gdy tylko otworzył usta, elkhund stanął na tylnych łapach i zaczął szczekać.

Jon Homme podszedł do psa i chwycił go za skórę na karku. Najpierw zmusił go do powrotu na cztery łapy. Później ukucnął i spojrzał mu zdecydowanie w ślepią. Zwierzę wydało kilka pisków niezadowolenia, ale Homme zacieśnił chwyt i jeszcze bardziej zbliżył się do pyska pełnego białych zębów, z którego zwisał zaśliniony czerwony język. Siedział tak i gapił się na psa, aż ten się uspokoił. Całkiem ucichł i się położył.

Nie było wątpliwości, kto wygrał to starcie.

– Przepraszam za hałas – powiedział po wszystkim. – Elvis jest niecierpliwy. Za mało się rusza. To moja wina. O co chciał pan zapytać?

Max podał mu rękę i się przedstawił.

– Przed laty byłem podwładnym pańskiego ojca. Wróciłem w dawne strony.

Twarz z wielkim siwym wąsem lekko złagodniała.

– Proszę na werandę – powiedział, ruszając przodem.

Głowę miał zgoloną prawie na zero, ale środkiem pleców biegł szeroki pas jasnego kędzierzawego owłosienia, który zaczynał się na karku i znikał odciętą linią szortów.

Maks zajął wskazane krzesło na werandzie, z widokiem na kościół słupowy i muzeum na drugim brzegu jeziora. Komendant poszedł po kawę.

W niemal okrągłym jeziorze odbijało się słońce, atakując światłem oczy. Na drugim brzegu połyskiwały karoserie autobusów i samochodów zaparkowanych przed kościołem. Max czuł, że jest z dala od domu, ale uczucie to towarzyszyło mu od śmierci Ann. Nawet we własnej willi. To Ann była mu domem. Jego kotwicą w Ameryce. W Norwegii nie miał żadnej kotwicy. Inaczej pewnie nie zostawiłby wszystkiego z taką łatwością.

Dwa ostatnie lata swojego życia w Norwegii spędził tutaj jako posterunkowy w gminie Tokke. On i Knut Abrahamsen.

Wraz z Jørgenem Hommem.

Gdy po raz pierwszy witał się ze starym komendantem, przeszedł go dreszcz, od dłoni aż po podeszwy stóp. Nigdy nie doświadczył czegoś podobnego, ani wcześniej, ani później. Jak gdyby wysoki siwowłosy mężczyzna, który pewnego letniego dnia, dawno temu, stał w szerokim rozkroku na posterunku, emanował jakąś nieznaną energią. Taką, której nie powinno się mącić.

Obecny komendant wrócił z kawą i ciasteczkami. Max nie wyobrażał sobie, żeby jego ojciec mógł coś takiego zrobić, ale może po prostu nigdy nie poznał go od tej strony.

– Ojciec odszedł w osiemdziesiątym szóstym – powiedział Homme. – Do dziewięćdziesiątego piątego urzędował niejaki Rasmussen. Później stanowisko przejąłem ja. Kiedy pan tutaj pracował?

– W osiemdziesiątym czwartym i piątym.

– Byłem wtedy w Oslo. Nie przypominam sobie, bym pana spotkał. Max Fjellanger. Chyba zapamiętałbym to nazwisko.

– Było nas dwóch. Knut Abrahamsen i ja. Knut był nie tylko moim dobrym kolegą, ale i przyjacielem. Wczoraj wziąłem udział w jego pogrzebie w Skien.

– Ach... Przykro mi.

– Utonął w Dalen w zeszłym tygodniu.

Komendant zmrużył na chwilę oczy. To wszystko.

– To był on? Dziwny zbieg okoliczności.

– Gdzieś trzeba w końcu umrzeć. Wie pan, co tutaj robił? Może łowił ryby?

Homme pokręcił głową.

– Jego żona twierdzi, że nie miał tu nic do załatwienia. Naszym zdaniem to dziwne, a utonięcie

bez świadków zawsze jest trochę... no, wie pan, co myślę... nawet kiedy zmarły ma w kieszeniach pełno kamieni – wyjaśnił policjant.

– Knut się zabił? – Max nie skrywał zaskoczenia.

– Nie wiedział pan? Przepraszam zatem za obcesowość, myślałem...

To pewnie dlatego wdowa wydawała się wystraszona, kiedy oznajmił, że wybiera się do Dalen. Nie chciała, aby dowiedział się o samobójstwie.

– Ale po co przyjechał aż tutaj? – zapytał Max.

– Też nas to trochę zdziwiło. Jednak nikt z rodziny nie wspomniał, że tutaj pracował. Powiedziano nam tylko, że dawno temu był policjantem. Może ostatni raz chciał zobaczyć dawne strony? Przypomnieć sobie młodość. Kto wie, co ludzie myślą w takich sytuacjach.

Mężczyźni w średnim wieku siedzieli chwilę w milczeniu, jakby obaj zastanawiali się nad słowami komendanta.

– Gdzie go znaleziono? – zapytał w końcu Max.

– Tuż za mostem w Dalen. Po wschodniej stronie.

– Z kamieniami w kieszeniach?

– Spodni i kurtki.

– Jakież ślady walki?

– Miał sińce na kolanach i rankę na górnej wardze. Technicy doszli do wniosku, że upadł, schodząc do rzeki. – Komendant mocno zmrużył jedno oko, drugim świdrując Maksa na wylot, po czym dodał: – Proszę mi powiedzieć, czy pan nadal pracuje w policji?

– Nie, to było wiele lat temu. Prowadzę firmę w Stanach. Przez dwadzieścia osiem lat, które minęły od mojej przeprowadzki, przyjechałem do Norwegii dwa razy. Na pogrzeby rodziców. Mam tu jedynie brata, z którym dawno straciłem kontakt.

– Wychował się pan w Telemarku?

– Nie, nic nie wiąże mnie z tym okręgiem, z wyjątkiem dwóch lat pracy. Wychowałem się w Porsanger w Finnmarku i Evje w Setesdalen.

Komendant na chwilę się zamyślił.

– Syn wojskowego?

– Mhm.

– I nie węszy pan w tych sprawach na własną rękę?

– Jakich sprawach? – zapytał Max niewinnie. – A jest w ogóle w czym węszyć?

– Nie – odparł Jon Homme.

– Jeszcze tylko jedna rzecz i dam panu spokój – odezwał się Max rozbrajającym tonem.

– No, proszę...

– Czy to prawda, że kluczyki od samochodu znaleziono oddzielnie w rzece?

– Zgadza się.

– Jak pana zdaniem do tego doszło?

– Myślę, że wypadły mu z kieszeni pod wodą – powiedział komendant.

– To nie miał w kieszeniach kamieni?

Jon Homme uśmiechnął się z pewnością siebie pod wąsem, spoglądając na jeziorko Eidsborgtjørni, kościół i muzeum. Jego uśmiech obejmował i rekwirował wszystko.

– Nie w wewnętrznej kieszeni kurtki. Pewnie tam trzymał kluczyki.

Max zastanawiał się, czy syn zna plotki o skorumpowaniu ojca. O tym, że kradł odnalezione złodziejskie łupy, zwłaszcza wiejskie antyki, które później sprzedawał. Może nie byłby tak pewien siebie, gdyby wiedział, że Max usłyszał te plotki niemal od razu po rozpoczęciu pracy na posterunku.

– Pamięta pan mężczyznę, który zaginął w osiemdziesiątym piątym i nigdy nie został odnaleziony? – zapytał.

– Petera Schrama.

To tak się nazywał! Nazwisko poruszyło czułą strunę gdzieś w głębi Maksa.

– Kim on właściwie był?

– Jak już mówiłem, mieszkałem w Oslo, kiedy pan tutaj pracował, więc nie wiem o tym zbyt wiele. Pewne jest, że nie pochodził stąd. Chyba pracował nad książką. O kościele? Nie, nie pamiętam. Brał pan udział w poszukiwaniach?

Max skinął głową. Pies po drugiej stronie domu znów zaczął szczekać. Nadal stał przywiązany do drzewa.

ROZDZIAŁ 5

W MUZEALNEJ KAFEJCE połączonej z recepcją rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar. Max minął sklep z pamiątkami i po chwili dotarł do sali, gdzie pokazywano bóstwa opiekuńcze domu – prymitywne drewniane rzeźby, czczone w gospodarstwach od czasów przedchrześcijańskich. Niektóre znajdowano w bagnach, gdzie zapewne chowano je przed księżmi oraz innymi przedstawicielami władz. W ubogich w tlen bagnach drewno mogło leżeć zakonserwowane przez tysiące lat. Inne aż do czasów współczesnych przechowywano w gospodarstwach jako cenne osobliwości i przekazano muzeum w darze.

W przyległej sali trwały prace. Facet w białym podkoszulku i dżinsach przygotowywał coś w rodzaju wystawy fotografii. Miał imponujący kręcony wąs, nawoskowany według wszelkich prawideł sztuki. Max skinął do niego głową i już miał iść dalej, ale zmienił zdanie.

– Przepraszam... – odezwał się.

Mężczyzna uniósł wzrok. Wyraz jego twarzy zdradzał wrodzoną gadatliwość.

– Pan tutaj pracuje?

– Jestem kustoszem.

– Z Eidsborga?

– Urodziłem się i wychowałem tutaj, ale ponieważ ojciec pochodzi z Kviteseid, uważa się mnie za element napływowy. Żeby być autochtonem, trzeba mieć wśród przodków kilka pokoleń eidsborskich chłopów po stronie i ojca.

Słowa wypowiedział z uśmiechem, ale coś w tonie jego głosu kazało Maksowi myśleć, że może wcale nie żartował.

– Interesuje mnie kościół. Jutro jestem umówiony w Bø z Henrikiem Thuem. Zakładam, że go pan zna?

– Żeby zaraz znać... Wiem dobrze, kim jest. A pan skąd pochodzi?

– Z Norwegii, ale od dawna mieszkam w Stanach. Nazywam się Max Fjellanger.

– Johannes Liom.

– Dawno temu byłem tu posterunkowym.

– Ach tak? – Mężczyzna spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Tak, mam wiele dobrych wspomnień z różnych części gminy Tokke. Z Eidsborga również. I parę niezbyt dobrych. Pamięta pan Petera Schrama, który zaginął i nigdy nie został odnaleziony?

– No pewnie. Prawie codziennie się z nim witałem. Wychowywałem się kilkaset metrów od niego. Nadal mieszkam w tym samym domu. Peter, ech... Strasznie smutne.

– Znał go pan?

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Byłem od niego sporo młodszy, a on przewyższał mnie intelektualnie.

– Był pisarzem?

– Nie, pracował nad doktoratem, jeśli mnie pamięć nie myli. O naszym kościele i związanym z nim kulcie świętych.

Max nie przeciągał rozmowy. Johannes Liom mógł na pewno powiedzieć wiele, ale Max nie chciał nikogo naciskać ani wzbudzać podejrzeń. Wolał wrócić kiedy indziej i wtedy podjąć wątek.

Oparty o samochód obserwował tłum. Właśnie zaparkował nowy autobus i długi szereg turystów nadciągał w stronę otwartych drzwi kościoła, które zdawały się prowadzić w absolutną ciemność. Max chętnie też by się tam wybrał, ale nie chciało mu się stać w kolejce.

– Gdyby tylko taka frekwencja dopisywała też podczas nabożeństw – usłyszał za sobą.

Odwrócił się zaciekawiony i ujrzał kobietę, która rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w kolejkę. Kilka sekund minęło, zanim pojął, kim jest.

– Pastor? – zapytał, podając jej rękę.

Posłała mu ciepły uśmiech.

– Julia Bergmann.

- Z Niemiec?
- Aż tak to słycać?
- Tylko w wymowie „r”.
- Ach, to zdradzieckie „r”. – Uśmiechnęła się.

Max pomyślał, że jest raczej czarujące, ale tego nie mógł powiedzieć pani pastor.

Julia Bergmann ubrana była w białą bluzkę i kwiecistą spódnicę do kolan, odrobinę staromodną jak na swój wiek – musiała być po trzydziestce. Fryzurę za to miała dużo bardziej nowoczesną: krótką z tyłu i przy uszach, ale z długą blond grzywką zasłaniającą lewe oko.

Odsunęła ją szczupłą dłonią.

– A więc odprawiacie tu zwykle nabożeństwa? – zapytał Max.

– Tak, ale wtedy nie jest tak trudno o miejsce. To dziwne, że wszyscy chcą wejść oglądać stary wizerunek świętego, ale mało kogo ciekawi żywe słowo.

– Jest pani zazdrosna?

– Jasne.

– Czy zazdrość nie należy do siedmiu grzechów głównych?

– Owszem, a ja, jak większość ludzi, popełniłam już wszystkich siedem.

– O co właściwie chodzi z tym świętym? – chciał wiedzieć Max.

– Pierwotnie kościół był poświęcony świętemu Mikołajowi. Jest przecież strasznie stary, pamięta jeszcze czasy katolickie. Wizerunek świętego – drewniany posąg – nadal się tam znajduje. Jednak przed reformacją figura, zwana przez chłopów Nikulsem – zresztą ludzie nadal ją tak nazywają – miała ogromne znaczenie dla lokalnej społeczności. W każdą noc świętojańską posąg noszono w procesji wychodzącej z kościoła. Najpierw trzykrotnie okrążano sam kościół, a następnie schodzono nad jezioro, które pan tam widzi. Eidsborgtjørni. Wokół niego figurę noszono w lektyce, do wtóru pieśni oraz modlitw księdza i wiernych. Na końcu zanurzano ją i obmywano. To dość nietypowe. Święty jest z założenia czysty i nie potrzebuje obmywania. Panowało powszechne przekonanie, że rytuał zapewnia urodzaj i płodność. W dziewiętnastym wieku posąg świętego przeniesiono do szopy, którą dawno temu zburzono. Później odrestaurowano go i umieszczono z powrotem w kościele. Nie zajmuje już co prawda poczesnego miejsca – został wykwaterowany do kąta na tyłach kościoła. Ale i tak przyciąga turystów jak magnes, podobnie jak cały kościół, który oczarowuje masy. W Niemczech nie mamy kościołów słupowych.

Max wskazał głową sielankowy widok na drugim brzegu Eidsborgtjørni. Rozrzucone w półkolu gospodarstwa.

– A co myślą stali mieszkańcy o wszystkich tych przyjezdnych?

– Chcą zarobić na chleb – odparła pastorka. – Dlatego bardzo ich to wszystko cieszy. Nikuls i kościół przynoszą lokalnej społeczności spore dochody.

Od strony muzeum nadjechał czerwony pikap, który zatrzymał się obok nich. Johannes Liom przechylił się nad siedzeniem pasażera i zapytał przez otwarte okno:

– Chce pan wejść do środka?

Max wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Da się w ogóle obejrzeć kościół bez towarzystwa tłumów?

– Jeżeli poczeka pan do zimy – odrzekł Liom.

– Nie mam aż tyle czasu.

– Hm... Gdybym mógł, oprowadziłbym pana po godzinach, ale dzisiaj jestem zajęty. Facet interesuje się naszym kościołem i przyjechał aż ze Stanów, żeby go zobaczyć – dodał, zwracając się do pastorki.

Nie to Max mu wcześniej powiedział, ale nie zaprotestował.

– W porządku – odezwała się kobieta. – I tak muszę tu wrócić wieczorem. Odłożyć parę rzeczy w zakrystii. Zaopiekuję się panem.

Liom kiwnął z zadowoleniem głową i odjechał.

Julia Bergmann patrzyła na oddalający się samochód.

- Johannes to zapaleniec – powiedziała. – Właściwie sam kieruje działalnością muzeum. Pochodzi z prostej rodziny, ojciec był drogowcem. Świetne słowo.
- Drogowiec?
- Nie, zapaleniec. Człowiek, który do czegoś się pali.

ROZDZIAŁ 6

TIRILL SIEDZIAŁA przez chwilę w samochodzie przed posterunkiem policji w Bø. Nadal słyszała w głowie dobrotliwy śmiech, którym uraczono ją tutaj poprzednio. Jakby w podzięcie za odrobinę rozrywki w smętnej codzienności.

Wreszcie wzięła się w garść i wysiadła. Jeżeli nie dla siebie, to ze względu na Magnusa musiała spróbować wyjaśnić, co się dzieje.

Przywitała ją uprzejma, lecz chłodna recepcjonistka.

– Chciałabym coś zgłosić – zaczęła Tirill. – Czy mogę z kimś porozmawiać?

– Chwileczkę, sprawdzę. – Słowa wypowiedziane były niezainteresowanym tonem.

Kobieta zapukała lekko w drzwi, poczekała na odpowiedź i weszła do środka. Dały się słyszeć ciche głosy, po czym recepcjonistka wróciła.

– Proszę – odezwała się, wskazując jej drzwi.

Zaraz po przekroczeniu progu Tirill ogarnęło nieprzyjemne uczucie. Policjant za biurkiem był obecny przy tym, gdy rok wcześniej przedstawiała swoją teorię.

Wstał i podał jej rękę.

– Sierżant Tom Ralle.

– Tirill Vesterli.

– Proszę usiąść – powiedział przyjaźnie.

Był niski, o szerokich barkach, z trzydniowym zarostem na twarzy i krótkim jeżem na głowie.

– Chciała pani zgłosić sprawę, zgadza się?

– Tak. Może pomyśli pan, że mam obsesję, ale ktoś mnie prześladowuje.

– O rany... – odezwał się, zakładając ręce za kark. Chyba jej nie rozpoznał. – Wie pani kto?

– Nie. Jakiś mężczyzna.

– Jakiś mężczyzna... A gdzie panią śledzi?

– No, właściwie to mnie nie śledzi. Stoi pod moim mieszkaniem i mnie obserwuje. Moje okna.

– Gdzie pani mieszka?

Podawała mu adres.

– W tym budynku znajduje się wiele mieszkań. Jest pani pewna, że obserwuje właśnie panią?
O ile w ogóle kogoś.

– Jestem pewna. Patrzy prosto na mnie.

– Na którym piętrze pani mieszka?

– Na drugim.

– A on gdzie stoi?

– Przy budce dozorczy.

Tom Ralle pochylił się, oparł łokcie na biurku, a podbródek na dłoniach. Siedząc tak, bacznie jej się przyglądał. Jakby się namyślał, co odpowiedzieć.

– Od pani okna jest chyba dosyć daleko do miejsca, gdzie stoi ten człowiek? – zaczął ostrożnie.

– Zbyt daleko, żeby wyraźnie widzieć jego twarz – potwierdziła.

– I nie ma pani pojęcia, kto to może być?

– Nie, ale mam czteroletniego syna i oczywiście się...

– Jest pani samotną matką?

– Tak.

– Ach tak... I martwi się pani o syna. To całkowicie zrozumiałe.

– Jakiś facet gapi się w nasze okna! – rzuciła Tirill ostro.

– Okej... Ale skoro nie widać wyraźnie jego twarzy, skąd pani wie, że patrzy właśnie na pani okna? Nie chcę pani zbyć, nic z tych rzeczy. Chodzi jedynie o to, że nie widzi pani jego oczu, prawda? A więc nie wie też pani, w którą stronę kieruje wzrok. Rozumie pani?

– Ale ja... to czuję.

Mogła ugryźć się w język.

Przyjazny uśmiech wypłynął na wymiętą twarz Toma Rallego.

– A uczucia trzeba oczywiście traktować poważnie. Ale w pracy policji dobrze jest odłożyć je na bok. Zobaczmy... Odnoszę to, a pani zadzwoni do nas natychmiast, kiedy znów będzie pani miała wrażenie, że ktoś na panią patrzy. Umówimy się tak? Wyślemy wtedy radiowóz na Breisås i się rozejrzemy.

Tirill już miała wypowiedzieć się pogardliwie o czasie reakcji policji, kiedy nagle Ralle walnął ręką w stół i wskazał na nią palcem.

– Przecież to pani... – Wybuchnął śmiechem. – Tirill Vesterli, zgadza się. To pani miała tę teorię o Cecilie Wiborg. No nie?

Chciała zapaść się pod ziemię.

– Tak... – szepnęła.

– O co tam chodziło? Coś z nocą świętojańską i ludowymi wierzeniami?

Uśmiechnęła się słabo.

– Może ma pani jakąś nową teorię na temat tego, co się stało z Cecilie? Skoro już tu pani jest?

– Nie – powiedziała Tirill twardo i wstała. – Nadal podtrzymuję tamtą.

Po czym wyszła, nie zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 7

ZAPACH SMOŁY przytłaczał już w przedsionku, do którego przez małe, łukowate otwory w ścianie wpadało tylko trochę światła. Spadzisty dach był gęsto zdobiony czymś w rodzaju kolców. Max wyciągnął rękę i dotknął kilku.

– Dach jest kryty siedemnastoma tysiącami gontów – wyjaśniła Julia Bergmann. – Każdy gont przymocowano kołkiem. Siedemnaście tysięcy drewnianych kołków. Każdy wykonany ręcznie. Jak wszystko w tym budynku. Czasami myślę, że cała tutejsza kultura to kultura drewna. Dekorowanie drewna malunkami w stylu *rosemaling*, drewniane ornamenty, stare drewniane domy. Jak gdyby warto było wyrażać tylko to, co da się przedstawić w drewnie.

Kołki wystające od spodniej strony dachu przywodziły mu na myśl średniowieczne narzędzie tortur. Może to słabe oświetlenie i niemal odurzający zapach samej budowli sprowadzały myśli na tak ciemne tory.

– Muszę pamiętać, żeby oddać klucz kościelnemu – powiedziała kobieta, otwierając drzwi.

W kościele panował ponury półmrok. W świetle latarki pani pastor Max dostrzegał stare polichromie na ścianach: mężczyźni i kobiety w pelerynach, niektórzy konno, w obramowaniu kwiatowej ornamentyki nie tak różnej od zdobień w stylu *rosemaling*.

– Z wyjątkiem lampki na ambonie nie ma tu elektrycznego oświetlenia. Używamy świec – wyjaśniła Julia.

Budynek, przez stulecia impregnowany smołą, można było wręcz uznać za niezapaloną pochodnię. Wystarczyłaby iskra, żeby stanął w płomieniach.

Pastorka skierowała światło latarki nad wejście do prezbiterium.

– Krucyfiks jest oryginalny, równie stary jak kościół. Z trzynastego wieku.

Był w tym samym odcieniu szarości co sosnowa gałąź, która przez wiele lat schła na ziemi – między kolorem popielatym a barwą kości słoniowej. Wychudzony Chrystus z opaską na biodrach. Żadnej korony, tylko wielki ból, który wykrzywił w grymasie prymitywnie wyrzeźbione usta. Gwoździe wbite w dłonie. Oczywiście w postaci drewnianych kołków. Zbawiciel wryty w tym samym materiale co warząchwie, wiadra i czarki do piwa.

– Draj mordercy. – Max usłyszał za sobą głos Julii.

Skierowała światło w górę. Na dwóch belkach pod dachem spoczywał długi kij, nieco cieńszy od sztachety.

– Człowiek imieniem Gunnar zabił nim swojego teścia w wigilię Bożego Narodzenia roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego trzeciego. Od tamtej pory narzędzie zbrodni spoczywa pod dachem. Nikt nie wie do końca dlaczego, ale ma być swego rodzaju przestroga.

– *Memento mori* – wymamrotał Max, myśląc o Knucie.

– Pamiętaj o śmierci – przetłumaczyła Julia Bergmann.

Wewnątrz zapach smoły był niewyczuwalny. Pachniało za to czymś, co przywoływało wspomnienia z dzieciństwa. Max musiał chwilę pogrzebać w pamięci, aż wreszcie skojarzył: spotkania wigilijne w salkach parafialnych! Tak pachniały salki w Evje i Porsanger: płynem do podłóg, odświętnymi strojami i wyszorowanymi dłońmi. Woń, która przez pokolenia wgrzyła się w ściany, od progu uderzała podekscytowane dzieci. Przypomniawszy sobie, co powiedziała pani pastor: kościół był nadal w użyciu.

Podążyła mu latarkę.

– Muszę iść coś załatwić w zakrystii – odezwała się i odeszła.

Max oświetlał ściany pokryte polichromiami. Mężczyźni jadący konno, w koronach na głowach, może trzej królowie w drodze do Betlejem. Kobiety w długich sukniach, z wielkimi krzyżami wymalowanymi na piersi – jak u krzyżowców – również w koronach. Pod wizerunkami widniał tekst, ale nie potrafił odczytać startych gotyckich liter, więc nie miał pojęcia, kogo przedstawiają wizerunki kobiet.

Zbliżył się do przejścia prowadzącego do prezbiterium. Obraz nad ołtarzem, wyglądający na dość

nowy, ukazywał Jezusa w niebieskiej szacie, z glorią wokół porządnie ułożonych włosów. Uderzyło go, jak bardzo dziecinnie wygląda ten wizerunek w zestawieniu z prymitywnym drewnianym Chrystusem w górze. Gdyby nie krzyż, figury prawie nie dałoby się odróżnić od bóstw domowych z muzeum.

Usiadł w jednej z ławek w pierwszym rzędzie, zapewne zastrzeżonych dla lokalnych osobistości, i gapił się na stary krucyfiks. Uważał, że można dotrzeć do prawdy. Tylko w to wierzył Max Fjellanger. Nie odebrał chrześcijańskiego wychowania, ale był konserwatystą. Chodził do kościoła nie z powodu wiary, lecz dla podtrzymania tradycji. To Ann była wierząca. Nigdy nie próbowała go przekonywać, jednak on zawsze miał świadomość, że wiara w nim tkwi niczym most, po którym nigdy nie przeszedł, a który mógł na nowo zbliżyć ich do siebie.

Jak Ann czułaby się w tym kościele?

Nie podobałby jej się mrok. Jej wiara była jasna i pełna radości. Tutaj było ponuro i tak cicho, że słyszał jedynie drobne skrzypnięcia, wydawane pewnie przez sam budynek. Może stare drewno rozszerzało się po długim, ciepłym dniu.

Nie wiedział, ile czasu minęło, ale zaczął się zastanawiać, gdzie podziewa się pani pastor. Drzwi do zakrystii były zamknięte. Max podszedł do nich i je otworzył. Nikogo tam nie było, ale na wprost zobaczył kolejne drzwi. Na pewno prowadziły na zewnątrz. Musiała po coś pójść.

Wrócił do prezbiterium i przeszedł środkiem nawy, oświetlając przestrzeń wokół siebie. Niedaleko wyjścia skierował latarkę w najciemniejszy kąt i prawie ją upuścił, gdy z mroku wyłoniła się wpatrzona w niego twarz. Brodaty mężczyzna w spiczastym nakryciu głowy. Poważny wzrok skupiał się na czymś odległym, z innego świata.

Max pojął, że znalazł Nikulsa. Posąg miał około metra wysokości i był poczerniały od wielowiekowej ekspozycji na dym świec.

Nagle twarz Julii Bergmann zmaterializowała się w mroku tuż obok świętego. Musiała wyjść z zakrystii i wrócić głównym wejściem.

– Przestraszyła mnie pani. – Max nie krył irytacji.

– Panuje tutaj szczególny rodzaj ciemności. Jak pan widzi, wcale nie są to ciemności egipskie. A jednak przedmioty tu giną. Ludzie też. Tylko to chciałam panu pokazać – powiedziała, przyglądając się mu badawczo. – W kościele też straszy – dodała. – Duch mnicha. Na ogół widuje się go nocą, jak wychodzi z kościoła, niosąc Nikulsa. Jak gdyby chciał odprawić stary rytuał. Aby zrozumieć to miejsce, trzeba zrozumieć dwie rzeczy. Mnicha i ten wyjątkowy mrok.

Wyszła bez dalszych wyjaśnień. Max udał się jej śladem, nadal lekko rozdygotany. Z ulgą powitał jasny wieczór.

– Jak długo pani tu służy? – zapytał.

– Prawie dziesięć lat.

– Młoda pastorka w starym kościele. I jak się pani pracuje?

Wzruszyła ramionami, jakby nie było o czym mówić.

– Może słyszała pani o mężczyźnie, który zaginął tutaj w osiemdziesiątym piątym? Nazywał się Peter Schram.

– Chyba wszyscy słyszeli. Skąd to pytanie?

– Brałem udział w poszukiwaniach. W poprzednim życiu pracowałem jako policjant. Zapomniałem, gdzie dokładnie mieszkał. Pani wie?

– W gospodarstwie Tveit. Na lewo od gospodarstwa komendanta. – Wskazała palcem.

Max spojrzał na zabudowania. Jakby wszystko to tylko na niego czekało. Jakby nie liczyło się nic, co dzieliło przeszłość i teraźniejszość. Nieważne, jak dobrze żyło mu się z Ann, to tutaj cały czas zmierzał. Do pachnącego smołą serca Telemarku.

ROZDZIAŁ 8

ZATRZYMAŁ SIĘ tuż przed mostem nad rzeką Tokke i wysiadł z auta. Zerknął na miejsce, gdzie znaleziono Knuta. Samobójstwo? Knut, którego Max znał w połowie lat osiemdziesiątych, nie porwałby się na coś takiego. Ale w ciągu trzydziestu lat człowiek mógł się przecież całkowicie zmienić.

Kluczyki musiały wysunąć się z wewnętrznej kieszeni – tak twierdził komendant.

Max próbował to sobie wyobrazić. Knut postanawia popełnić samobójstwo, topiąc się w rzece. Komórkę i portfel zostawia w samochodzie. Rozsądnie, ponieważ są to wartościowe przedmioty, a on ma rodzinę. Samochód też jest cenny. Nie ma sensu ryzykować, że ktoś go ukradnie lub zniszczy. Zatem zamyka go na klucz, a następnie wkłada kluczyki do kieszeni, w której zazwyczaj je nosi. Z całą pewnością nie jest to wewnętrzna kieszeń kurtki. Nikt tak nie robi. Tam trzyma się portfel.

Zbliża się do wody i zaczyna napełniać kieszenie kamieniami. Czy wykonałby to przykre zadanie, nie przejmując się, że są tam kluczyki? Max uważał, że tak. A w takim razie kluczyki nigdy by stamtąd nie wypadły.

Oczywiście istniała możliwość, że włożył je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Jak powiedział komendant: kto wie, co ludzie myślą w takich sytuacjach? Ale Max Fjellanger w to nie wierzył.

– Stary przyjacielu... – szepnął w stronę ciemnej wody.

Nagle znikąd zjawilo się wspomnienie: Knut i on na paśmie wzgórz Falkeriset. Nad nimi niebo, a na wschód szczyt Gaustatoppen przypominający wywróconą łódź. W drodze powrotnej zaskoczyła ich gwałtowna burza. Jej odgłosy podobne były do wystrzałów z dział, przed którymi nie mieli gdzie się schronić. W końcu ze strachu rzucili się w niewielkie zagłębienie terenu, z ledwością mieszczące ich obu. Leżeli tam, osłaniając głowy rękoma, jakby miało im to w czymś pomóc, podczas gdy siły przyrody szalały nad otwartym, płaskim krajobrazem Falkeriset. W pewnym momencie spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Nie mogli przestać się śmiać. Wystraszeni, a zarazem tak bardzo żywi. Dwóch młodych mężczyzn, zewsząd otoczonych olbrzymią, otwartą przestrzenią.

A trzydzieści lat później kamienie w kieszeniach.

Ale nie kluczyki.

Domek letniskowy stał zaledwie parę metrów od rzeki, nieco na uboczu, a jego ściany z dwóch stron blisko graniczyły z lasem. Wydawał się stary i kiepsko utrzymany, ale Max cieszył się, że znalazł sobie miejsce na noc. Okna były otwarte, a pokój wypełniało świeże letnie powietrze.

Wyjął z walizki zestaw podróżny – szczotki i pastę – i zaczął pucować buty. Pułkownik Fjellanger wpoił mu, że mężczyzna w brudnych butach nie jest godny zaufania. Twierdzenie to, jak nauczyło Maksa doświadczenie, nie zawsze się sprawdzało. A jednak był wdzięczny, że wyrobił sobie ten nawyk.

Kiedy pucował, jego wzrok spoczął na walizce, oklejonej nalepkami z różnych amerykańskich miast, które odwiedził razem z Ann. Prawdziwy dziennik wspólnego życia.

Przypomnił sobie ich ogród, pełen świetlików o zmroku i niskiego szumu latających kolibrów w dzień. Basen, w którym Ann, oglądana przez niego, regularnie pływała wieczorem. Jaszczurki śmigające po nagranych płytach w pościgu za owadami. Cały świat, który przepadł z powodu odejścia tej jednej osoby.

We śnie razem z Ann i Knutem Abrahamsenem łowił ryby w starej studni. Knut był błądy i zmizerniały. Max sam uważał, że to ohydne jeść ryby, które całe swoje życie spędziły w dziurze w ziemi. Woda w starej studni mogła być zanieczyszczona na wszelkie możliwe sposoby. Próbował protestować, ale Ann i Knut go zbywali. Nagle Ann wyciągnęła ze studni wielkiego węgorza i bez ostrzeżenia rzuciła nim w Maksa. Trafił go w ramię i wpił się w nie ostrymi ząbkami. Max strząsał go zdesperowany, ale ryba nie chciała puścić. Tymczasem Ann zmieniła się we wdowę po Knucie. Sam Knut zniknął. Wdowa wskazała na Maksa z przerażoną miną. A może wskazywała coś za nim? Odwrócił się, żeby sprawdzić, i wtedy się obudził.

Przedramię, w które wgrzył się węgorz, było mokre od potu. W pokoju unosił się dziwny zapach. Nie całkiem otrząsnąwszy się ze snu, pomyślał z początku, że ktoś grilluje rybę. Wtedy rozpoznał swąd

palonego papieru.

Usiadł na łóżku i się rozejrzał. Zdawało się, jakby za otwartym oknem weszło słońce. Ale światło było jakieś dziwne. Migotało.

„Pożar!” – przemknęło mu przez myśl. – „Domek się pali!”.

Wyskoczył z łóżka i wybiegł na dwór w piżamie. Pożar nie był duży. Na razie. Tuż pod ścianą domku paliły się tylko jakieś śmieci. Max wpadł do środka i napełnił wiadro wodą. Gdy wrócił na zewnątrz, ogień zdążył już niemal zgasnąć. Woda stłumiła ostatnie płomienie.

Napełnił wiadro raz jeszcze, dla pewności. Wziął też z sobą komórkę, a kiedy wyszedł, przykucnął i oświetlił telefonem miejsce małego pożaru. Wśród okopconych krzewinek i trawy ujrzał coś, co wyglądało na zwęglone resztki zgniecionej gazety. Podniósł papier i stwierdził, że miał rację. „Vest-Telemark blad”. Grzebiąc w świetle komórki w popiele, nie znalazł więcej nic ciekawego, więc wylał wodę z wiadra na resztki gazety.

„Co mam teraz zrobić?” – pomyślał.

Było dziesięć po drugiej w nocy i ktoś próbował podpalić domek, w którym spał.

Oświetlił jeszcze raz osmolone miejsce. Na fundamentach nie było nawet śladu sadzy. Widział jedynie przypalone krzewinki i trawę oraz stronę gazety, którą wcześniej odłożył na bok. Teraz podniósł ją i powąchał. Nie pachniała benzyną ani podpałką.

Jeżeli ktoś chciał spalić go żywcem, chyba postarałby się bardziej? Może to tylko wybryk małych dzieci? Max się rozejrzał, ale domek spowijała ciemność, poza tym wiedział, że w pobliżu rośnie świerkowy las, zwarty niczym ściana. Nie miał pojęcia, jak daleko się ciągnie. Może dziesiątki kilometrów?

Zdecydował się od razu opuścić domek i zameldować się w hotelu w Bø, oddalonym o niecałą godzinę jazdy.

ROZDZIAŁ 9

DRZWI DO GABINETU Henrika Thuego były zamknięte na klucz. Próbował się do niego dodzwonić, ale telefon okazał się wyłączony. A zatem profesor miał ważniejsze sprawy na głowie od rozmów z gorliwymi amatorami kościołów słupowych.

Max zjechał windą na parter i już miał wracać do hotelu, kiedy zmienił zdanie.

Jedyna osoba obecna w bibliotece siedziała za biurkiem, stukając w klawiaturę. Jej włosy sterczały we wszystkie strony. Plakietka na koszuli zdradzała, że nazywa się Tirill Vesterli.

Spojrzała na niego i posłała mu idealny uśmiech bibliotekarki, na którego widok trudno jest podnieść głos.

– Czy macie książkę Henrika Thuego o kościele słupowym w Eidsborgu? – szepnął. – Byłem dzisiaj z nim umówiony, ale go nie zastałem.

Bibliotekarka wstała i prędkim krokiem weszła w głąb opustoszałego wnętrza. Max podążył za nią, wpatrzony w jej włosy. Czyżby pojechała do pracy zaraz po przebudzeniu, nie myśląc nawet o uczesaniu? A może, wprost przeciwnie, to dokładnie przemyślany styl? Włosy kobiety wyglądały jak po eksplozji.

Znalazła dwie książki profesora i wróciła do swojego biurka. Max usiadł i zaczął je wertować. Pozycja *Kościół słupowy w Eidsborgu* traktowała o tym konkretnym budynku, od jego powstania w trzynastym wieku do czasów współczesnych. Wypełniały ją informacje o renowacjach i przebudowach. Druga książka, *Duch miejsca*, skupiała się na świętym Mikołaju, zwanym przez miejscowych Nikulsem.

Po półgodzinie bibliotekarka wróciła do niego i poinformowała, że wkrótce zamykają. Zapytała, czy chce wypożyczyć książki. Max jednak zaprzeczył, ponieważ nie miał pojęcia, czy będzie miał możliwość je zwrócić.

– Od dawna mieszka pan w Stanach? – spytała.

– Prawie trzydzieści lat.

Już chciał odejść, ale zapytał:

– Po czym to pani poznała?

– Pana ubrania nie wyglądają na norweskie. Kurtka Old Navy. Reszta pewnie też amerykańska. Nie musi to w sumie nic znaczyć. Mógł pan być na wakacjach w Stanach i, korzystając z okazji, kupić tam ubrania. Ale obrączka... To obrączka ślubna, prawda?

Max skinął głową.

– Na palcu serdecznym lewej dłoni, jak każe zwyczaj w większości krajów, ponieważ lewa dłoń znajduje się bliżej serca. W Norwegii nosimy obrączki tak daleko od serca, jak to tylko możliwe – wyjaśniła z uśmiechem. – Poza tym wygląda na dobrze zrosniętą z palcem. A zatem: amerykańskie ciuchy. Ożeniony za granicą. I to dawno temu. Voilà!

Rozłożyła ręce.

– Imponujące. Powinna pani być detektywem.

– Jestem nim co wieczór. Między okładkami książki. Myślę, że kryminały na długo mi wystarczą.

– Gdyby jednak zmieniła pani zdanie...

To miał być żart. Wyjął portfel i podał jej wizytówkę z napisem: „Max Fjellanger. Private Investigator”.

– O rany! – zawołała. – Prawdziwy detektyw!

– Zajmowałem się głównie demaskowaniem niewiernych małżonków lub pracowników podejrzewanych o kradzież w miejscu pracy. Nic dramatycznego.

– Zajmowałem się? Czy to oznacza, że nie jest pan już detektywem?

Musiał się namyślić. Minęło wiele lat, odkąd sam prowadził śledztwa. Ale teraz ta śmierć Knuta. I pożar pod ścianą domku zeszłej nocy.

– Tak naprawdę to nie jestem pewien – powiedział wreszcie.

Widział, że bibliotekarka zastanawia się, co też niepewny prywatny detektyw z Florydy robi

w Bø.

– Jestem, przynajmniej sercem – dodał.

Gdy to powiedział, jej twarz zmieniła wyraz. Rozejrzała się prędko, jakby chcąc się upewnić, że nikt ich nie słyszy, ale nadal byli jedynymi osobami w bibliotece.

– Zostanie pan tutaj długo? – spytała cicho.

– W Bø? Co najmniej do jutra.

– Nie wiem, co mam począć. Jakiś nieznajomy obserwuje moje mieszkanie, a na policji tylko się ze mnie śmieją.

– Dlaczego?

– Bo w zeszłym roku też się śmiali.

– Co się stało w zeszłym roku?

– Słyszał pan o Cecilie Wiborg?

Pokręcił głową.

– Niech pan sprawdzi to nazwisko. Wiborg przez W. Potem wyjaśnię, dlaczego policjanci się ze mnie śmieją.

– Potem?

– Lubi pan przekładańca?

Max za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego, lecz mimo wszystko odpowiedział twierdząco.

ROZDZIAŁ 10

HOTEL W BØ był oddalony o rzut kamieniem od uczelni, więc gdy tylko Max wrócił do pokoju, zrobił to, o co poprosiła go bibliotekarka. Pierwsze wyniki dla hasła „Cecilie Wiborg” pochodziły z dwudziestego piątego czerwca. Krótkie notki o studentce, która zaginęła w Bø. Żadna z nich nie wzmiankowała jeszcze, że mogło dojść do przestępstwa. Następnego dnia policja informowała, że ostatni raz Cecilie widziano w wigilię świętego Jana o godzinie 14.55. Kamera monitoringu zarejestrowała ją idącą ulicą Bøgata, z małym plecakiem na plecach. Zaledwie osiem minut później jej komórka przestała wysyłać sygnały do najbliższej stacji przekaźnikowej, co oznaczało, że albo została wyłączona, albo zniszczona, i w tym momencie trop się urywał. Jakby rozplynęła się w powietrzu – pisali dziennikarze.

W Bø roilo się od miejscowych i turystów, którzy cieszyli się ładną pogodą w wigilię świętego Jana. Policja wielkim nakładem środków usiłowała zrekonstruować przebieg zdarzeń na minuty przed i po tym, jak telefon Cecilie przestał nadawać sygnał. Po kilku dniach rozpoczęto poszukiwania samochodu, w którym ktoś widział kobietę wyglądającą, jakby wołała o pomoc, ale okazało się, że były to tylko wygłupy dzieciaków.

Cecilie Wiborg pochodziła z Asker, a Max zastanawiał się, dlaczego przebywała tego dnia w Bø. O tej porze już od dawna nie odbywały się zajęcia na uczelni. Może dorabiała gdzieś w wakacje, ale żadna z gazet o tym nie wspominała.

Przesłuchano jej kilka przyjaciółek. Max zwrócił uwagę, że jedna z nich powiedziała, że Cecilie zdarzało się okresowo wyłączać telefon. Czasem na cały wieczór. Dlatego przyjaciółka nie zareagowała, gdy nie udało jej się z nią połączyć w noc świętojańską. Zmartwiła się dopiero nazajutrz.

Max drgnął na dźwięk komórki leżącej na nocnym stoliku.

Dzwonił Henrik Thue.

Wydawał się młodszy niż na fotografii na okładce książki. Parę lat po czterdziestce – oszacował Max. Młody profesor. Krótco obcięty blondyn, w dzinsach i blezerze. Uścisk dłoni miał odpowiednio zdecydowany, podobnie jak spojrzenie zza okularów w stalowych oprawkach. Cała jego szczupła postać emanowała spokojem i opanowaniem.

– Obudziłem się z bólem brzucha, który już prawie minął – powiedział, dając Maksowi znać, żeby usiadł. – Przepraszam, że zapomniałem pana poinformować. Nielatwo o wszystkim pamiętać, gdy klęczy się przed muszlą klozetową.

Max machnął ręką.

– Jestem wdzięczny, że w ogóle chciał się pan ze mną spotkać.

Przed profesorem stało duże piwo, więc Max zamówił to samo. Z doświadczenia wiedział, że eksperci na ogół bardzo chętnie rozmawiają o swojej dziedzinie. Problemem było zazwyczaj, żeby przestali mówić.

– Jest pan Amerykaninem norweskiego pochodzenia? – zapytał Thue.

– Urodziłem się w Norwegii i nadal mam norweskie obywatelstwo, ale mieszkam w Stanach tak długo, że nie wiem już, kim jestem.

Piwo Maksa postawiono na stole. Wypił pierwszy łyk.

– Wrócił pan na stałe?

– Nie, tylko żeby nie stracić zupełnie kontaktu ze swoim dziedzictwem.

„Chyba nie mogłem bardziej minąć się z prawdą” – pomyślał.

– Na przykład w postaci kościołów słupowych?

– Właśnie. Wpadłem na pomysł, że mógłbym napisać artykuł dla magazynu „The Viking”. Amerykanie norweskiego pochodzenia szaleją na punkcie takich historii.

Rozejrzał się. Przy najbliższych stolikach siedziały głośne rodziny z małymi dziećmi, jedzące pizzę i pijące napoje gazowane. Wyładowana drewnem ciężarówka z przyczepą przetoczyła się obok, aż zabrzączały szklanki i sztućce.

– Słyszałem o Nikulsie i rytuale polegającym na noszeniu posągu dookoła jeziora i obmywaniu go. Po co to robiono?

– Do końca tego nie wiemy. Niektórzy sądzą, że to pozostałość jeszcze starszego obrzędu, który praktykowano w tym miejscu przed wprowadzeniem chrześcijaństwa. W czasach przedchrześcijańskich wodę i źródła często uważano za święte. Odprawiano tam rytuały, które miały zapewnić rok urodzaju i płodność małżeństw. Nie mamy pewności, ale Eidsborgtjørni mogło być właśnie takim świętym miejscem. Nie należało do rzadkości, że kościół przejmował obrządki religii, którą wyparł. Na przykład Boże Narodzenie zastąpiło pogańskie święto przesilenia zimowego. Podobnie noc świętojańska. Dawniej celebrowano wtedy najdłuższy dzień w roku. Możliwe, że takie uroczystości odbywały się w Eidsborgu, w okolicy jeziora, a później, po przyjęciu chrześcijaństwa, główną rolę zaczął odgrywać w nich Nikuls. *Same shit, new wrapping*, jak mawiają Amerykanie.

Henrik Thue należał najwyraźniej do ludzi, którzy lubią słuchać własnego głosu. W przeciwieństwie do Maksa Fjellangera, który wolał, kiedy mówili inni, ponieważ zawsze mógł się w ten sposób czegoś nauczyć. Ann twierdziła, że trudno go przez to rozgryźć.

– Rytuał związany z Nikulem jest wyjątkowy także pod tym względem, że odprawiano go aż do końca osiemnastego wieku. Około dwustu pięćdziesięciu lat po reformacji i wprowadzeniu zakazu czczenia w Norwegii wizerunków świętych.

– Dlaczego luterańscy pastory na to pozwalali?

– Niech pan pomyśli. Nawet dziś Eidsborg leży na uboczu. Jak pan sądzi, jak było kilkaset lat temu? To pastor był zdany na łaskę lokalnej ludności, a nie na odwrót. W dawnych czasach mieszkańcy Telemarku słynęli z zabijania duchownych.

Thue upił duży łyk piwa i rozejrzał się, jak gdyby kogoś wypatrywał.

– A co z duchem? Zna pan jego historię? – zapytał Max.

– Oczywiście. W tak starym budynku musi przecież straszyć. Mnich w szacie z kapturem widywany jest w drodze z kościoła, jak niesie Nikulsa. Zawsze to jakiś magnes przyciągający turystów.

– A więc po dziś dzień stoi tam oryginalny posąg?

– *The real thing*. Widział pan w ogóle nagranie?

Max zaprzeczył ruchem głowy.

– Przed paroma laty wskrzeszono rytuał. W formie rekonstrukcji historycznych, jakich wiele w kraju. Ale z udziałem pani pastor. I prawdziwego posągu. Dlatego niektórzy uważali przedsięwzięcie za błąd. Mówili, że to odtwarzanie starego pogańskiego kultu, chociaż nie stanowiło części nabożeństwa, a miało być kulturalną atrakcją. Z powodu tych kontrowersji po kilku latach przestano organizować te rekonstrukcje. Ale pierwszą z nich sfilmowano. O ile mi wiadomo, nagranie można znaleźć w sieci. Jeżeli chce pan zrozumieć, co Nikuls nadal oznacza dla miejscowych, powinien je pan obejrzeć.

– Mówi coś panu nazwisko Homme?

– Oczywiście. To najważniejsze gospodarstwo we wsi. Również najstarsze. Od dawien dawna należy do stróżów prawa. Jest w posiadaniu tej samej rodziny, odkąd pamiętam.

– Powiedziałby pan, że ta rodzina ma władzę?

Henrik Thue wzruszył ramionami.

– A czym jest władza? Może istnieją nieformalne areny władzy, gdzie dawny status nadal się liczy. Zresztą Eidsborg to mała wioska. Bardziej osada niż wieś. Więc jeśli już, to chodzi o bardzo lokalną władzę.

– Rozmawiałem wczoraj z komendantem Jonem Hommem – powiedział Max. – Zna go pan?

Profesor zmarszczył czoło.

– Dlaczego miałbym go znać?

– Pomyślałem, że może...

– Nie. – Znowu się rozejrzał, jakby kogoś wypatrywał albo obawiał się, że ktoś go zobaczy. – Nie znam nikogo z rodziny Homme.

– Słyszał pan o Peterze Schramie?

– To ten zaginiony?

– W osiemdziesiątym piątym. Czy to on pisał rozprawę doktorską na temat kościoła?

– Chyba tak.

– Myślałem, że będzie pan wiedział wszystko na jego temat – powiedział Max.

– Schram nie spisał wyników swoich badań. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Jest dla mnie tylko zasłyszonym nazwiskiem, historią, a z Eidsborgiem wiąże się wiele historii.

Zamilkł, jak gdyby zamknął się w sobie, jakby pytanie odebrało mu ochotę do rozmowy. Max spojrział na hałaśliwe rodziny przy pobliskich stolikach. Kilkoro dzieci miało na sobie koszulki z nazwą lokalnego aquaparku. Stare podania raczej nie miały tu dziś wielkiego znaczenia.

– Panuje powszechne, choć błędne przekonanie, że przeszłość minęła – odezwał się Henrik Thue, jakby czytając mu w myślach. – Prawda jest jednak taka, że ona nigdy się nie kończy.

ROZDZIAŁ 11

WYSIADŁ Z TAKSÓWKI przy blokach z tarasami. Trzech chłopców wyglądających na Somalijszczyków jeździło na rowerach po parkingu. Krzyczeli do siebie w obcym języku, nie interesując się specjalnie Maksem.

Odnalazł właściwe drzwi i zadzwonił. Wkrótce otworzyła mu z nerwowym uśmiechem. On też się denerwował. Na szyi miała łańcuszek z medalionem, na który wcześniej nie zwrócił uwagi. Wyglądał na egzotyczny i stary.

– Wejdz, proszę – powiedziała.

Udał się za nią po schodach na korytarz z licznymi drzwiami prowadzącymi do mieszkań. Koło drzwi Tirill wisiała podkowa.

W środku zauważył z zadowoleniem, że kobieta posiada imponującą biblioteczkę, a na ścianach wiszą zdjęcia – jak przypuszczał – rodziny.

Wśród nich wyróżniała się stara czarno-biała fotografia. Była większa od pozostałych i widniała na niej grupka pięciorga młodych ludzi, ustawionych w szeregu. Kilkuletnie dziecko siedziało przy stoliku, wyciągając rączki do kobiety, zapewne matki.

Wtedy zdał sobie sprawę, że to Tirill, tylko z włosami upiętymi w staromodny kok.

– To ty? – zapytał.

– Nie – odparła zza jego pleców.

Wydawała się przyzwyczajona do tego pytania, chyba ją bawiło.

– Rekonstrukcja starego zdjęcia?

– To jest stare zdjęcie.

– Ale to ty tam stoisz... Nie? – Nie dawał za wygraną.

– Nie, to moja praprababka. Zdjęcie pochodzi z roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego.

– Wyglądasz dokładnie jak ona!

– Wyobrażasz sobie, co czułam, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy? – spytała Tirill.

– Jakbyś spojrziała w lustro?

– Jakbym już kiedyś żyła. Ale ma w sobie jeszcze coś ciekawego. Widzisz?

Max pochylił się i dokładnie studiował fotografię.

– Dobrze przyjrzyj się twarzy praprababki.

Tak też uczynił. Podczas gdy pozostała czwórka spoglądała prosto w obiektyw, wzrok sobowótorki skierowany był w bok, jakby śledziła, co dzieje się poza kadrem. A może raczej jakby zapomniała o fotografii i dziecku, które wyciągało rączki, usiłując nawiązać z nią kontakt.

– Wydaje się trochę nieobecna.

– Nie tylko trochę – powiedziała Tirill. – Ona nie żyje. W tamtych czasach ludzie nie posiadali wielu zdjęć bliskich. Fotografia była czymś rzadkim i drogim. Danej osobie w ciągu życia robiono zdjęcie może kilka razy. A może nigdy. Śmierć była ostatnią okazją, żeby kogoś uwiecznić. Często odgrywano scenki z życia codziennego. Zmarły siedział na przykład z rodziną przy stole, przy kawie i cieście, w najlepszych ubraniach. Mój synek mówi o niej Babcia Śmierć. Czyż nie jest ładna?

– Eee, no... Ale jak oni ją postawili?

– Przypuszczalnie przywiązano ją do długiej deski, a potem oparto o ścianę. Pozostałe osoby na pewno to maskują.

– A chłopczyk? – dopytywał.

– Tak?

– Sprawia wrażenie, jakby próbował zwrócić jej uwagę – wyjaśnił Max.

– Jasne. Przecież to jego mama, nie?

Przez chwilę wyobraził sobie Ann martwą na leżaku przy basenie, z drinkiem w rękę.

– Sam nie powiesiłbym tego na ścianie – powiedział.

Tirill przekrzywiła głowę z zamyśloną miną.

– Dzięki temu zdjęciu chyba bardziej doceniam życie. Poza tym bawi mnie obserwowanie reakcji ludzi. Niektórzy zupełnie świrują. – Zaśmiała się. Ale siadaj już, a ja przyniosę ciasto i kawę – dodała.

Usiedli, a Max głośno pochwalił wypiek.

– A więc dlaczego w zeszłym roku wyśmiano cię na policji? – zapytał, kiedy zjadł dość, aby móc odłożyć łyżeczkę i nie wydać się przy tym niegrzecznym.

– Czytałeś o Cecilie Wiborg?

– To, co znalazłem w sieci.

– Rok temu, gdy śledztwo było w toku, poszłam na policję z teorią na temat tego, od czego powinni zacząć.

– To znaczy?

– Wiesz, gdzie leży Eidsborg? – zapytała Tirill.

– Tak. Twoim zdaniem to tam powinni byli jej szukać?

– Moim zdaniem zaginięcie miało związek z posągiem świętego i rytuałem. Wiesz, o czym mówię?

Max skinął głową.

– Chodzi o to, że Cecilie Wiborg pisała pracę magisterską o kontrreformacyjnych cechach kultury ludowej zachodniego Telemarku – ciągnęła Tirill. – Czyli o sprzeciwie wobec wielkich zmian, które nastąpiły, kiedy ludność musiała zrzec się starej religii katolickiej. W końcu protestantyzm został ludziom narzucony przez władzę królewską. Rytuał związany z Nikulsem uważa się za klasyczny przykład takich kontrreformacyjnych tendencji. A dokładniej fakt, że odprawiano go jeszcze przez kilkaset lat po tym, jak został zakazany.

– Twierdzisz, że Cecilie Wiborg pisała o kościele słupowym i Nikulsie? – zdumiał się Max.

– Głównie do nich odwoływała się w swojej pracy. Wiem to od innych studentów, z którymi rozmawiałam w zeszłym roku. Dziwne jest też, że zaginęła w wigilię świętego Jana. Prawda? Właśnie w noc świętojańską okrażano z posągiem jeziorko. W noc przesilenia letniego kumulują się ponoć wszelkie nadprzyrodzone moce. Wzmaga się działanie leczniczych roślin i ziół. Wód w uzdrawiających źródłach. Czarownice są szczególnie aktywne, zlatują się na miotłach na sabat. A jeśli dziewczyna zbierze siedem różnych gatunków kwiatów i włoży je pod poduszkę, przyśni jej się chłopak, za którego wyjdzie za mąż. Tego akurat próbowałam, ale przyśniło mi się tylko, że utknęłam w jakiejś rurze. To okazało się zresztą całkiem dobrą metaforą mojego przyszłego małżeństwa, więc może jednak coś w tym jest.

Max odniósł wrażenie, że fryzura kobiety pasuje do jej osobowości. Wtedy jednak przypomniał sobie, jak prędko wywnioskowała, że mieszka w Stanach tylko na podstawie obserwacji.

– To jak brzmiała twoja teoria? – chciał wiedzieć.

– Po prostu, że jej zniknięcie w wigilię świętego Jana to nie przypadek.

Nietrudno było to sobie wyobrazić. Młoda kobieta ginie bez śladu w Bø, aż tu zjawia się lokalna panna Marple, twierdząc, że policja musi zbadać trop związany ze starym obrzędem przesilenia letniego. Którego już nawet się nie odprawia.

– Mówiłaś, że ktoś obserwuje twoje mieszkanie.

– Mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem. Stał tutaj parę dni temu. Chodź, to ci pokażę.

Max podszedł za nią do okna.

– Przy prawym rogu tamtej budki.

– Dlaczego sądzisz, że to na ciebie patrzył?

– Bo stał tam już wiele razy wcześniej. Ale teraz zjawił się pierwszy raz od dawna. Zaczęło się zaraz po tym, jak poszłam na policję z moją teorią. Na początku lipca. Skończyło się jakoś w październiku.

– I teraz pojawił się znowu. Kiedy dokładnie? – dążył.

– Przedwczoraj, tuż przed dziewiątą.

Max przebywał wtedy w hotelu na Gardermoen.

– Jesteś pewna, że to ta sama osoba?

– Nie mogę oczywiście być pewna, ale ktoś bardzo podobny. I stał dokładnie w tym samym miejscu. Dokładnie w tej samej pozie. Kiedy spotkałam cię w bibliotece, pomyślałam... Prywatny detektyw, który chce rozmawiać z Henrikiem Thuem. Myślałam, że może przyjechałeś tu w związku z tą sprawą. Że może wynajęli cię rodzice Cecilie. I że może dałbyś się przekonać do tego, co wyśmiała policja.

– Przyjechałem dla starego przyjaciela – powiedział Max. – Słyszałaś o mężczyźnie, który w zeszłym tygodniu utonął w Dale?

ROZDZIAŁ 12

– KTOŚ MUSIAŁ wyrzucić kluczyki do rzeki... – odezwała się Tirill. – Wiedziałam, że ta śmierć jest podejrzana! Wiedziałam!

Max spojrział na nią zdumiony.

– Usiłuję być na bieżąco ze wszystkimi morderstwami i podejrzanyimi zgonami, o których mówią w wiadomościach – wyjaśniła tonem, jakby mówiła o najzwyklejszym hobby.

Coś zaczęło mu świtać. Zdjęcie martwej sobowtórki na ścianie, zamiłowanie do morderstw – czy to aby nie wariatka?

Kiedy wyszła do toalety, skorzystał z okazji, żeby zlustrować biblioteczkę.

W zbiorach dominowały dwa typy książek. Kryminały – głównie norweskie lub szwedzkie – oraz książki o przesądach i kulturze ludowej. Wyjął jedną z nich. M.B. Landstad, *Mityczne podania z Telemarku*. Był tam też tom pod tytułem *Magia w Norwegii* oraz pozycja o zabójstwach w Telemarku w siedemnastym i osiemnastym wieku.

Max raczej nie uspokoił się po tej inspekcji.

– Coś się stało? – Nie zauważył, kiedy wróciła. – Dziwnie wyglądasz.

– Tak tylko myślę – odezwał się, odstawiając książkę na miejsce.

– O czym?

– O czymś, o czym jeszcze ci nie powiedziałem.

Usiadła na krześle, nawet na sekundę nie spuszczając z niego wzroku. Max zastanawiał się, co tak naprawdę napędza jej intensywne zainteresowanie taką tematyką.

– Słyszałaś o Peterze Schramie? – zapytał, siadając.

Widział, że mocno się zastanawia.

– Nie.

– A zatem opowiem. W młodości pracowałem parę lat jako posterunkowy w gminie Tokke. Razem z Knutem Abrahamsenem, którego znaleziono w zeszłym tygodniu w Dalen z kieszeniami pełnymi kamieni. Latem osiemdziesiątego piątego roku otrzymaliśmy zgłoszenie o osobie, która nie wróciła ze spaceru w lesie. Szukaliśmy go wiele razy, cywile też skrzyknęli się do udziału w poszukiwaniach, ale Petera Schrama nigdy nie znaleziono. Co ciekawe, był naukowcem i pracował nad rozprawą na temat kościoła słupowego w Eidsborgu i rytuału Nikulsa.

– Jasny gwint! – szepnęła Tirill.

– Mam również powody przypuszczać, że ówczesny komendant Jørgen Homme nie chciał, żeby Schram został odnaleziony.

Opowiedział jej o owczarku, o którego komendant nie prosił, a którego mimo to sprowadzono. Był to najlepszy pies tropiący w policji okręgu Telemark. Opisał też swoją wizytę w gospodarstwie rodziny Homme, gdy przyjechał odebrać przywiezione tam zwierzę, ale komendant zabronił mu go użyć. Twierdził, że pies jest niebezpieczny. Wywołało to zaciętą dyskusję, aż wreszcie komendant zagroził, że Max straci pracę, jeżeli skorzysta z psa.

– Jesteś całkowicie pewny, że nie był groźny? – zapytała Tirill.

– Szkolony pies policyjny? Oczywiście, że nie był.

– A jednak dałeś za wygraną?

Poczuł, że rana całkiem się otworzyła. Wszystko, co tłumił przez lata spędzone na Florydzie, wypłynęło na powierzchnię.

– Bałem się – powiedział. – Bałem się Jørgena Hommego, bałem się stracić pracę. Pokonały mnie strach i tchórzostwo.

Tirill podniosła urządzenie – Max uznał, że to pewnie monitor oddechu – i nasłuchiwała.

– Słodko śpi. Chcesz posłuchać?

Jakaś jego część się sprzeciwiała, ponieważ wydawało mu się to bardzo intymne, ale nie chciał jej urazić.

Kiedy przyłożył monitor do ucha, usłyszał z początku jedynie biały szum, jak na kanale

radiowym, gdzie niczego nie nadawano. Wkrótce jednak zwrócił uwagę na wolny, regularny rytm. Max myślał, że oddech śpiącego dziecka jest lekki jak trzepot skrzydeł motyla, ale syn Tirill oddychał głęboko i mocno.

– Ma na imię Magnus i ma cztery lata – powiedziała. – Czasami chciałabym posiadać jakieś urządzenie elektromagnetyczne, dzięki któremu mógłby na chwilę zniknąć. W takich sytuacjach wykorzystuję za to swoją matkę, która mieszka rzut kamieniem stąd. Jest nauczycielką w podstawówce i znakomicie radzi sobie z dziećmi. Moi rodzice są rozwiedzeni. Tata wrócił do Larvik, skąd pochodzi.

Max oddał Tirill monitor.

– Niechęć do podejmowania ryzyka może mieć wiele przyczyn – powiedziała. – Ale nikomu nie wolno oceniać cudzych powodów. Jedynie swoje własne.

Odniósł wrażenie, że kobieta próbuje go w ten sposób pocieszyć.

– Czy ten Schram też zaginął w wigilię świętego Jana? – zapytała.

– Nie pamiętam. Googlowałem jego nazwisko, ale nie mogę znaleźć nic na temat tej sprawy. Jest w końcu stara i nigdy nie została sklasyfikowana inaczej niż jako zaginięcie.

– Myślisz, że to było coś innego?

– Wiem jedynie, że komendant Jørgen Homme nie chciał użyć psa tropiącego. Spotkałem się zresztą z Henrikiem Thuem niedługo po mojej wizycie w bibliotece. Rozmawialiśmy chwilę o Eidsborgu i kościele słupowym. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Cecilie Wiborg pisała pracę na ten temat. To pewnie oznacza, że Thue ją znał?

– Był jej promotorem.

Przenieśli się na niewielki balkon. Na zachodzie, gdzie słońce powoli znikało z pola widzenia, w krajobrazie dominował prześwit między górami, brama prowadząca do Seljord i dalej, w głąb zachodniego Telemarku. Gdzieś tam istniały odpowiedzi na wszystkie pytania. I te właśnie odpowiedzi musiał odnaleźć.

– Nie boisz się, że ktoś próbował podpalić domek, w którym spałeś?

– No... – mruknął Max. – Ten, kto to zrobił, nie chciał mnie zabić. Może to tylko wygłupy małałotów. Może ten ktoś nie wiedział nawet, że domek nie jest pusty. W najgorszym wypadku mogło to być ostrzeżenie.

– Kto wiedział, że jesteś w Dalen?

Zastanowił się.

– Wdowa po Knucie, a zatem potencjalnie również inni członkowie rodziny. Henrik Thue, ponieważ wspominałem o tym, kiedy dzwoniłem do niego z hotelu na Gardermoen. No i osoby, z którymi rozmawiałem w Eidsborgu, ale nie było ich wiele. Kustosz w muzeum. Komendant i pastorka. Paru pracowników kempingu.

– Henrik Thue nie jest sobą od czasu zaginięcia Cecilie – powiedziała Tirill. – Czasami nie przychodzi na wykłady. Pewnie też pije. Zazwyczaj nie plotkuję, wierz mi, ale wiele do mnie dociera. Mama mówi, że jestem w pięćdziesięciu procentach plotkarą.

– Co to znaczy?

– Że jak plotkara mam nosa do wszystkiego, co w trawie piszczy, ale nie przekazuję tego dalej. O profesorze mówię ci tylko dlatego, że pracujemy razem.

Max drgnął.

– Pracujemy razem?

– A nie? Ty pomagasz mi się dowiedzieć, kto obserwuje moje mieszkanie. Ja pomagam ci w sprawie zabójstwa twojego dawnego kolegi.

– Zabójstwa?

– Chyba nie pojechałbyś aż do Dalen, gdybyś nie podejrzewał, że coś jest nie tak?

W pewnym sensie miała rację. Odrzucił już myśl, że jest wariatką. Może i była nieco ekscentryczna, ale przy zdrowych zmysłach. I bez dwóch zdań bystra.

– Masz świadomość, na co się być może porywasz? – zapytał.

Skinęła z zapalem głową.

– Dlaczego to robisz?

– Bo prawda istnieje, chociaż jej nie widzimy.

Max Fjellanger oparł się i upił łyk białego wina. To poprawna odpowiedź. Prawda zawsze prowadziła go przez życie. Myśl o tym, że gdzieś się kryje, choćby trudno było ją dostrzec. Dokładnie tak, jak powiedziała Tirill.

Tarcza słoneczna kryła się za horyzontem. Przez chwilę brama zachodniego Telemarku zdawała się falować w mgiełce kolorów, jakby była zrobiona z czegoś innego niż skała. Bardziej ulotnego. Może z marzeń.

ROZDZIAŁ 13

NAZAJUTRZ, W DRODZE POWROTNEJ do Dalen, maksymalnie zwolnił, mijając kościół słupowy w Eidsborgu. Teraz również parkowało tam kilka wielkich autokarów, a przed kościołem tłoczyli się lekko ubrani ludzie, którzy zdawali się jedynie oglądać budynek. Max zastanawiał się, co tak naprawdę znaczyło dla nich zetknięcie ze starym posągami świętego. Większość pewnie bez żadnej refleksji realizowała program wycieczki, ale dla nielicznych może miało to jakieś głębsze znaczenie.

Najpierw chciał odwiedzić siedzibę gminy, Dalen, położone kilka kilometrów ostro w dół stąd, nad jeziorem Bandak. Zjeżdżając w ślimaczym tempie serpentynami po zboczu, myślami wrócił do roku 1985, kiedy tą samą drogą wracał po wstrząsającym starciu z Jørgenem Hommem. Tego popołudnia wyznaczył sobie kurs na resztę życia. Gdyby nie kłótnia o psa, nie odszedłby z policji. Być może uczyniłby to później, z innych powodów, na przykład zmęczony opieszałością i biurokracją. Gdyby nie to przedpołudnie, nigdy nie wylądowałby w Stanach. Na pewno nie jako prywatny detektyw na Florydzie.

A zatem nie byłoby też Ann. Smutku z powodu niemożności posiadania dzieci. Zjednoczenia się w tym smutku.

Życie byłoby całkiem inne.

Gdy pokonywał te same zakręty co wtedy, boleśnie ścisnęło go w gardle. Na miejscu w Dalen rozplakał się. Zaparkował niedaleko mostu, gdzie znaleziono Knuta, oparł ręce na kierownicy, a na nich głowę.

To nie wina Jørgena Hommego. O takim kursie zdecydowała jego własna tchórzliwość. Fakt, że się ugiął i uległ brutalnemu szantażowi komendanta.

„Spuść psa, a nic więcej nie zrobisz już w tej pracy”.

Nadal dokładnie pamiętał brzmienie jego głosu wtedy, na podwórzu. Jakby ktoś usunął filtr, dzięki któremu komendant zwykle wydawał się sensownym człowiekiem. Bez niego Jørgen Homme jawił się taki, jaki był w istocie. Bezwzględny. Brzmiał, jakby napawał się okazywaniem tej bezwzględności młodemu posterunkowemu.

W końcu Max nie miał już czym płakać. Otarł łzy, włożył okulary przeciwsłoneczne i wysiadł. Nad brzegiem rzeki, gdzie znaleziono Knuta, rozpoczął systematyczne poszukiwania. Nie szukał czegoś konkretnego. Liczył właściwie na cokolwiek. Chociaż szanse na to, że komendant i jego ludzie coś pominęli, były niewielkie.

„Tym razem się nie ugnę” – pomyślał. – „Tym razem prawda musi wyjść na jaw. Za wszelką cenę”.

Po półgodzinie zrozumiał, że nic tam nie znajdzie. Wspinając się z powrotem w stronę drogi, zobaczył, że zaparkował tam jakiś samochód. Umundurowany Jon Homme przyglądał mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W tej chwili od ojca różnił go tylko wielki siwy wąs.

– Prowadzimy badania? – zapytał, kiedy Max dotarł na górę.

– Sprawdzalem tylko temperaturę.

– Ma pan ochotę na kąpiel?

– Słyszałem, że to niebezpieczne miejsce.

Komendant zaśmiał się bezgłośnie.

– Nadal mieszka pan na polu kempingowym?

Max nie wspominał mu ostatnim razem, gdzie się zatrzymał.

– Nie, źle mi się tam spało. A tak przy okazji – gdzie znaleźliście samochód Knuta?

– Mniej więcej tam, gdzie teraz stoi mój. – Homme zrobił zbolalą minę. – Rozumiem, że to pana gnębi. Stary kolega umiera dokładnie w miejscu, gdzie razem pracowaliście. Sam też uznałem za dziwne, że tak nagle się tutaj pojawił. Ale jedno wiem na pewno: nic nie wskazuje na to, że Knut Abrahamsen został zabity. Ani ślady na kolanach, ani rozcięta warga. Ani nawet kluczyki samochodowe. Skoro był pan policjantem, na pewno dobrze pan wie, że nie jest to wniosek, do którego doszedłem sam, ale przede wszystkim konkluzja techników.

Max skinął głową.

– Oczywiście ma pan rację. Nie myślę też, że Knuta zabito – skłamał. – Wcale nie. Trudno jest tylko zapomnieć o przeszłości.

Pod wąsem zjawił się cień uśmiechu.

– Nie musi się pan usprawiedliwiać – powiedział komendant. – Sam tak mam.

ROZDZIAŁ 14

WĄSKA ŻWIROWA ŚCIEŻKA prowadziła do żółtego domu z lat siedemdziesiątych, położonego na skraju lasu tuż poza centrum Dalen. Szybkie wyszukiwanie w Internecie pokazało, że Tellev Sustugu nadal mieszka w Dalen. Maksa najbardziej zdziwiło to, że w ogóle żyje – przypuszczał, że umarł już dawno temu.

Stare volvo kombi stało zaparkowane w garażu z zardzewiałych płyt z blachy falistej. Wyglądało na nieużywane od dłuższego czasu. W wysokiej trawie porastającej całe podwórko nie było widać śladów opon. Na werandzie, która pilnie wymagała olejowania, stało kilka drewnianych krzeseł i stół z laminowanym blatem, przypominający Maksowi mebel z jego rodzinnej kuchni w latach sześćdziesiątych.

Zamiast dzwonka przy drzwiach zamocowano drewnianego dzięcioła ze sznurkiem. Po pociągnięciu sznurka ptak zastukał z łoskotem w futrynę. Max pociągnął go kilka razy, bez reakcji.

Kiedy miał już wrócić do samochodu, zza rogu domu wyłonił się starszy mężczyzna w dżinsach, z gołym torsem. Przez środek jego opalonej piersi ciągnęła się duża biała blizna pooperacyjna. Czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu – wyglądał jak wylizany przez krowę. Max rozpoznał twarz i muskularną, atletyczną sylwetkę. Parę razy się z nim bił.

– Tellev...

Mężczyzna zatrzymał się kilka metrów od niego i posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

– A ty, kurde, to kto?

– Nazywam się Max Fjellanger i byłem tutaj posterunkowym przez parę lat w połowie lat osiemdziesiątych.

– Aha... Mamy z sobą na pieńku?

– Nie. Ale mój kolega i przyjaciel z tamtych czasów, Knut Abrahamsen, wskoczył w zeszłym tygodniu do rzeki Tokke. Z kamieniami w kieszeniach.

– O cholera... – zaklął cicho mężczyzna.

Tellev Sustugu siorbnał nieco wrzącej kawy.

– Ty i Abrahamsen byliście w porządku, o ile pamiętam. Żółtodzioby, ale w porządku. Szkoda, że umarł.

– Wypada mi chyba podziękować. Jeśli dobrze pamiętam, spotkaliśmy się kilka razy.

– Trudno było tego wtedy uniknąć. Ale już dawno się uspokoilem. Koniec z wygłupami. Za czasów mojej młodości wyznawano zasadę, że trudnego chłopaka wysyła się w morze. Taki sposób na utemperowanie smarkacza. W moim przypadku efekt był odwrotny. Nabrałem tylko ochoty na więcej zabawy. Więcej draństwa.

Ze śmiechem rozprostował muskularne ciało. Max pamiętał go właśnie takiego – jako człowieka, który płonął wewnętrznym ogniem, co czyniło go fascynującym i trochę straszonym zarazem. Jakby nie zamierzał uznawać jakichkolwiek granic.

– Ale wybryk po zejściu na ląd w Singapurze to jedno. Tam można było uniknąć konsekwencji. Co innego w Dalen.

– Szybko wpadłeś w tarapaty?

Maksowi przeszła ochota na kawę. Była bez mleka, o zapachu tak ostrym, że skręcało od niego w żołądku.

– Kurde, od razu. – Tellev Sustugu uśmiechnął się szeroko i zaczął skręcać papierosa z niebieskiej paczki. – Wiesz, dziewczyny pod koniec lat pięćdziesiątych... Trochę za bardzo się dostawiłeś i już rwetes. Pociągnąłem tylko za gumkę od majtek. A oni na to – uśmiał się. Później szło już bez przerwy.

Jego twarz przybrała gorzki wyraz. Max przypomniał sobie przypadek z połowy lat osiemdziesiątych, gdy młoda dziewczyna oskarżyła Sustugu o próbę gwałtu. O ile sobie przypominał, sprawę umorzono.

– Wiesz może, czy Knut bywał tu w ostatnich latach?

– Nie mam pojęcia – odparł Sustugu. – W życiu bym go nie rozpoznał.

Max uznał, że odpowiedź padła trochę zbyt prędko.

Nastąpiła cisza. Max czuł się, jakby odwiedził upiora z przeszłości. Właściwie to on sam był upiorem, ponieważ zjawił się bez zapowiedzi.

– Zakładam, że dobrze znałeś Jørgena Hommego – powiedział. – Jeżeli nie osobiście, to... jak by to ująć... zawodowo?

– Nie zliczę, ile razy ten stary sukinkot chwycił mnie za kark.

– Słyszałeś kiedyś plotki o tym, że był skorumpowany?

Sustugu wybuchnął krótkim, urywanym śmiechem.

– Plotki? Homme kradł złodziejskie łupy, które potem sprzedawał. Wiem to z pierwszej ręki. Musiał w ten sposób zbić fortunę. Ale publicznie nigdy nie powiem o nim złego słowa. Jesteś nadal w policji?

Max zasłonił się rękami.

– Gdzie tam. Nie mieszkam już nawet w kraju. Wróciłem tylko na stare śmieci po utonięciu Knuta. Wyszły przez to na wierzch stare brudy. Dlaczego nie chcesz mówić o nim publicznie? Boisz się?

– Jasne, że się boję – odpowiedział Sustugu bez namysłu.

– Jego syna?

– Nie, starego.

– Ale on przecież nie żyje.

Osiadły na ładzie marynarz długo przyglądał mu się badawczym wzrokiem.

– Czyżby? – odezwał się wreszcie. – Opowiem ci historię, którą usłyszałem w więzieniu. Nieważne od kogo, bo facet już umarł, a ja nie pamiętam nawet, jak się nazywał, ale pochodził z jednej z okolicznych wiosek. Opowiedział mi stare podanie z Eidsborgu, którego nie słyszałem wcześniej ani później. Pewnego razu sam diabeł miał się żenić, a na liście gości figurował komendant Homme. Jak wiesz, Homme nie był strachliwy, więc kiedy nadszedł dzień wesela, zjawił się w piekle w najlepszym garniturze, gotów na przyjęcie. W ciągu wieczora wszyscy goście porządnie się upili, a Homme, jak wiadomo, po pijaku robił się zły. Doszło więc do tego, że wszczął bójkę z samym panem młodym. Czort też nie należał do bojaźliwych, więc walczyli zacięcie, a żaden nie chciał odpuścić. Homme wyjął nóż i pochłastał przeciwnikowi dupę. Wtedy czort dostał białej gorączki, komendant wystraszył się i wziął nogi za pas. Nie pamiętam już, jak mu się to udało, ale wrócił do Eidsborga. W lesie niedaleko gospodarstwa rodziny Homme diabeł go dogonił i komendant znów tłukł się z biesem. Tym razem wygrał, więc pan młody musiał wracać do domu z podkulonym ogonem. Wtedy Jørgen się zorientował, że diabeł zgubił obrączkę. Podniósł ją, ale ta wyparowała mu w palcach. W miejscu, gdzie leżała na ziemi, ponoć nic nie chciało już wyrosnąć. Podobno nadal jest takie miejsce w lesie niedaleko gospodarstwa rodziny Homme. Sam go co prawda nie widziałem, ale... Rozumiesz już, dlaczego nie chcę mówić publicznie o Jørgenie Hommem, chociaż nie żyje od kilku lat. Facet był z innego świata.

Max słuchał z narastającym zdumieniem.

– Jak to możliwe, że jest to stare podanie, skoro traktuje o człowieku, z którym pracowałem?

– A cholera wie – zirytował się Sustugu. – Może dlatego, że członkowie rodu Homme od pokoleń są stróżami prawa. O ile wiem, zawsze nosili imiona Jon i Jørgen. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to cały czas był jeden i ten sam człowiek. A może obrączka diabła wcale nie wyparowała? Może komendant ją sobie zatrzymał i zyskał życie wieczne?

Max uniósł kubek i upił łyk kawy, głównie dla zachowania pozorów. Smakowała jak napój, który mógł zostać podany na czarcim weselu.

ROZDZIAŁ 15

PO WIZYCIE U TELLEVA Sustugu wrócił do muzeum. Nowoczesny gmach stanowił przedłużenie dawnych wiejskich zabudowań. Chociaż niektóre ze starych drewnianych budynków były nieduże i skromne, Max uznał, że całość prezentuje się raczej nachalnie. Jak gdyby ktoś donośnym głosem podkreślał wagę ciszy. Ale tak to już tutaj było, jeszcze w czasach, gdy sam tu mieszkał. Wszystko, co stare, zawsze wypychano na pierwszy plan, a nowości witano z pewnym sceptycyzmem. Nowych ludzi również.

Nieopodal zauważył kustosza Johannes Lioma i pastor Julię Bergmann, rozmawiających przed szarym drewnianym budynkiem. Zauważyli go dopiero, gdy podszedł bardzo blisko.

– Nadal tutaj? – zagaił Liom.

– Tak szybko się mnie nie pozbędziecie.

Julia Bergmann się zaśmiała.

– Chyba nie sądzi pan, że chcemy się pana pozbyć? Wprost przeciwnie, życzymy sobie, by ludzie do nas wracali. Tak jak pan. Jest pan właściwie gościem idealnym.

Max pomyślał, że uśmiecha się odrobinę zbyt ładnie jak na pastorkę. Włosy, wygolone na karku, opadały długim, jasnym kosmykiem na oko. Tak jak ostatnio, fryzura kontrastowała z odrobinę staromodnym strojem. Spódnica Julii sięgała do połowy łydki, a wszystkie guziki bluzki były zapięte, chociaż słońce niemiłosiernie grzało.

– Prawda? – zwróciła się do Johannes Lioma.

Liom uśmiechnął się chytrze.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Pomimo uśmiechów i żartobliwego tonu Max zdawał się dostrzegać między nimi pewne napięcie. Wyczuwał, że wynikało ono z przerwanej rozmowy. Sytuacja rozładowała się, gdy jakiś młody człowiek przyjechał tym samym czerwonym pikapem, który poprzednio prowadził Liom. Zatrzymał się i opuścił szybę.

– Jedziesz? – odezwał się do Johannes.

– To Lars, mój syn.

Max podał mu rękę przez otwarte okno.

Johannes obszedł samochód i otworzył drzwi. Zanim wsiadł, spojrzał znad dachu na Julię Bergmann. – Pogadamy innym razem – powiedział.

Skinęła głową, a Johannes zajął miejsce obok syna. Ruszyli w stronę wyjazdu. Max został sam z niemiecką panią pastor.

– Też muszę już iść – oznajmiła.

Gdy mieli się pożegnać, przypomniał sobie coś, co powiedział mu Henrik Thue.

– Czy to prawda, że parę lat temu próbowano odtwarzać rytuał Nikulsa?

Jej twarz spochmurniała, gdy tylko o tym wspomniał.

– Chcieli tego niektórzy z tutejszych – odparła nadąsana.

– Ach tak?

– Tak, to miała być rekonstrukcja historyczna. Wyjątkowy wieczór dla lokalnej społeczności. Uzyskaliśmy pozwolenie konserwatora zabytków na użycie posągu. Ale wszystko było oczywiście tylko grą. Może to z mojej winy skończyło się, jak się skończyło. Wyznaczono mi rolę katolickiego księdza. W sumie to dość komiczne, przecież jestem kobietą. Ale co tam! Szłam i śpiewałam jak podczas liturgii. Po łacinie. To znaczy usiłowałam. Niektórzy jednak uznali, że granica między udawaniem a katolicką mszą się zamazała. Dlatego rekonstrukcję zorganizowano tylko dwa razy.

Max przypomniał sobie uwagę Thuego, że przedstawienie utrwalono na filmie.

– To kto czynił pani trudności?

– Przede wszystkim większość rady parafialnej, ale Johannes też się sprzeciwiał. Martwił się o posąg. Właściwie to o Nikulsie dyskutowaliśmy, kiedy pan przyszedł. Nadal uważam, że powinniśmy aktywniej korzystać z figury świętego. Oczywiście nie podczas nabożeństw. Jesteśmy w końcu

protestantami. Ale moglibyśmy organizować dzień Nikulsa w wigilię świętego Jana, kiedy posąg byłby zabierany z kościoła i pokazywany publicznie. Można by zapraszać ekspertów do wygłaszania prelekcji o świętym i historii kościoła. Coś w tym stylu.

– A Johannes?

– Na to też się nie zgadza. Z tych samych powodów, co w przypadku rekonstrukcji. Z obawy, że coś się stanie figurze. Trochę się o to posprzeczailiśmy.

– Dziwne – powiedział Max. – Spodziewałbym się raczej, że pracownik muzeum będzie chciał pokazywać dzieło sztuki i szerzyć wiedzę, natomiast protestancka pastor będzie wołała mieć jak najmniej do czynienia z dawnym wizerunkiem świętego.

– W Eidsborgu nie wszystko działa tak, jak gdzie indziej. Nauczyłam się już to akceptować.

Znów uśmiechnęła się w sposób nielicujący z profesją. Co takiego powiedziała wcześniej o grzechach głównych? „Jak większość ludzi popełniłam już wszystkich siedem”.

ROZDZIAŁ 16

WRÓCIŁ DO BØ na obiad w hotelu. Położył się wcześniej, lecz, jak często mu się zdarzało, miał trudności z zaśnięciem. Krótco po północy postanowił przespacerować się do dwóch kościołów na wzgórzu, górujących nad centrum miasteczka.

Wchodząc pod górę, ledwie rozróżniał zarys nowego kościoła na tle nocnego nieba. Za to stary kościół był częściowo oświetlony przez reflektor i zdawał się unosić w powietrzu, jakby przeniesiony prosto ze średniowiecza.

Idąc przez mrok wzdłuż drewnianego kościoła, Max przedostał się do starego, bielonego budynku i dotknął jego chłodnej powierzchni. „Jakiemu świętemu był poświęcony?” – zastanawiał się. – „Jakie procesje odbywały się tu przed reformacją?”

Reflektor oświetlający kościół przymocowano do drzewa od strony centrum. Usiadł na ławce nieopodal. Nocny pociąg z Oslo wtaczał się na stację w dole niczym połyskujący w ciemności, długi wąż.

Max pragnął zyskać ogłęd sytuacji, poznać wzajemne związki wszystkich elementów tej historii, ale droga do tego była jeszcze daleka. Co Knut robił w Dalen? W życiu nie pojechałby się tam zabić. W każdym razie nie tylko po to. Max nigdy nie wspomniął mu o epizodzie z psem tropiącym, którego użycia zabronił komendant Homme. Według wdowy Knut odszedł z policji, zanim jeszcze go poznała. Syn wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Knut nie pracował zatem w policji od co najmniej dwóch dziesięcioleci. A tak kochał tę robotę. Do tego na długo przed śmiercią przebywał na rencie. Oczywiście mogło istnieć ku temu wiele powodów, ale ton głosu wdowy, gdy o tym mówiła, sugerował, że nie było jednej, konkretnej przyczyny. Max czuł, że chodziło o nerwy. Nerwy i porażkę. Coś wstydliwego. A nie, dajmy na to, poważny uraz wskutek wypadku przy pracy. O tym by powiedziała – co do tego miał pewność.

Wczesne odejście z policji. Nerwy. Renta. Na koniec ostatnia, niewyjaśniona wizyta w Dalen. Gdzie znaleziono go w rzece z kieszeniami pełnymi kamieni.

W drodze powrotnej z Eidsborga Max zastanawiał się nad pożarem. Był zbyt poważny, by uznać go za wygłupy dzieciaków. W takim razie musiał być ostrzeżeniem. W taki sposób powinien traktować to, co się stało.

Tylko kto go ostrzegł? I przed czym?

Nocny pociąg opuścił stację, ruszając dalej do Kristiansand i Stavanger, przez pogrążone w mroku wioski i miasteczka, gdzie ludzie żyli zwyczajnie, strzegąc swoich tajemnic.

Wstał z ławki i wrócił w pobliże starego kościoła. Gdy tylko wyszedł z kręgu światła reflektora, usłyszał odgłos kroków na żwirze. Odwróciwszy się, zobaczył postać na tle ściany budynku, w miejscu, z którego sam przed chwilą przyszedł. Skąd się wzięła? Czy cały czas stała w pobliżu, kiedy on siedział na ławce?

Co sił w nogach ruszył wzdłuż wysokiej drewnianej świątyni. Cały czas słyszał za sobą kroki. Po dotarciu do drogi nagle się zatrzymał. Postać zrobiła jeszcze kilka kroków i też przystanęła. Max zdawał się słyszeć w ciemności jej oddech, ale może tylko to sobie wyobrażał.

Droga do centrum była wąska i ciemna, z dwóch stron otoczona polami. Za sobą słyszał kroki tamtej osoby, więc znów się zatrzymał. Tym razem chwilę trwało, zanim człowiek za nim zrobił to samo. Najpierw zwolnił kroku. Jakby się wahał. Jakby czekał, aż Max znowu ruszy. Później całkiem stanął.

Czy to ktoś stroił sobie z niego żarty?

Max się odwrócił. Nie dzieliła ich duża odległość – może piętnaście metrów – ale było zbyt ciemno, żeby dostrzec twarz tamtego. Wyglądał, jakby miał na sobie bluzę z kapturem naciągniętym na głowę.

– Masz jakiś problem? – zapytał Max.

W nocnej ciszy pytanie zabrzmiało jak nerwowy krzyk. Ale tamten stał jak gdyby nigdy nic.

Max zbliżył się na kilka kroków. Nadal żadnej reakcji.

– Wiem, kim jesteś! – zawołał.

Wtedy nieznajomy odwrócił się i szybko ruszył tą samą drogą, którą przyszli. W Maksie wezbrała potężna złość, więc puścił się za nim biegiem. To tylko dodało facetowi energii. Na długiej, ciemnej, prowadzącej pod górę ścieżce rozegrał się prawdziwy wyścig, ale Max był w gorszej formie niż tamten, więc wkrótce zobaczył, jak ów co dopiero ścigający go człowiek – który przez krótką chwilę sam był ściganym – znika w mroku.

ROZDZIAŁ 17

Z RADOŚCIĄ zjadł swoje norweskie hotelowe śniadanie. Przez okna widział Breisås – duże zalesione wzgórze, pełne szeregowców, domów jednorodzinnych i bloków z tarasami, gdzie mieszkała Tirill Vesterli.

Młoda kobieta opiekująca się bufetem śniadaniowym podeszła do niego z rękami założonymi na plecach i tajemniczym uśmiechem na ustach. Na plakietce przypiętej do uniformu widniało imię „Mette”.

– Smakuje panu?

– Wybornie.

– Dostał pan upominek – powiedziała, wyciągając rękę.

Na jej dłoni leżał nieduży, kwadratowy prezent wielkości pudełeczka na pierścionek, ładnie zapakowany i przewiązany czerwoną wstążką. Towarzyszyła mu karteczka z jego nazwiskiem. Zauważył, że nie była wypisana odręcznie.

– Od kogo?

– Nie wiem. Ktoś zostawił go w recepcji i sobie poszedł.

To powiedziawszy, oddaliła się na swoje stałe miejsce na drugim końcu sali jadalnej.

Rozpakowanie prezentu nie trwało długo. W środku znajdowało się rzeczywiście pudełeczko ze sklepu jubilerskiego – w Skien – ale gdy je otworzył, na granatowej aksamitnej poduszeczce nie leżał pierścionek. Z początku nie zrozumiał, co widzi. Była to bezkształtna, jasnobrązowa grudka, mniejsza od opuszki małego palca. Gdy wyjął przedmiot z pudełka, poczuł, że wykonany jest z twardego plastiku. Zauważył też, że jedyny dość równy bok jest chropowaty, jakby ktoś przeciął to miejsce tępym nożem.

W tej samej chwili rozpoznał kształt – trzymał w dłoni odciętą główkę małej plastikowej świnki.

Zerknął na turystów przy sąsiednim stoliku, ale żaden chyba nie zauważył, że Max coś rozpakował. Najdyskretniej jak potrafił włożył świniąską główkę do kieszeni spodni.

I zadzwonił do Tirill.

Niedługo później siedzieli w jej małym żółtym fiacie na hotelowym parkingu. Na wzniesieniu ponad nimi Max z ledwością dostrzegał iglicę jednego z kościołów. Pozostała część budynku chowała się za zielonymi liśćmi drzew.

– Nie mam czasu – powiedziała. – Nie mogę ot tak wymykać się z pracy. O co chodzi?

– Ktoś śledził mnie w nocy. Na górze, przy kościołach. Gdy próbowałem nawiązać kontakt, uciekł. Możliwe oczywiście, że to lokalny żartowniś. Jest tu ktoś znany z upodobań do podglądactwa? Zakradania się?

– Widziałeś, jak wyglądał?

– Nie, miał na sobie bluzę z kapturem lub inne nakrycie głowy. Poza tym było ciemno.

– Ten sam typ, którego ja widziałam?

– Możliwe. W takim razie musiał się dowiedzieć, że cię odwiedziłem. Muszę ci zresztą coś pokazać.

Max wyjął pudełko na biżuterię.

– Zostawiono to w recepcji dziś rano albo wczoraj późnym wieczorem. Nikt nie widział, kto to zrobił. Ktoś musiał skorzystać z okazji i podrzucić pudełko za ladę, kiedy recepcjonista wyszedł. Było ładnie zapakowane, z karteczką z moim nazwiskiem. Wydrukowanym, nie wypisanym odręcznie. Zawsze miło dostać prezent, nie?

Otworzył pudełeczko.

Tirill wyjęła grudkę plastiku i bacznie się jej przyjrzała.

– Świński łebek? – Zdziwiła się. – Co to ma znaczyć?

– Nie mam pojęcia, ale zwróciłem uwagę, że jest odcięty. Poza tym taki dar to żaden komplement, tylko groźba, która dotyczy też ciebie, jeżeli będziesz to ciągnąć.

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że nie musisz tego robić. Poradzę sobie sam.

– Nie! – niemal wykrzyknęła. – Chcę być częścią zespołu!

Musiało kierować nią coś więcej niż tylko pragnienie dotarcia do prawdy.

– Aż tyle to dla ciebie znaczy?

Odpowiedziała dopiero po długiej chwili.

– Mając dziesięć lat, chciałam zostać pilotem myśliwca – odezwała się wreszcie. – A w wieku dwunastu lat – muzykiem folkowym. Nad moim łóżkiem wisiała reprodukcja „Gry i tańca” Halfdana Egediusa. Znasz ten obraz? Przypomina ciemny, wciągający wir. Podobne wrażenie powstaje, kiedy gra naprawdę dobry wykonawca. Inne dwunastolatki nie podzielały mojego zachwytu obrazem ani muzyką ludową. Z czasem zaczęłam wydatkować dużą część swojej energii – a miałam jej sporo – na próby upodobnienia się do rówieśniczek. Spędzałam niezliczone wieczory na tylnym siedzeniu samochodu, którym jeździliśmy w tę i z powrotem po ulicy Bøgata. Nauczyłam się mówić jak inni. O imprezach i o tym, kto z kim się przespał. Niekiedy zapominałam się i opowiadałam o rzeczach, które naprawdę mnie zajmowały. Na przykład o książce albo o dziwnym zwyczaju czy przesądzie, o którym gdzieś usłyszałam. Gapili się wtedy na mnie jak na wariatkę. A ilekroć to się zdarzało, wiedziałam, że widzą prawdziwą Tirill. Później, po serii rozczarowań, postanowiłam, że nigdy nie będę już nikim innym niż sobą. Tak jest lepiej. Taka właśnie jestem.

Rozłożyła ręce, na tyle, na ile pozwalało jej ciasne wnętrze autka.

– Ta sprawa... Ty i ja, i prawda, która na razie nam ucieka.

Max nie wiedział, co ma powiedzieć. Jej opowieść wystarczyła aż za nadto. Czuł, że Tirill na pewno się nie wycofa.

– Zresztą nie poradzisz sobie sam – dodała.

– Błąd. Przywykłem do samodzielności. Poza tym tak się składa, że pracowałem w policji w Telemarku.

– Ale nie w mitycznym Telemarku. To tam musisz pracować, jeżeli chcesz rozwiązać tę sprawę. A w tym rejonie nie znajdziesz lepszego przewodnika ode mnie.

Max zastanawiał się, jak jego koledzy z biura zareagowaliby, gdyby usłyszeli tę rozmowę, i doszedł do wniosku, że zapewne zrzuciliby ją na karb tego, co Amerykanie zwą *old world charm*, urokiem starego świata.

– Wiemy, że ktoś obserwował cię po zniknięciu Cecilie Wiborg. A dokładniej po tym, jak powiedziałaś policji, że zaginięcie należy rozpatrywać w powiązaniu z rytuałem Nikulsa w Eidsborgu. Skoro teraz istnieje możliwość, że ta sama osoba śledzi i mnie, musimy zadać sobie pytanie: kto taki może interesować się nami obojgiem?

– Ktoś, kogo ciekawią oba zaginięcia.

– Na przykład Jon Homme – powiedział Max. – Musimy założyć, że był w pewnym stopniu zaangażowany w śledztwo w sprawie zaginięcia Cecilie. Przynajmniej w przesłuchania ludzi, z którymi rozmawiała.

Tirill skinęła głową.

– Homme, rzecz jasna. Ale jest ktoś jeszcze.

ROZDZIAŁ 18

W MIEJSCU, gdzie kamera monitoringu po raz ostatni zarejestrowała Cecilie Wiborg, wyjął mapę narysowaną przez Tirill. Rozejrzawszy się, stwierdził, że szkic zgadza się z terenem. Następnie włączył stoper w komórce i ruszył przed siebie.

Jakieś osiem minut upłynęło od momentu, kiedy Cecilie tędy przeszła, do chwili, gdy jej telefon został wyłączony lub przestał działać. Siedem minut i dziesięć sekund później Max stanął przed żółtą willą z dużym ogrodem.

– Jeszcze pięćdziesiąt sekund – mruknął.

– Halo? – odezwała się kobieta, która musiała kucnąć przysłonięta krzewami ozdobnymi. Nikogo tu wcześniej nie zauważył.

Wyszła zza krzaków i zbliżyła się do niego z lekkim wahaniem, trzymając sekator w ręku.

– Dzień dobry – powiedział Max pogodnie, machając. – To tu mieszka Henrik Thue?

Tirill miała rację, że profesor mógł interesować się obydwoma zaginięciami.

– Henrik jest w pracy. O co chodzi?

– Rozmawiałem z nim wczoraj o kościele słupowym w Eidsborgu. Mieszkam w Stanach i tylko na chwilę wpadłem do ojczyzny. Max Fjellanger – dodał i zrobił krok w przód z wyciągniętą ręką i wzbudzającym zaufanie uśmiechem.

Zauważył moment, w którym zdecydowała, że można mu uwierzyć. Przełożyła sekator do lewej dłoni, wytarła prawą w spodnie i przywitała się.

– Åse Enger Thue. Przepraszam za strój.

Miała na sobie znoszone dzinsy, spłowiwały T-shirt z napisem „New York City”, a na głowie kolorową chustkę.

– Naprawdę nie ma za co przepraszać – powiedział z uznaniem.

– Henrik wspominał, że spotkał się z kimś „U dobrego sąsiada”. Więc to był pan?

– Tak, a teraz przypadkiem tędy przechodziłem...

– Skąd pan wie, gdzie mieszkamy?

– Zapytałem na uczelni.

Max Fjellanger miał wprawę w rozszyfrowywaniu ludzi. Czytaniu między wierszami. W Åse Enger Thue ujrzał kobietę o ciepłym usposobieniu, pasującym do jej bujnego ogrodu.

Innymi słowy – kogoś bardzo różnego od jej męża.

– Chciałem tylko zadać mu parę dodatkowych pytań o Eidsborg – wyjaśnił markotnie. – Ale może wobec tego zadzwonię...

Spojrzała na niego, stając przez chwilę na palcach. „Gdyby żuła gumę, pewnie zrobiłaby balon, który pękłby z trzaskiem” – pomyślał Max. To był właśnie taki moment.

– Miałam akurat nalać sobie soku – powiedziała.

Oczko wodne, otoczone murkiem z kamienia zdobionego płytkami ceramicznymi w stylu starożytnej Grecji, na których widniały delfiny i kałamarnice, wypełniało kameralny ogród szumem płynącej wody. W świeżo skoszonej trawie brzuchem do góry leżał biały kot. Max odstawił szklankę z sokiem na stół, pochylił się i go podrapał, na co kot natychmiast zaczął mruścić.

– Czym się pan zajmuje? – zapytała, przekrzywiając głowę.

– Prowadzę małą firmę, którą założyłem z żoną. Rozmaite usługi konsultingowe. Niedawno owdowiałem i wzięłem wolne, żeby przyjechać do Norwegii i zająć się badaniem kościołów słupowych. Od lat miałem na to ochotę.

– Więc po przyjeździe do Telemarku naturalnie zadzwonił pan do Henrika.

Skinął głową.

– I dlatego siedzi pan tutaj teraz.

– Nie, siedzę tutaj, ponieważ otrzymałem od pani propozycję nie do odrzucenia.

Zastanawiał się, czy na jej twarzy wystąpił rumieniec, ale nie miał pewności, bo było ciepło, a ona pracowała w słońcu.

- Chodzi panu o sok malinowy?
 - Na Florydzie pija się głównie mrożoną herbatę albo lemoniadę. Też smaczne, ale to nie to samo
- odparł i popatrzył na nią.

Długo.

Wpatrywali się w siebie oczami przymglonymi od ciepła i soku.

– Może pani spróbuje mi pomóc? – zapytał wreszcie.

– W czym?

– Wie pani dużo o kościele w Eidsborgu?

Zaśmiała się krótko, z rezygnacją.

– Na pewno słyszałam o nim wszystko, co tylko się da. A nawet jeszcze więcej. Ale czy coś z tego pamiętam? Gdzież tam. Mam taką słabość, że interesują mnie żywi ludzie, z którymi można rozmawiać tu i teraz.

– Uważa więc pani pewnie, że muszę być głupi, skoro przyjechałem aż z Florydy, żeby badać kościoły słupowe?

– Nie, nie – zaprzeczyła z zapalem. – To wspaniałe budowle, a gdy wiele lat nie było się w Norwegii... Po prostu...

Westchnęła i upiła łyk soku. Brzęk kostek lodu idealnie komponował się z pluskaniem źródelka oraz spokojnym buczeniem trzmiela gdzieś w krzakach.

– Po prostu pierwiastek ludzki jest ważniejszy – dokończył Max.

– Coś w tym stylu.

Odczekał chwilę, po czym zapytał:

– Znała pani Cecilie Wiborg?

Reakcja nastąpiła momentalnie, ale tym razem kobieta na pewno się nie zarumieniła. Policzki Åse Enger Thue, ładnie zaróżowione od słońca i pracy w ogrodzie, nagle pobladły.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Ktoś o niej wspomniał. Sprawa musiała wyrzucić duże wrażenie na okolicznych mieszkańcach.

– Biedna dziewczyna. Jak pomyślę, co mogło się wtedy stać...

– Znała ją pani?

– Nie. Spotkałam ją tylko raz.

– Była pani w Bø, gdy zaginęła?

– Byłam u siostry w Skien. Spędziłam tam kilka dni. Często ją odwiedzam.

Max dostrzegł w niej coś, co dobrze znał.

– Nie mają państwo dzieci? – zapytał.

– Nie, nie mamy.

Odpowiedź padła szybko i została wypowiedziana tak lekkim tonem, że natychmiast zrozumiał, iż wcale nie było jej z tego powodu lekko. Ann odpowiadała tak samo, jak gdyby nigdy nic, i właśnie dlatego wszyscy wiedzieli, jak wiele to dla niej znaczy.

– Nie mogłem mieć z żoną dzieci – powiedział.

Ciekawość, która zbudziła się w jej spojrzeniu, nie miała w sobie nic z nachalności, była raczej jak wyciągnięta dłoń. To również znał z życia z Ann.

– Pogodziliście się z tym? – zapytała, po czym wypiła duży łyk soku, aby nie zauważył, że ma ściśnięte gardło.

– Ja tak, w pewien sposób. Z Ann było inaczej. Czowała się chyba szczęśliwa, ale nosiła w sobie żal.

Oczy Åse Enger Thue się zaszkliły.

– Wszyscy dorośli ludzie noszą w sobie żal – powiedział Max. – Chociaż nie zawsze chcą się do tego przyznać.

– Czego dotyczy pana żal? – zapytała, pociągając nosem.

– Sprzed śmierci Ann? Starej, nierozstrzygniętej sprawy. Przez lata ten żal tkwił we mnie jak cień.

– To dlatego wyjechał pan do Stanów?

– Mhm.

Biały kot otarł się o nogę Maksa. Podrapał go za uchem i zagadał doń przyjaźnie.

– Mawiają, że koty potrafią wyczuć żal – powiedział.

– Nie Missi. Ona potrafi skulić mi się na brzuchu i mruczeć... jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Skrzyżowała ręce pod biustem, co w widoczny sposób go uwydatniło.

– Jak znosi to pani mąż?

Åse wydała z siebie dźwięk między śmiechem a prychnięciem.

– Ma ten swój kościół. I... – Na chwilę zamilkła. – Studentów.

– Zaginięcie Cecilie Wiborg musiało go dotknąć.

Długo siedziała z zamkniętymi oczami, a na jej twarzy co chwilę pojawiał się cień uśmiechu. Czas dłużył się Maksowi, który nie wiedział, czy ma się odezwać, czy nie. Jak zwykle wybrał milczenie.

W końcu wstała.

– Przepraszam – przerwała ciszę.

Przyglądał jej się od tyłu, gdy szła w stronę domu. Nie potrafił się temu oprzeć, a ona na pewno o tym wiedziała. Kiedy zniknęła mu z oczu, rozejrzał się z zaciekawieniem. Ogród był osłonięty, lecz jednocześnie roztaczał się z niego widok na góry Lifjell, które miały w sobie coś nierzeczywistego, były jak namalowana kulisa, zawieszona pod niebem za domem sąsiadów. Tu za to pachniało bzem, a nieopodal rozbrzmiewał charakterystyczny śpiew trznadla.

Kiedy wróciła, Max przybrał spojrzenie pełne uprzejmości.

– Proszę – powiedziała, kładąc coś przed nim na stoliku.

Było to zdjęcie młodej kobiety w bikini, leżącej na kocu gdzieś w plenerze. Podpierała się na lewym łokciu, uśmiechając do fotografa, a prawą dłońią osłaniając oczy. Kilka sekund trwało, zanim zrozumiał. Na zdjęciu w gazetach miała dłuższe włosy. A na sobie więcej ubrań. Poza tym nie pozowała w ogrodzie Henrika Thuego. Max rozpoznał delfiny i kałamarnice na murku za dziewczyną.

– Dokładnie tutaj – wyjaśniła Åse lekkim tonem, wskazując miejsce, gdzie musiała leżeć. – Zgadnie pan, kto to?

Skinął głową.

– A więc, jak może pan sobie wyobrazić, dotknęło go to dosyć mocno.

– Złożył zeznania na policji?

– Tak, ale o tym raczej nie wspomniał. – Wskazała głową zdjęcie. – Znalazłam je pewnego dnia, kiedy zapomniał wziąć z sobą komórki. Jest pan w szoku? Niesłusznie. Osoby w mojej sytuacji często tak postępują. A kiedy ktoś poczyną sobie jak Henrik, to oczywiście panikuje, gdy zda sobie sprawę, że telefon został w domu. Niech mi pan wierzy, że szybko po niego wrócił. Ale nie wystarczająco szybko, bo w tym czasie zdążyłam znaleźć zdjęcie i skopiować je na swój komputer.

Uśmiech Cecilie Wiborg zdradzał zażyłość z fotografem. To samo można było powiedzieć o skąpym bikini, ledwie zasłaniającym najintymniejsze części ciała.

Max schował rękę do kieszeni, gdzie wyczuł odciętą główkę plastikowej świnki.

– Nie, nie jestem w szoku – powiedział. – Ale po co wydrukowała pani to zdjęcie? I to w dużym formacie?

Zaśmiała się krótko, oschle.

– Sama nie wiem. Może żeby bardziej rozdrapać ranę. Jestem w tym dobra. Jak wspomniałam, spotkałam ją tylko raz. Na długo przed zaginięciem. Przyszła tu po jakieś materiały. Tak w każdym razie twierdziła, ale nagle przypomniało jej się, że materiały znajdują się u innego wykładowcy, więc sobie poszła. Zrozumiałam dlaczego: było poniedziałkowe przedpołudnie. Normalnie mam wtedy lekcje, ale akurat tego dnia zostałam w domu z powodu przeziębienia. Rankiem Henrik popędził do Oslo, bo jego ojciec poważnie zachorował. Materiały były na pewno wymówką wymyśloną na poczekaniu. Jestem pewna, że w rzeczywistości umówiła się z Henrikiem pod moją nieobecność – pewnie widywali się regularnie – a on zapomniał odwołać spotkanie. To też w jego stylu – niczym się nie przejmuję.

Wyciągnęła rękę, a Max oddał jej zdjęcie.

– Tak to już jest – powiedziała. – Henrik ma swoje studentki, a ja ten ogród. I pracę. Uczę angielskiego w liceum. Na dwie piąte etatu.

Smutne wyznanie jak na kobietę w jej wieku. Wyglądała na trzydzieści pięć – czterdzieści lat.

Wtedy się uśmiechnęła.

– Ale teraz to ja mam gościa – odezwała się zadowolona, przeciągając się jak kotka.

Max pomyślał, że musi coś szybko wymyślić. Był żonatym mężczyzną. Śmierć Ann nic w tej kwestii nie zmieniła.

– Za pół godziny mam pociąg.

– Wyjeżdża pan?

Jej głos nic nie zdradzał.

– Muszę coś załatwić w Oslo – skłamał.

Podziękował za gościnę i wstał. Åse Enger Thue odprowadziła go za róg domu, w miejsce, gdzie stali na początku rozmowy.

– Wróć – powiedział Max.

– Znajdzie mnie pan w ogrodzie, o ile nie będzie lało.

Wyglądała dokładnie tak samo – miała na sobie te same ubrania, a w ręku ten sam sekator. A jednak znaczyła coś więcej.

ROZDZIAŁ 19

W POKOJU HOTELOWYM przypomniał sobie, co powiedział Henrik Thue. Że istnieje nagranie rekonstrukcji rytuału Nikulsa.

Niewiele czasu zajęło mu znalezienie filmiku. Najpierw widać było sam kościół z zewnątrz w piękny letni wieczór. Zbliżenia polnych kwiatów podkreślały nastrój wigilii świętego Jana. Wtedy usłyszał monotony śpiew i przez kościelne drzwi wyszła procesja ludzi odzianych w szaty z kapturami. Pastor Julia Bergmann ukazała się pierwsza, a za nią czterech mężczyzn z czymś w rodzaju lektyki na ramionach. Była prosta i całkiem nowa. Mocno kontrastowała ze stojącym na niej starym, ciemnym posągiem świętego.

Za Julią Bergmann i czwórką niosącą posąg szedł długi rząd ludzi ubranych na średniowieczną modłę. Wyglądali podejrzanie młodo – pewnie byli to aktorzy amatorzy.

Pieśni towarzyszyły napisy po łacinie i norwesku:

Nicholaus pontifex, nostrum est refugium / Biskup Mikołaj jest nam schronieniem

Clericis et laicis, sit semper remedium / Duchowieństwo i świeckich niechaj zawsze zbawia

Clerciorum est amator, laicorum consolator / Duchowieństwo miłuje, świeckich pociesza

Omniumque conformator, in omni angustia / Wszystkich krzepi, we wszelkiej potrzebie

Nicholae, Nicholae prebe nobis gaudia / Mikołaju, Mikołaju, daj nam szczęście w niebie.

Niektóre spośród osób w szatach wyglądały, jakby dostały jakiegoś ataku – przewracały się na ziemię i wymachiwały kończynami. Miały zapewne przedstawiać chorych potrzebujących uzdrowienia. Podczas gdy procesja, zataczając koła, przemieszczała się w stronę jeziora Eidsborgtjørni, przyłączało się do niej coraz więcej ludzi bez kostiumów. W dżinsach, legginsach, szortach i koszulkach. Wielu wydawało się przeżywać rytuał równie mocno jak aktorzy odgrywający średniowiecznych wiernych.

Gdy pochód dotarł nad jezioro, Bergmann za pomocą narzędzia przypominającego miotłkę lub pędzel pokropiła parafian. Nie użyła jednak wody święconej, lecz zanurzyła kropidło w Eidsborgtjørni, jak gdyby woda z jeziora miała oczyszczające albo ożywcze właściwości. W kadrze zostało zaledwie kilkoro młodych ludzi w szatach, reszta wyglądała na mieszkańców Eidsborga i Dalen. Do tego może paru turystów. Zaczynało robić się tłoczno. Ludzie machali rękami, domagając się, żeby pastorka pokropiła ich wodą. Gdy udawało im się złapać parę kropeł, wcierali je sobie w twarz.

Słysząc było jedynie śpiew – powtarzane w kółko słowa: *Nicholaus pontifex, nostrum est refugium...* Prawie jak w transie. Aż nagle pieśń zakończyło przeciągłe *Aaaaaa-men!*

Max zwrócił uwagę, że nie zanurzyli figury świętego w wodzie, jak kazał średniowieczny zwyczaj. Pewnie aby nie uszkodzić starej drewnianej rzeźby.

Zafascynowany włączył filmik od początku, tym razem z zamiarem przyjrzenia się poszczególnym osobom. Ciekawiły go twarze ludzi, najpierw stojących z boku, ledwie widocznych w kadrze, a pod koniec wyciągających ręce po krople wody z jeziora. Może w twarzach uda się wyczytać, co się z nimi działo?

Nagle coś przykuło jego uwagę. Krótki, trwający może sekundę ruch na skraju kadru. Coś się tam wydarzyło, ale trudno było zrozumieć co. Wszystko działo się bardzo szybko, do tego kilka innych rzeczy odbywało się jednocześnie. Wokół lektyki ciągle panował ruch, młodzi ludzie w szatach z kapturami tarzali się w konwulsjach w trawie.

Max jeszcze raz odtworzył kilka interesujących go sekund.

Jakiś mężczyzna podszedł z boku do lektyki i dotknął jej wyciągniętą ręką. Wyglądało to, jakby próbował coś zrzucić, lecz uczynił to tak szybko, że i tym razem Max nie pojął do końca, co zobaczył.

Zaintrygowany oglądał tę scenę w kółko, ale nie potrafił jej zinterpretować. Może to część inscenizacji? Ale, sądząc po reakcjach mężczyzn niosących lektykę, nie spodziewali się tego ruchu.

Wreszcie udało mu się zatrzymać nagranie w samym środku sceny. Następnie powiększył obraz.

Starszy siwobrody mężczyzna uchwycił lektykę. Jedną ręką udało mu się nawet dosięgnąć figury świętego, co wyglądało, jakby próbował ją zrzucić. Tuż obok, z dłonią spoczywającą na jego ramieniu, stała Åse Enger Thue.

ROZDZIAŁ 20

SOBOTNI RANEK. Magnus nocował u babci w dolnej części Breisås. Ciska przywitała Tirill niczym przyjazny dotyk, gdy po porannej toalecie weszła do salonu. Spokój miękki jak bawełna.

Niesamowite, że krótka chwila dla samej siebie stanowiła dla niej aż taki luksus, ale zdążyła już do tego przywyknąć. Samotność była prawie jak weekend w spa, na który nie mogła sobie pozwolić.

Zaparzyła filiżankę zielonej herbaty i wyjęła to, co zwykle – czekoladowy rogalik i jogurt bez tłuszczu. Dla zachowania równowagi, jak mawiała.

Jedząc, myślała o Maksie Fjellanngerze. Nie potrafiła nazywać go „Max”, w myślach używała zawsze imienia i nazwiska albo samego nazwiska. Wysoki i postawny, z ładnie przystryżoną, lekko szpakowatą brodą. Do tego blezer i wypucowane buty, co składało się na wrażenie nieco staromodnej poprawności.

Dzięki temu mężczyźnie spełniało się zatem jej najbardziej nieprawdopodobne marzenie. Właściwie nawet tego nie pragnęła, bo trudno było sobie wyobrazić, że coś takiego przydarzy jej się w życiu. Dawała więc tylko upust fantazji nad książką albo gdy media przedstawiały jakąś nową sprawę. Wtedy, w głębi ducha, stawała się śledczą Vesterli.

A teraz była nią w rzeczywistości. Głupio co prawda, że nie mogła o tym nikomu powiedzieć, ale rozumiała, że tak trzeba. Gdyby wyszło na jaw, że interesują się sprawą Cecilie Wiborg, od razu powstrzymaliby ich policjanci. Tak samo jak wtedy, gdy próbowała im pomóc parę tygodni po zaginięciu dziewczyny.

Komórka na kuchennym stole zaczęła dzwonić. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła kto to.

Musieli przejechać przez podwórze gospodarstwa rodziny Homme, żeby dojechać do Tveit, mniejszego niż sąsiednie obejście. Tveit to punkt zero, tak powiedział Fjellanger. Tam po raz ostatni widziano Petera Schrama.

Przy wejściu do stodoły jakiś facet napełniał wodą zamontowany na traktorze zbiornik na herbicyd. Zaparkowali tuż obok i wysiedli. Mężczyzna stał spokojnie, obserwując ruchy obcych.

– Dzień dobry – przywitał się Fjellanger.

– Dzień dobry...

– Erlend Tveit?

Mężczyzna pokręcił głową. Miał na sobie znoszone dżinsy, koszulę w kratę i spłowiałą czapkę z daszkiem z logo Arsenalu.

– Można z nim porozmawiać?

– Erlend nie żyje. A kto pyta?

– Max Fjellanger. A to jest Tirill Vesterli.

– Knut Lars Ljosland – odparł gospodarz, witając się z obojgiem. – Erlend był moim teściem.

– Nie wiem, czy zna pan sprawę, ale w osiemdziesiątym piątym zaginął młody mężczyzna, który mieszkał w tym gospodarstwie – powiedział Fjellanger.

– Ach tak, ten facet z Oslo...

– Brałem udział w poszukiwaniach, a ponieważ byliśmy właśnie w pobliżu, pomyślałem, że może zapytam, czy w ogóle udało się ustalić, co się z nim stało.

Przy domu zatrzymał się niebieski samochód kombi. Kierująca nim kobieta wysiadła i zerkała na trójkę koło traktora. Pomachała im, ale Knut Lars nie odpowiedział na pozdrowienie.

– Ingebjørg. Moja żona. Jest stąd i pamięta, co się wtedy działo.

Ingebjørg Ljosland była wysoka, postawna, o wydatnej szczęce i dużych, olśniewająco białych zębach. Tarjei Vesaas w spódnicy. Bardziej płynęła, niż szła między pokojami, niosąc kawę, ciastka i wszelkie niezbędne dodatki.

– Jasne, że pamiętam Petera – powiedziała, ledwie nagryzając brzeg ciastka, które następnie odłożyła na spodek.

Siedziała na skraju krzesła, a Tirill zwróciła uwagę na jej dyskretnie złączone kolana, jakby miała na sobie krótką spódniczkę, a nie długie spodnie.

– Spędzał tu lato dwa razy z rzędu. Miał przyjechać trzeci raz...

– Jak właściwie doszło do zaginięcia? – zapytał Fjellanger.

– Po prostu wyszedł się przejść. „Tu po okolicy”, powiedział do mojego ojca, który spotkał go po drodze. „Zaraz wracam”, dodał też ponoć. Było chyba popołudnie. Kiedy nie wrócił wieczorem, pomyśleliśmy, że może ktoś zaprosił go na imprezę. Ale nazajutrz też nie wrócił, więc tata pojechał do Dalen na policję. Wtedy zarządzono wielką akcję poszukiwawczą.

– Imprezę? – zdziwiła się Tirill. – Może przypadkiem była akurat noc świętojańska?

Ingebjørg skinęła w milczeniu głową. Tirill poczuła się, jakby znalazła klucz idealnie pasujący do zamka. Spojrzała na Fjellangera, któremu nawet nie drgnęła powieka.

– Pamięta pani Cecilie Wiborg? – zapytał.

– To ta zaginiona studentka? Okropne...

– Spotkała ją pani kiedyś?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Dlaczego miałabym ją spotkać?

– Pisała pracę między innymi na temat rytuału Nikulsa. Więc musiała się tutaj zjawiać.

Ingebjørg Ljosland w przerażeniu zasłoniła usta.

– Nie wiedziałam.

– I zaginęła w noc świętojańską – dodał.

– Myśli pan...?

Max pokręcił głową.

– Wątpię, w końcu oba zdarzenia dzieli tyle czasu. Ale wróćmy do zaginięcia Schrama. Ludzie musieli coś później mówić. Badał przecież kult świętego i nagle zniknął w wieczór, który odgrywa kluczową rolę w obrzędach związanych z Nikulsem. Co mówili ludzie?

– Co mówili? To było przecież tak dawno. Szeptano, że spędza podejrzenie dużo czasu sam w kościele. Tak było, ponieważ pisał rozprawę doktorską o Nikulsie. Pamiętam, jak ktoś twierdził, że wypatruje mnicha, ale Peter nie wierzył w te rzeczy. Był... naukowcem.

– Wypatrywał mnicha? – zapytała Tirill. – Ma pani na myśli ducha?

Ingebjørg Ljosland skinęła głową.

– Tak, to strasznie głupie... – Wyglądała na zawstydzoną. – Ale nikt chyba nie wziął tego serio. Dużo gadano za to o policjancie, który mógł mieć z tym coś wspólnego. Afera, chodziło o zazdrość. Zakochali się w tej samej dziewczynie. Sama nigdy w to nie wierzyłam, ale przez jakiś czas okropnie dużo się o tym mówiło. Pamiętam, że policjant ostatecznie musiał stąd wyjechać.

– Policjant? – odezwał się Max. Nagle zadrżał mu głos. – To musiał być Knut. Gdyby chodziło o mnie, znałbym te plotki. Pracowałem wtedy tutaj, na posterunku – dodał w ramach wyjaśnienia. – Czy kiedykolwiek natrafiono na ślad Schrama?

Ingebjørg Ljosland wstrzymała oddech. Jej delikatny, skryty uśmiech zniknął. Tirill widziała przez okno, że mąż zaczął opryskiwać pole.

– Nie, nie zbliżyliśmy się do poznania odpowiedzi. Niestety. Jako nastolatka trochę się w nim podkochiwałam, chociaż był żonaty i spodziewał się pierwszego dziecka. Och, Boże, jeszcze rodzina...

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Została po nim wdowa? – zapytał Fjellanger z zaciekawieniem.

– Wtedy tak. Ale tyle już czasu minęło... Raz tutaj była, niedługo po zaginięciu.

– Nie pamięta pani, jak się nazywała?

Ingebjørg chwilę się zastanawiała.

– Nie, ale po latach dostałam od niej list. Może gdzieś jeszcze leży, ale żeby go odnaleźć, potrzebowałabym więcej czasu.

– Myśli pani... – Twarz Fjellangera wyrażała prośbę.

– Tak, tak, mogę...

Wyjął czarny notesik, który zwykł nosić w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Jak opisałaby pani Petera Schrama? – zapytała Tirill, kiedy Ingebjørg odłożyła na komodę

karteczkę z numerem telefonu Fjellangera.

– Był bardzo... No, jak by to powiedzieć? Miał w sobie wielką powagę, co bardzo mi się podobało. Traktował życie i świat serio. A zwłaszcza swoją pracę. Pamiętam na przykład, jak raz strasznie pokłócił się z kimś o rozprawę doktorską. W każdym razie wydaje mi się, że to o nią poszło.

– Z kim się pokłócił? – dociekała Tirill.

– Minęło tyle lat... Ale taki już był. Dumny. Pewny siebie.

Tirill zastanawiała się, ile to już razy Ingebjørg usiłowała pojąć, co stało się z jej młodzieńczym zauroczeniem.

– Nadal, kiedy idę na spacer do lasu – na przykład na jagody – zaczynam go wypatrywać. Na rumowiskach skalnych i w górskich szczelinach. Szukam wyblakłych kości. Ale jego pewnie pochłonęła ziemia. Albo coś innego.

– A więc nie pamięta pani nic więcej na temat tej kłótni? – drążył Fjellanger.

– Nie. Był wieczór... Nagle dobiegł mnie straszny rumor z drewnianej chatki, którą wynajmował Peter. Chyba się bili. W każdym razie coś ciężkiego spadło na podłogę. Nie wiem, czy mebel, czy człowiek, ale huk był okropny. Zszokowało mnie to, bo miałam wrażenie, że Peter jest spokojną osobą.

Znów się zamyśliła. Tirill miała wręcz wrażenie, że dostrzega jej myśli w głowie, podobne do maleńkich, pełzających zwierzątek.

– Ależ tak, kłócił się z jednym młodym chłopakiem, który zwykle go odwiedzał. Tak było. Chłopak miał może piętnaście, szesnaście lat, ale był zafascynowany Peterem i jego pracą. Później sam napisał książkę o kościele. Było mu chyba na imię Fredrik. A może Henrik?

– Henrik Thue? – zdziwił się Fjellanger.

– Tak, zgadza się.

– I Peter Schram się z nim pokłócił?

Skinęła głową, po czym odgryzła kawałek ciastka, które zaraz odłożyła na spodek.

– O rozprawę? – dodała Tirill.

– Tak w każdym razie myślę. Może Henrik węszył w jego papierach. Był małym chłopcem, wie pani, ale każdego roku latem przyjeżdżał tu z Oslo i kręcił się wokół Petera. Po tym okropnym rwetesie już chyba nie wrócił.

Tirill zerknęła na Maksa Fjellangera, który niemal niezauważalnie kiwnął głową.

ROZDZIAŁ 21

NIECO PÓŹNIEJ siedzieli w muzealnej kafejce i jedli grochówkę w otoczeniu japońskich turystów.

– Peter Schram i Cecilie Wiborg zaginęli w wigilię świętego Jana – odezwała się Tirill. – Najważniejszą noc w kulcie Nikulsa. A Henrik Thue znał oboje.

– Do tego skłamał na temat Schrama, gdy rozmawiałem z nim po raz pierwszy. Powiedział, że ledwo o nim słyszał. I te plotki, że Knut miał coś wspólnego z zaginięciem... Zupełna nowość dla mnie. Po co Jørgen Homme miałby w ogóle rozpuszczać takie pogłoski? Jeżeli to on był ich źródłem.

Roilo się od pytań. Na przykład: po co Åse Enger Thue pokazała Fjellangerowi zdjęcie Cecilie Wiborg w ich ogrodzie? Albo: jak bardzo właściwie mu się podobała? I czy wpływało to na jego zdolność oceny sytuacji? Sposób, w jaki wypowiadał się o żonie profesora Thuego, wzbudzał w Tirill pewne podejrzenia.

Po kilku łyżkach zupy postanowiła zmienić temat.

– Widziałeś bóstwa domowe, które tu mają?

Fjellanger skinął głową.

– Taka rzeźba znajdowała się w mojej rodzinie aż do osiemnastego wieku – powiedziała. – Nazywano ją Królem Smalcu. Drewniany posąg smarowano od święta tłuszczem i innymi przysmakami. Na przykład na Boże Narodzenie. Wieść gminna niesie, że moi krewniacy nie należeli do najgorliwszych parafian, więc pewnego razu jacyś bogobojni sąsiedzi uznali, że mają dość czczenia pogańskich bożków. Wpadli do ich domu i zabrali figurę do innego gospodarstwa, gdzie porąbali ją na drobne kawałki. Gdy napalili drzazgami w piecu, w całym Bø pachniało ponoć smażonym smalcem.

Z łyżką w ręku zerkała przez szybę muzealnej kafejki.

– Król Smalcu... – parsknął Max.

– Kpij sobie, kpij. W porównaniu z innymi nie był na pewno jakimś szczególnym bóstwem, ale był nasz.

– Nie kpię – powiedział. – Do czego używa się w ogóle takiego bóstwa?

– Posągi pełniły funkcję talizmanów związanych z danym gospodarstwem i rodziną. Miały strzec domostwo przed wszelkim nieszczęściem i występkiem, a poza tym zapewnić obfite plony i liczne potomstwo. Po umocnieniu pozycji chrześcijaństwa stały się raczej czymś na kształt pamiątek rodzinnych. Mimo to ludzie traktowali je z wielkim szacunkiem. Na przykład Króla Smalcu przed Bożym Narodzeniem kąpano podobno w balii. Tylko gospodyni miała prawo to robić. Nawet sam gospodarz nie mógł być przy tym obecny.

Do ich stolika podszedł mężczyzna z zakręconym wąsem.

– Witam ponownie – powiedział, podając rękę Maksowi. Następnie przywitał się z Tirill i przedstawił się jako Johannes Liom, kurator muzeum.

– Interesuje się pan bóstwami opiekuńczymi domu? – zapytała.

– No jasne!

– Słyszał pan o Królu Smalcu z Bø?

– Widziałem go chyba raz w aquaparku.

– Nie, chodzi o posąg bóstwa.

Liom pokręcił głową, a Tirill opowiedziała mu historię rodowego bożka o zapachu smalcu. Mówiąc, obserwowała reakcje Lioma. Opowieść robiła na nim wrażenie, co można było poznać po zmieniającym się stale wyrazie jego twarzy.

– Kapitalne. – Był wyraźnie przejęty, kiedy skończyła. – Tu w okolicy bóstwa domowe na pewno przechowywano w niektórych gospodarstwach jeszcze pod koniec dziewiętnastego wieku, ale tradycję prawdopodobnie kultywowano po kryjomu jeszcze w następnym stuleciu. Szkoda, że Król Smalcu został zniszczony, bo moglibyśmy włączyć go do naszych zbiorów.

– Mogę pana o coś zapytać? – odezwała się Tirill.

– Proszę bardzo.

- Czy komendant Jon Homme ma dużo rodzeństwa?
- Jest jedynakiem. A czemu?
- Czytałam gdzieś, że Jørgen był przed czterdziestką, kiedy urodził się Jon. W latach pięćdziesiątych rzadko się zdarzało, żeby ktoś w tym wieku po raz pierwszy został ojcem.
- Jego rodzice pobrali się w młodym wieku – chyba koło dwudziestki – co było wówczas całkiem normalne, ale dziecko pojawiło się dopiero jakieś dwie dekady później. Wtedy na świat przyszedł Jon.
- To musiała być niezła niespodzianka – powiedziała Tirill.
Uśmiechnął się szelmowsko pod nosem.
- Też tak myślę.
- Był rozpuszczony?
- I tłusty, jak słyszałem. Prawdziwy królewicz smalcu.
Chyba schlebiło mu, że się roześmiała.
- Słuchajcie – powiedział. – Zostaniecie w Eidsborgu jeszcze przez parę godzin? Zapraszam na ciastka i kawę.
- Nie mam na dzisiaj planów – odparła. – Syn jest u babci.
- Świetnie! To spotkajmy się tutaj za czterdzieści pięć minut.
To mówiąc – i puszczając do niej oko – zniknął w drzwiach.
- Chyba masz wielbiciela – skomentował Max.
Tirill przewróciła oczami.

ROZDZIAŁ 22

JECHALI ZA CZERWONYM PIKAPEM przez podwórza gospodarstw Homme i Tveit. Zaraz potem Johannes Liom skręcił w nieoznakowaną drogę, przy której stała tylko skrzynka pocztowa, a po kilkuset metrach zatrzymał się przed białym dwukondygnacyjnym domem.

– Casa Liom wita – powiedział.

Oprócz budynku mieszkalnego i garażu obejście składało się z pomalowanego na czerwono budynku gospodarczego i starego domku zabaw dla dzieci, częściowo zarośniętego krzakami malin i pokrzywami. Na podwórzu stały jeep, quad w barwach ochronnych i pilarka, którą wprawną ręką obsługiwał młody blondyn w ochroniaczach słuchu. Obok niego piętrzyła się sterta jasnej, świeżej brzeziny.

Kiedy wysiedli z samochodu, uderzył ich odgłos piłowania drewna. Młody człowiek, w którym Max rozpoznał syna Johannaesa, nie przerwał pracy, żeby się przywitać.

Johannes zaprosił ich gestem do domu.

Sufit i ściany salonu pokrywała sosnowa boazeria, która zdążyła znacznie ściemnieć, odkąd ją położono. Ze wszystkich stron gapiły się na Maksa czarne sęki. Na stoliku stała misa w kwiecisty wzór w stylu *rosemaling*, a po bokach kominka ustawiono podobnie zdobione, ciężkie, ciosane w drewnie fotele. Poza tym w pokoju dominowały grafiki z lokalnymi motywami, jak drewniane chaty i leśne krajobrazy, oraz regał o szerokości całej ściany, który zdawał się mieścić dobry tysiąc woluminów.

Wychodząc do kuchni, Johannes poprosił, żeby usiedli. Oni jednak podeszli do regału podziwiać kolekcję. Składała się z wielu fachowych pozycji z zakresu muzealnictwa i pokrewnych dziedzin. Sporo było też publikacji z historii lokalnej i powszechnej. Literatury pięknej mniej. Max dojrzał dzieła zebrane Bjørnsona. Tołstoja i Dostojewskiego. Vesaasa i Vinjega.

– Żaden z niego wielki modernista – odezwał się cicho.

Wkrótce Johannes Liom nakrył do stołu jak doświadczona gospodyni. Max obstawiał, że jest rozwodnikiem albo wdowcem, i to od dosyć dawna.

– W Tveit też jedliśmy – zagaiła Tirill.

– Ach tak? Znacie Ingebjørg i Knuta Larsa?

– Nie – odparł Max. – Rozmawialiśmy tylko o zaginięciu Petera Schrama. I o Knucie Abrahamsenie. Może pamiętasz, jak ostatnio ci o nim opowiadałem?

– Tak, ten, którego znaleźli w rzece. Kolega ze starej pracy, zgadza się?

– I przyjaciel, co nie mniej istotne. Pewne drobiazgi wciąż pozostają niewyjaśnione.

– To nie było samobójstwo?

– Osobiście nie jestem pewien. Okazuje się mianowicie, że Knutowi przypisywano związek z zaginięciem Petera Schrama. Ale nie był to zarzut policji. Jedynie pogłoski. Co jednak, jeżeli Schram faktycznie padł ofiarą przestępstwa, a osoba lub osoby, które za tym stały, usiłowały zrzucić winę na Knuta? W takim razie możliwe, że jest tutaj ktoś, kto miał motyw, żeby go zabić. Jeżeli Knut odkrył prawdę.

Mówiąc, Fjellanger pilnie śledził twarz Johannaesa Lioma. Była tak samo pełna życia, jak kiedy Tirill opowiadała o bóście domowym, ale trudniejsza do rozgryzienia.

– A właśnie, czy spotkał pan kiedyś Cecilie Wiborg?

– Tak, uch... Tylko raz, rozmawialiśmy za to długo. O Nikulsie i kościele słupowym. Cecilie miała sporą wiedzę i ogromnie dużo zapału. Świetna dziewczyna.

– Tylko tyle miał pan z nią wspólnego?

– Odpowiedziałem na kilka jej mejli. Również na temat pracy magisterskiej. Dlaczego to pana interesuje?

– Nie interesuje mnie. Uważam jedynie, że to dziwne, że zarówno ona, jak i Schram badali rytuał Nikulsa i oboje zaginęli w wigilię świętego Jana.

Johannes Liom skinął głową.

– Też się nad tym zastanawiałem. Ale Cecilie zniknęła przecież w Bø. Nieprawdaż? Poza tym...

oba zdarzenia dzieli trzydzieści lat.

Max miał coś dodać, ale w tej samej chwili gdzieś w domu otwarto drzwi, a na schodach prowadzących na dół z piętra rozległy się wolne kroki.

– To mój ojciec – powiedział Liom, jakby usprawiedliwiając się, po czym wstał i wyszedł na korytarz.

Tirill i Max spoglądali na siebie, słuchając rozmowy ojca i syna. Johannes wspomniął o „gościach z Bø”, ale po chwili obaj wyszli na dwór, więc nie dało się już dosłyszeć, o czym mówią. Tirill prędko spałaszowała wielki kawałek ciasta. Max spojrzał na nią zdumiony, ale się nie odezwał.

Po chwili otworzyły się drzwi, przez które wszedł Johannes w towarzystwie chudego staruszka. Max odniósł wrażenie, że mężczyzna ma w sobie coś znajomego, ale nie umiał określić co. Pewnie spotkał go, kiedy tutaj pracował.

– To mój ojciec, Gunstein – powiedział Johannes. – Max znał faceta, który utopił się w rzece – wyjaśnił ojcu.

– Aha? Łowił ryby?

– Nie wiem – przyznał Max.

– Na pewno łowił – stwierdził staruszek. – Wie pan, że pstrąg występujący w Bandaku i w Tokke pochodzi od troci, która pływała w tych stronach dziesięć tysięcy lat temu? Po zlodowaceniu fiord wrzynał się w ląd aż do miejsca, gdzie dziś leży Dalen. Kiedy morze się wycofało, w jeziorze zostało trochę troci. Musiały dać sobie nieźle radę. W każdym razie to przodkowie bestii po piętnaście kilo lub więcej, które pływają tam teraz. Odrębny szczep, genetycznie niepodobny do innych znanych pstrągów. Ryba ze zlodowacenia.

– Ty i te twoje ryby – mruknął Johannes zrezygnowany, po czym zwrócił się do gości: – Całkiem zapomniałem, że muszę odwiedzić ojca na spotkanie emerytów w Dalen. Wybaczcie. Miło, że mogliście wpaść.

Podziękowali za gościnę i się pożegnali. Wychodząc, Max ostatni raz zerknął na staruszka, ale nadal nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział.

ROZDZIAŁ 23

HENRIK THUE oparł się wygodnie na krześle biurowym i splótł palce na karku. Jeżeli się denerwował, to nie dawał tego po sobie poznać.

– I jak tam pana artykuł? – zapytał.

– Do przodu – odpowiedział Max, który właśnie usiadł na prostym stalowym krześle.

Po głosie Thuego przez telefon nie dało się ocenić, czy jest zaskoczony, ale zgodził się na natychmiastowe spotkanie.

– Odkryłem jednak, że im więcej pracuję nad tym materiałem, tym większy napotykam opór.

– Znane zjawisko. – Profesor się uśmiechnął.

– Pomyślałem, że może pan mógłby mi pomóc w rozwiązaniu paru supłów.

– Spróbujmy.

Thue zdjął okulary i zaczął je czyścić niebieską szmatką. Max dyskretnie rozejrzał się wokół. Gabinety zdradzają, jak chcą być postrzegani ich właściciele. To przydatna wiedza. Gabinet Thuego nosił piętno kontroli i równowagi. Od biurka na cienkich metalowych nogach, z blatem z jasnobłękitnego szkła, aż po jedyną ozdobę na ścianie – czarno-białą rycinę przedstawiającą kościół słupowy w Eidsborgu.

– Na czym pan utknął?

Max rozłożył ręce na znak, że jest w czym wybierać.

– Od czego by zacząć? Powiedział pan chyba ostatnio, że jezioro Eidsborgtjøerni w pogańskich czasach mogło być ośrodkiem kultu płodności.

– To tylko hipoteza.

– A czy nie wierzono również, że posąg Nikulsa potrafi uleczyć bezpłodne kobiety?

– Owszem, ale to też typowa przyczyna otaczania kultem figur świętych. Pragnienie posiadania dzieci. Nadal powszechna intencja w całym świecie katolickim.

– Pana rozprawa doktorska dotyczyła tych kwestii?

– Nie przede wszystkim. Jej tematem był Nikuls jako *genius loci*.

Max zrobił zdziwioną minę, chociaż wiedział, co znaczy wyrażenie.

Eksperci to lubią.

– *Genius loci* to po łacinie „duch miejsca” – wyjaśnił Thue. – W czasach starożytnych rozumiano ten zwrot całkiem konkretnie. W całym Imperium Rzymskim istniały niezliczone świątynie ku czci lokalnych bogów i duchów. Zazwyczaj pełniły funkcję ochronną, związaną jedynie z danym miejscem. Takie bóstwa lub duchy określano właśnie mianem *genius loci*. W dzisiejszych czasach wyrażenia używa się w oderwaniu od pierwotnego kontekstu, aby opisać charakterystyczną atmosferę lub nastrój miejsca, bez nawiązania do sił nadprzyrodzonych. Eidsborg jest tymczasem jednym z rzadkich przykładów zbiegu nowego i starego znaczenia pojęcia. Nie ma wątpliwości, że Nikuls pełnił funkcję *genius loci* w klasycznym znaczeniu. Posąg świętego był po prostu związany z żywotnością tego miejsca – przede wszystkim poprzez plony i narodziny dzieci. Ale jednocześnie każdy, kogo dzisiaj poprosilibyśmy o wskazanie jednej charakterystycznej dla Eidsborga rzeczy, od razu zacznie mówić o kościele i kulcie Nikulsa.

Historyk wyprostował się na krześle i spojrział przez okno na połyskliwe, słoneczne przedpołudnie w Bø. Taki właśnie był zamiar Maksa – dać mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

– Coś jeszcze? – rzucił Thue rozkojarzony.

– Dlaczego okłamał mnie pan, gdy zapytałem o Petera Schrama?

Profesor zamknął oczy i siedział tak przez kilka sekund. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Nagle posłał Maksowi zdecydowane spojrzenie.

– Bo nie lubię o tym mówić. Peter Schram był moim przyjacielem. Nawet kimś więcej. Moim mentorem, człowiekiem, który otoczył mnie komfortem akademickiej wiedzy, kiedy byłem zaledwie pryszczatym wyrostkiem. Tak naprawdę nigdy nie pogodziłem się z tą stratą.

Max odczekał, zanim zadał następne pytanie.

– O co się kłóciliście?

– O ile pamiętam, nigdy się nie kłóciliśmy.

– Doszło między wami do okropnej kłótni na krótko przed jego zaginięciem. Więcej niż kłótni. Bójki. W gospodarstwie Tveit w Eidsborgu. W drewnianej chacie, którą wynajmował. Mam na to świadków.

Thue ściągnął twarz. Wzrok miał zawstydzony, a jednocześnie twardy.

– Świadców? Co pan w ogóle wyczynia?

Max nawet nie zamierzał odpowiadać na pytanie. Chciał zobaczyć, co z tego wyniknie.

– A Cecilie Wiborg? – atakował dalej. – Czy z tą stratą się pan pogodził?

Twarz Henrika Thuego w kilka sekund z dyskretnie opalonej zrobiła się jasnoróżowa.

– Oboje pisali na ten sam temat, w którym kluczową rolę odgrywa pewien rytuał odprawiany w noc świętojańską, i oboje zaginęli właśnie tego dnia – ciągnął Max. – W odstępie trzydziestu lat. Nie sądzi pan, że to nazbyt znaczące, aby to mógł być tylko zbieg okoliczności?

– A co innego miałyby to być?

– To mnie właśnie frapuje.

Thue pokręcił powoli głową, jakby nie było sensu kontynuować.

Max wstał i podziękował. Był już w drzwiach, kiedy usłyszał za sobą głos profesora:

– Dobra rada na pożegnanie – lepiej żeby ten artykuł nie rozrósł się na tyle, aby pana pogrzebać.

ROZDZIAŁ 24

OD THUEGO poszedł prosto do biblioteki, ale tym razem nie zastał tam Tirill.

– Jest w biurze – powiedziała młoda dziewczyna, wskazując głową kierunek.

Max wszedł w ciasny korytarz pełen drzwi. Na jednych widniała tabliczka z napisem „Tirill Vesterli”. Zapukał, a w odpowiedzi usłyszał szybkie: „Proszę!”.

Książki i papiery na biurku piętrzyły się tak wysoko, że musiała się wychylić, by go zobaczyć.

– Detektyw Fjellanger – odezwała się pogodnie.

– Do usług.

Zrzuciła gazetę z krzesła i poprosiła, żeby usiadł.

What you see is what you get – brzmiał przekaz tego gabinetu. Ściany niemal całkowicie pokrywała radosna mieszanka dziecięcych rysunków, pocztówek i fotografii. Wśród nich znajdowała się też jedna, którą widział oprawioną w ramkę w jej mieszkaniu. Tutaj jednak zdjęcie sobowótorki przytwierdzono pinezkami do tablicy korkowej. Podobieństwo było tak uderzające, że musiał się zmobilizować, aby przestać się na nie gapić.

Zdał sobie sprawę, że Tirill obserwuje go z lekkim uśmieszkiem na ustach.

– To nierzeczywiste – powiedział Max.

– Bzdura! – prychnęła. – Rzeczywistość mieści tyle, że nierzeczywistość nie ma już racji bytu.

Może i miała rację. Może tak właśnie należało wszystko rozumieć.

Streścił jej rozmowę, którą właśnie odbył z Henrikiem Thuem, nie pomijając kiepsko skrywanej groźby, która padła na końcu.

– Musimy przejść do ofensywy! – zawołała rozzłoszczona, kiedy skończył. – Może udałoby się go zmusić do mówienia?

– Niby w jaki sposób?

– Za pomocą zdjęcia? Tego, które pokazała ci jego żona, z Cecilie Wiborg w ich ogrodzie. I groźby, że pokażesz je policji?

– Nie mam zamiaru kraść zdjęcia Åse Enger Thue.

– Ale zdjęcie nie jest nam potrzebne, żeby go zaszantażować – stwierdziła Tirill. – Nie rozumiesz? Wystarczy, że dasz mu swoją wizytówkę i powiesz, że pracujesz dla Wiborgów. I że natrafiłeś na fotografię Cecilie w jego ogrodzie. Na pewno uda wtedy, że nie rozumie, o czym mówisz. Może będzie chciał zobaczyć zdjęcie. Wtedy możesz powiedzieć, że widziałeś je na cudzym telefonie komórkowym. Jesteś przecież w stanie szczegółowo je opisać, prawda? Pozycję, w jakiej leżała. Wygląd murku. Wszystkie detale. Zrozumie wtedy, że rzeczywiście widziałeś tę fotografię.

– Takie zagranie może na nas ściągnąć śmiertelne niebezpieczeństwo – zaproponował Max. – I to nie tylko na nas, ale również na jego żonę, która pokazała mi zdjęcie.

– Nie, na pewno spanikuje i zacznie mówić.

– No nie wiem... – Max pokręcił głową. – A jeżeli to on zabił Cecilie? Może i nas sprzątnąć, co ma do stracenia?

Tirill westchnęła z irytacją.

– Okej, istnieje takie zagrożenie, ale przecież już jest niebezpiecznie.

Max musiał przyznać, że to słuszna diagnoza sytuacji.

– No dobra, ale nie wrócę teraz do jego gabinetu. Niech parę dni się pomęczą.

Tirill wyjęła komórkę i rzuciła na nią okiem.

– Muszę iść – powiedziała. – Kończę dziś wcześniej.

– Plany na wieczór?

Od jakiegoś czasu nosił się z zamiarem zaproszenia jej na obiad.

– Tak – odparła tajemniczo.

ROZDZIAŁ 25

NIE POTRAFIŁA JUŻ zliczyć, ile razy widziała ten sam krajobraz przesuwany się za oknem pociągu. Mimo to nigdy nie nudziło jej wędrowanie wzrokiem za wolno falującą rzeźbą terenu.

Pociąg sunął, mijając wielkie plantacje w Akkerhaugen. Nad przeciwległym brzegiem Norsjø widziała gospodarstwa w Ryntveit, idyllicznie położone, z pięknym widokiem na jezioro. W pobliskim lesie prosty żelazny krzyż upamiętniał miejsce ostatniej schadzki Knuta Ryntveita i Åste Gunnarsrud. Morderstwo w Ryntveit – Knut, syn właściciela majątku, poderznął gardło ciężarnej służącej Åste po tym, jak ostatni raz się z nią przespał – wzbudziło swego czasu sensację daleko za granicami Telemarku. Gdzie indziej zdążono już dawno o nim zapomnieć, ale w rodzinnych stronach ofiary oraz mordercy zakorzeniło się w pamięci zbiorowej. O zabójstwie napisano niezliczone piosenki, znane jako ballady o morderstwie w środkowym Telemarku. Tirill sama stała kiedyś koło krzyża, usiłując przywołać echo tamtego tragicznego zdarzenia z 1904 roku. Wyraźnie coś wtedy poczuła. Była o tym przekonana. Ale nie potrafiła opisać swoich wrażeń myślą ani słowami. Związki krajobrazu z przestępstwem były subtelne, nienamacalne.

Ten rodzaj wiedzy, obejmującej wszystko, od amatorskich piosenek aż po wielki, wizjonerski poemat *Draumkvedet*, pozwalał Tirill snuć potężną sieć powiązań między różnymi miejscami w Telemarku, w różnych epokach.

Teraz jednak na kilka godzin wyjeżdżała z rodzinnego regionu.

Adres znalazła w książce telefonicznej, ale taksówkarzowi podała inny, o kilka numerów dalej, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Budynek zdawał się naznaczony, jakby jakaś starotestamentowa ręka zeszłego lata wymalowała nad jego drzwiami krwawy krzyż.

Na widok promieni słonecznych pełzających po asfalcie przed drzewami pomyślała, że Cecilie niezliczoną ilość razy musiała widywać dokładnie to samo. Może ten obraz stanowił część najgłębszych pokładów jej wspomnień. Takich, które istnieją od zarania, o których się właściwie nie myśli. Zapach mamy. Ręka taty. Rysa na suficie nad łóżkiem. Refleksy światła na chodniku latem, pod drzewami przy drodze.

Dźwięk dzwonka zabrzmiał, jakby dochodził z głębi dużo większego budynku. Stojąc i słuchając pogłosu, miała nadzieję, że nikogo nie zastanie. Nie wspomniała o wizycie Fjellangerowi, ponieważ przypuszczała, że nie zgodziłby się na nią z uwagi na dobro ich śledztwa. Jeżeli rodzice nabiorą podejrzeń, że ktoś weszły w tej sprawie, mogą skontaktować się z policją.

Drzwi lekko się uchyliły i wyjrzała zza nich kobieta w średnim wieku, o sięgających ramion włosach koloru popielaty blond. Twarz pozbawiona była mimiki.

– Jest pani dziennikarką? – szepnęła sceptycznym tonem.

– Nie, jestem z SWT.

– Skąd?

– Ze Szkoły Wyższej w Telemarku.

Wyjęła kartę pracownika. Pani Wiborg chwyciła ją i bacznie jej się przyglądała.

– Bibliotekarka... Czego pani chce?

– Może to głupie z mojej strony, ale znałam Cecilie... i chciałam tylko...

Zdesperowana popatrzyła na matkę Cecilie i ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że sama naprawdę odczuwa głęboki smutek.

– Czego pani chce? – powtórzyła matka, ale bez wrogości.

– Czy możemy... chwilę porozmawiać?

Przez parę długich sekund pani Wiborg badała ją wzrokiem bez wyrazu. Nagle zrobiła krok w tył, po czym otworzyła drzwi.

Pewnego razu Tirill śniło się, że jest na Księżycu. Przybyła tam jako jeden z członków ekspedycji, ale pozostali zapomnieli o niej, odlatując, więc została sama. Przez szybką helmu astronauty widziała niebieską kulę ziemską. Miernik na nadgarstku wskazywał, że za osiemnaście minut skończy

jej się tlen, ale nie mogła liczyć na pomoc – wszyscy znajdowali się na okrągłej, niebieskiej tarczy na niebie. Opanował ją wszechogarniający strach, w którym wręcz tonęła, ale nie mogła nawet krzyknąć, ponieważ dźwięk nie rozchodzi się w próżni kosmosu.

Na szczęście obudziła się, zanim zabrakło jej tlenu.

Kathrine Wiborg nigdy nie obudzi się ze swojego snu.

Na stoliku koło drzwi salonu stała fotografia przedstawiająca jej córkę. Twarz promieniała nieśmiertelnością młodości.

– Może pani usiąść tam – odezwała się nagle drżącym głosem.

Matka myślała, że porozmawia z kimś, kto znał jej córkę. O kim wcześniej nie wiedziała. To musiało być jednocześnie straszne i kuszące.

Tirill zajęła miejsce na kanapie i czekała. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie oraz sztuka abstrakcyjna. Na jednym zdjęciu Kathrine i jej mąż, dość młodzi, byli na plaży z małą dziewczynką pośrodku.

Dziewczynka przypominała matkę. Tirill pożałowała, że przedstawiła się jako znajoma Cecilie, ale nie mogła już się z tego wycofać. Siedziała na tej samej kanapie, gdzie na pewno przesiadywała Cecylie. Leżała tutaj, słuchając muzyki, może całowała się z chłopakiem pod nieobecność rodziców. Tutaj stał telewizor, na który gapiała się razem z nimi z mniejszym lub większym zainteresowaniem, oglądając film i sięgając do miski ze smakołykami na stole.

Tak wyglądało jej życie, dopóki nie odebrał jej go ktoś w Telemarku.

– Zje pani coś? – zapytała Kathrine Wiborg, wchodząc do salonu. – Wypije?

Tirill zasłoniła się rękami i pokręciła głową.

– Okej – zabrzmiała ledwie słyszalna odpowiedź, po czym pani Wiborg usiadła na fotelu kilka metrów dalej.

Kiedyś raczej nie zaakceptowałyby tak łatwo odmowy, ale teraz pewnie nie miała siły na takie błahostki. Cisza w pokoju była jak ciężar spoczywający na piersi. Kathrine Wiborg nie sprawiała wrażenia, jakby chciała ją przerwać. W końcu to Tirill przyszła w odwiedziny, a nie odwrotnie.

– Cecilie i ja... – zaczęła, ale słowa grzęzły jej w gardle. – Nie twierdzą, że mocno się przyjaźniłyśmy – spróbowała wyjaśnić. Każde słowo smakowało jak kawałek spalonego na węgiel mięsa. – Czasami wychodziłyśmy na miasto. Nie same, ale... studenci i pracownicy razem. Bardzo ją lubiałam... a kiedy zaginęła, nie umiałam się z tym pogodzić. Czytałam o sprawie w gazetach, ale... Wmawiałam sobie, że nie chodzi o tę samą Cecilie. Dopiero ostatnio zaczęłam zdawać sobie sprawę, że...

Miała ochotę wypluć słowa na podłogę, pozbyć się smaku spalenizny. Powiedzieć, jak naprawdę jest.

– Że co? – padło ciche pytanie.

– Że jej nie ma.

Przez chwilę panowała cisza, aż Kathrine Wiborg podnosiła wzrok i spojrzała na gościa.

– Razem z mężem przez wiele dni braliśmy udział w poszukiwaniach w Bø. Szukaliśmy w starych szopach i wrakach samochodów, w najmniej przyjemnych miejscach. Wszędzie ktoś szukał, ale nikt niczego nie znalazł. Ani śladu.

Za sobą miała duże okno zasłonięte żaluzjami, które przepuszczały pojedyncze promienie światła.

– Nie rozmawiałam z nią dość długo przed zaginięciem – powiedziała Tirill. – I zastanawiam się... Czy pod koniec czuła się dobrze?

Na twarzy Kathrine pojawiło się coś na kształt uśmiechu, który po chwili znikł.

– Myślę, że bardzo dobrze.

Mówiła tym samym cichym, beznamytnym głosem, jakby najmniejszy ślad uczuć miał ją udusić.

– Była w domu na tydzień przed świętym Janem. Wydawała się wesoła. Jak gdyby skrywała jakąś tajemnicę, stwierdziliśmy później. Ale może taka po prostu jest młodość.

Tirill, która miała większą część życia przed sobą, czuła, że jej obecność dodatkowo rani panią

Wiborg.

– Czy Cecilie mówiła kiedyś o Peterze Schramie?

Znów ten gorzki smak zwęglonego mięsa.

– Schramie? – Powoli pokręciła głową.

– Zajmował się tym samym tematem – wyjaśniła Tirill. – Kultem świętych w Eidsborgu.

Pomyślałam, że może...

– Nie, nie pytałam zbyt często o... Oczywiście powinnam była, bo wtedy poznałabym ją jeszcze lepiej.

Siedziała, patrząc pustym wzrokiem przed siebie, aż Tirill zaczęła się zastanawiać, czy o niej nie zapomniała.

– Czy kiedy ostatni raz tutaj była, wspominała o przyjaciółkach albo znajomych?

Kathrine Wiborg wyglądała, jakby usiłowała dostrzec kogoś na innej planecie. Tej niebieskiej, na której znajdowali się wszyscy inni. Wzrok miała nieobecny, oczy zaszklone.

– Mówiła coś o jakimś biologu...

– Tak?

– Chyba pod koniec pobierała próbki gleby?

– No nie wiem – odparła Tirill. – Studiowała przecież kulturoznawstwo.

– Nie, to pewnie moja bratanica, która studiuje w Anglii. Ma zostać architektem krajobrazu.

– To brzmi bardziej prawdopodobnie.

Wzrok Kathrine Wiborg wrócił na Księżyc. Tirill wiedziała, że powinna dowiedzieć się jak najwięcej, dopóki ma okazję, ale rzeczywistość – a może nierzeczywistość? – zaczęła coraz mocniej dawać o sobie znać.

– Zawsze będę mieć ostatnią krztę nadziei – odezwała się nagle. – Dopóki jej nie odnajdą.

Tirill czuła, że więcej nie wskóra.

– Chyba powinnam już iść...

– To zależy od pani – odpowiedziała Kathrine bez zaangażowania. – Ma pani szczęście. Ode mnie już nic nie zależy.

Przyglądając się rozedrganemu światłu na chodniku, Tirill pomyślała, że dowiedziała się więcej niż dość.

ROZDZIAŁ 26

MAX GRUNTOWNIE PRZYGOTOWAŁ SIĘ do spotkania z Henrikiem Thuem. Mimo to nerwy zżerały go, kiedy zastukał do drzwi. Nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego. Nie wymuszał informacji od profesora w jego własnym gabinecie, w godzinach pracy.

Nikt mu nie odpowiedział, ale na szczęście nie musiał długo czekać, bo Thue nadszedł ze stertą papierów w ręku. Na widok Maksa spochmurniał.

– Czego pan chce tym razem? – zapytał, gdy dotarł do drzwi.

– Jedynie uzupełniających informacji – powiedział Max. – Nie zajmie to wiele czasu.

Thue wpuścił go bez słowa. Wskazał to samo krzesło, na którym Max siedział poprzednio. Sam usiadł na krawędzi biurka, może chcąc zdominować fizycznie dużo wyższego Maksa Fjellangera.

– O co chodzi? – odezwał się niecierpliwie.

– O zdjęcie.

Minęło kilka sekund.

– Tak?

– Przedstawiające Cecilie Wiborg.

Kolejna pauza.

– Chce pan wiedzieć, czy mam jej zdjęcie?

– Nie. Wiem, że obaj je mamy.

Profesor wydawał się zdezorientowany. Maksowi jego zmieszanie było na rękę. To zawsze pomaga w pracy.

– Nawet to samo. Była ładną dziewczyną – ciągnął.

– Może pan przestać tak zagadkowo się wyrażać?

– Zdjęcie, które pan zrobił w swoim ogrodzie. Cecilie leży na nim w bikini koło fontanny, którą da się łatwo rozpoznać, bo zdobi ją wzór w delfiny i kałamarnice.

Profesor otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Co chce pan zrobić? – zapytał Max. – Wyrzucić mnie? A może wezwać policję?

Thue usiadł, jak gdyby uznał, że nie zdominuje Maksa, nieważne jak wysoko by stanął.

– Co wydarzyło się w noc świętojańską?

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział.

Max wyjął wizytówkę i położył ją na biurku z błękitnego szkła. Następnie wstał i podszedł do drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się do Thuego, który przyglądał się wizytówce.

– Idę na komendę – oznajmił Max. – Przekazać telefon komórkowy ze zdjęciem Cecilie w pańskim ogrodzie. W bikini. Przypuszczam, że jeszcze tego wieczoru zostanie pan przesłuchany przez agentów z policji kryminalnej. Na pewno będą chcieli wiedzieć, dlaczego w zeznaniach nie wspomniał pan o swoim związku z panną Wiborg.

Thue wyglądał jak figura z gabinetu Madame Tussaud, a sądząc po kropelkach potu na czole i nad górną wargą, wosk właśnie zaczynał się topić.

Max nacisnął na klamkę.

– Proszę zaczekać! – zawołał profesor gorączkowo. Po chwili dodał szeptem: – Kochałem Cecilie. Nigdy bym jej nie skrzywdził. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Teraz to Max usiadł na krawędzi biurka.

– Niestety, nie mogę. Jeżeli odmówi pan współpracy, bez pomocy policji się nie obejdzie. Tak już po prostu jest.

Thue kręcił powoli głową, jakby próbował wymyślić coś, co przyniosłoby mu ulgę. W końcu się poddał.

– Za dziesięć minut mam spotkanie. W każdej chwili może się tutaj ktoś zjawić.

Max nie chciał, żeby im przerywano.

– W moim pokoju hotelowym, o ósmej wieczorem – rzucił. – A jeżeli nie...

Pogroził mu palcem, a profesor skinął posłusznie głową.

ROZDZIAŁ 27

DWADZIEŚCIA PO ÓSMEJ rozległo się pukanie do drzwi. Thue wydawał się poważny, ale opanowany, i nie usprawiedliwił w żaden sposób swojego spóźnienia.

– Uprzedziłem w recepcji, że się pana spodziewam – powiedział Max. – Na wypadek gdyby zaplanował pan coś... kreatywnego. – Uśmiechnął się.

Na twarzy profesora widział dziwną mieszankę rezygnacji oraz... Czego? Ulgi?

– Jeżeli powiem panu wszystko, dokładnie tak, jak się wydarzyło, obiecuje pan, że nie wyda mnie policji? – zapytał.

– Zależy, co pan powie. Zrobię, co konieczne, żeby rozwiązać sprawę, ale obiecuję, że postaram się w to pana nie mieszać. Co wydarzyło się rok temu w wigilię świętego Jana?

Thue wyjął z wewnętrznej kieszeni blezera etui, a z niego okulary, które zaczął czyścić niebieską szmatką.

– Cecilie marudziła od kilku dni – pewnie od tygodnia – żebym w noc świętojańską zawiózł ją do Eidsborga, ale ja nie miałem ochoty.

– Dlaczego?

– Bo było jasne, że chce mnie wykorzystać tylko po to, żeby się tam dostać. Na miejscu nie mieliśmy nic razem robić. Wyzaczyła mi wyłącznie rolę kierowcy. Moja żona wyjechała, a ja wolałbym inaczej spędzić z nią ten wieczór.

– Cecilie nie miała swojego auta?

– Nie, to nic niezwykłego wśród studentów. Przyszła do mnie około trzeciej. Widział pan zdjęcie z monitoringu? Ostatnie, jakie jej zrobiono. Szła wtedy do mnie. To cud, że nikt nie zobaczył, jak opuszczamy Bø.

– Zawiózł ją pan do Eidsborga?

– Tak. To znaczy prawie – zażądała, żebym wysadził ją jakiś kilometr wcześniej. Przy leśnej drodze. Chyba chciała jak najbardziej zbliżyć się do tego, o czym pisała. Poczuc zapach kwiatów i rosę na trawie tej nocy, kiedy Nikulsa noszono dookoła Eidsborgtjørni.

– Ale dlaczego postanowiła wysiąść wcześniej?

– Nie wiem. Po prostu ją wysadziłem. Najpierw jednak umówiliśmy się, że zadzwoni do mnie nazajutrz, kiedy będzie chciała, żebym ją odebrał. Wtedy ostatni raz widziałem Cecilie.

Spojrzenie Henrika Thuego było niezbadane.

– A jej telefon? Został wyłączony albo przestał działać osiem minut po tym, jak zarejestrowała ją kamera monitoringu. Przypuszczam, że wyłączyła go u pana?

– Robiła tak, kiedy byliśmy razem. Nie chciała, żeby jej przeszkadzano. Żyliśmy w swoim małym świecie, do którego inni nie mieli wstępu. W każdym razie tak było, dopóki nie zaszła w ciążę.

Popatrzył na Maksa, jakby chciał sprawdzić jego reakcję.

– Z panem?

Thue nagle się uśmiechnął.

– Po co mi pan to mówi? – chciał wiedzieć Max. – Nie musi pan.

– Żeby pan lepiej zrozumiał, dlaczego skłamałem na policji. Myśli pan, że uwierzyliby, gdybym zeznał, że odwoziłem Cecilie do Eidsborga i wysadziłem ją w zapomnianym przez Boga miejscu, gdzie nikt nie mógł nas widzieć? Nie potwierdzi tego żaden świadek, ale to prawda! Poza tym była ze mną w ciąży – dodał z emfazą. – Chyba rozumie pan, że strasznie się bałem? Dzięki Bogu nikt na uczelni nie wiedział o naszym związku. Ani w jej rodzinie. Nie puściła na ten temat pary. Dlatego policja pytała mnie głównie o to, jaką była dziewczyną. O jej znajomych. Czy miała sympatię. Tego typu rzeczy. I tyle. Więcej się nie odezwali. Czy mogę dostać wody?

Max poszedł do łazienki i napełnił szklanekę.

– Proszę – powiedział, a Thue opróżnił ją kilkoma głośnymi haustami.

– Jak zareagował pan na wieść o ciąży?

– Z początku panicznym wręcz lękiem. Z czasem zacząłem postrzegać to jako zesłany mi nagle

dar. Młoda dziewczyna, którą kochałem i która – jak myślałem – kochała i mnie. Do tego dziecko... A ja nigdy...

Nie dokończył zdania, tylko gapił się zagubiony przed siebie.

– Czy ma pan dzieci z żoną? – zapytał Max.

Pokręcił głową.

– Nie możecie?

– Åse nie może. A więc widzi pan, to było jak dar życia. Życia, którego miałem nigdy nie doświadczyć. Aż tu nagle się pojawiło. Rozumie pan w ogóle, o czym mówię?

Max rozumiał. Sam przez to przechodził. Obojętność przyrody wobec człowieka nie zna granic.

– Musiał się pan okropnie bać, że pana żona się dowie.

– Dowiedziała się, zaledwie kilka dni po mnie. W poniedziałkowe przedpołudnia regularnie spotykałem się z Cecilie u siebie w domu. Åse była wtedy w pracy. Akurat w ten poniedziałek została w domu z powodu przeziębienia, a do mnie zadzwoniono z informacją, że mój ojciec jest bardzo chory, więc pojechałem do Oslo. Przez stres związany z chorobą i ciężką zapomniałem powiadomić Cecilie. Kiedy zjawiała się w domu, zastała tam tylko Åse. Żeby przyspieszyć rozwód, Cecilie ujawniła, że spodziewa się ze mną dziecka.

Od Åse Enger Thue Max usłyszał inną, dużo mniej dramatyczną wersję opowieści o tym spotkaniu. Robił wszystko, co w jego mocy, żeby nie zdradzić zaskoczenia.

– Jak zareagowała?

– Nazwała ją dziwką i przegnała. Ale po moim powrocie z Oslo po jej wściekłości nie było już śladu.

– Nie chciała rozvodu?

– Powiedziała jedynie, że wszystko na pewno jakoś się ułoży.

Zabawę okularami, jeżeli wierzyć filmom i książkom, można było interpretować jako oznakę kłamstwa. Podobnie dotykanie nosa i rozbiegany wzrok. Doświadczenie nauczyło jednak Maksa, że w rzeczywistości jest inaczej. Po prostu rzeczywistość to beznadziejny chaos – siedem miliardów ludzi jednocześnie grających w tę samą grę, w której stawką jest życie.

– Myślał pan, że Cecilie też pana kochała. Tak pan powiedział – odezwał się Max.

– Tak, ale z czasem nabrałem wątpliwości. Pod koniec wydawała się nieobecna. Próbowałem sobie wmawiać, że to przez ciężkę, ale tak naprawdę przeczuwałem, że powodem jest coś, czym nie chciała się ze mną podzielić.

– Kiedy to się zaczęło?

– Z początku nie byłem świadomy tych zmian, ale po zastanowieniu myślę, że wszystko zaczęło się jeszcze w kwietniu. To znaczy zanim zaszła w ciążę.

– Może wycofała się przez jakiś problem w waszym związku?

– Myślni była gdzie indziej. Rozumie pan? Jakby przestała zauważać świat wokół. Skupiała się tylko na tej jednej rzeczy, cokolwiek nią było.

– Jaki ma pan stosunek do świńskich łbów?

Thue zmarszczył ze zdziwieniem czoło.

– Chyba nie mam żadnego stosunku – powiedział spokojnie. – Dlaczego?

Max przyglądał mu się dłuższą chwilę i uznał, że raczej nie blefuje.

– Gospodarstwo Tveit w Eidsborgu – zmienił temat. – Był tam pan?

– Wiele lat temu.

– Ale skłamał pan, twierdząc, że nie znał Petera Schrama.

– Już wyjaśniłem panu przyczynę. Dlaczego rozgrzebuje pan moją przeszłość?

– Panuje powszechne, choć błędne przekonanie, że przeszłość minęła – powiedział Max. – Prawda jest taka, że ona nigdy się nie kończy. To pana słowa z naszego pierwszego spotkania. Zakładam, że dotyczą również pańskiej przeszłości.

Henrik Thue spojrział w dół i w bok, jak gdyby zauważył coś ciekawego koło wypucowanego buta Maksa Fjellangera.

– Szperał pan w jego papierach? Przeczytał coś, czego nie powinien był pan przeczytać? To dlatego skoczyliście sobie do oczu?

Thue westchnął zrezygnowany.

– To fałszywy trop. Jak już mówiłem, nigdy nie kłóciłem się z Peterem Schramem. Nie rozumiem też, jaki miałyby to mieć związek z zaginięciem Cecilie. Mimo to muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, ile pan wie. Dzisiaj powiedział pan, że na zdjęciu, które zrobiłem Cecilie, da się rozpoznać naszą fontannę. Nie pomyślałem o tym wtedy, ale później zadałem sobie pytanie, czy węszył pan w naszym ogrodzie.

– Robię, co muszę, żeby rozwiązać sprawę. I wiem więcej, niż pan myśli. Ale nadal zastanawia mnie wiele kwestii. Na przykład czy Peter Schram naprawdę uległ wypadkowi podczas spaceru po lesie? Czy go zabito?

– Nie mam pojęcia. – Henrik Thue ostentacyjnie zamknął oczy.

Jego twarz zdradzała oznaki wyczerpania, jakby od dawna nie przespał nocy.

ROZDZIAŁ 28

W OGRODZIE mocno pachniało lawendą i świeżo skoszoną trawą. Słysząc było jedynie wodę pluskającą w fontannie oraz trzmiele i pszczoły kąpiące się w nektarze na dnie kielichów kwiatowych. Na stoliku, przy którym siedzieli poprzednio, stała szklanka z odrobiną czerwonego płynu. „Sok malinowy” – pomyślał. Ale nie wyglądało na to, że zastał Åse Enger Thue w domu. O nieobecności jej męża zdążył się już upewnić – poprosił Tirill, żeby zadzwoniła do niego i zapytała o książkę, którą kiedyś wypożyczył i już dawno oddał. Poinformował ją, że przebywa w Oslo i nie ma możliwości zajrzeć do biblioteki.

Max postanowił zastukać do drzwi werandy. Na dworze było tak jasno, że z trudem dostrzegał cokolwiek wewnątrz. Oparł czoło o szybę i zajrzał do środka, oburącz osłaniając oczy przed słońcem.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta. Na głowie miała różowy ręcznik zawiązany w turban. To był cały jej strój. Bez cienia wstydu paradowała po salonie, jak to bywa, kiedy jest się samemu we własnym domu i wiadomo, że nikt nie patrzy. Nieopalone miejsca na ciele niemal świeciły w półmroku.

Na ten widok poczuł szok pomieszany ze słodyczą. Przez chwilę myślał, że Åse Enger Thue patrzy prosto na niego i już spodziewał się, że krzyknie, ale ona zachowywała się dalej, jak gdyby nigdy nic. Po chwili zniknęła mu z pola widzenia tak samo nieskrępowana, jak się w nim pojawiła.

Oddech rwał mu się w piersiach, gdy przeszedł szybko przez ogród w stronę drogi. Już prawie do niej dotarł, kiedy usłyszał, jak otwierają się drzwi werandy. Kilka sekund później wyłoniła się spomiędzy krzewów ozdobnych, z mokrymi włosami, które przylegały do głowy.

– Dzień dobry! – zawołała, machając.

– O, tu pani jest – powiedział.

– Proszę wejść.

Musiała wskoczyć prosto w szorty, a właściwie w parę znoszonych dżinsów o odciętych nogawkach. Biały T-shirt również wyglądał na pośpiesznie włożony. Max nie miał pojęcia, w jaki sposób zdążyła się ubrać przez tę krótką chwilę, odkąd oglądał ją naga.

– Miło znów pana widzieć – odezwała się z szerokim uśmiechem.

Zapach jej świeżo umytego ciała mieszał się z aromatem soku malinowego. Max postanowił nakłonić ją do wyjawienia dalszych szczegółów na temat spotkania z Cecilie Wiborg. Trudno mu było uwierzyć, że jej mąż skłamał w tej kwestii. Po co miałby zmyślić coś takiego? A jeśli on nie kłamał, to Åse mówiła nieprawdę. Przyszedł tu po to, by się tego dowiedzieć – tak sobie przynajmniej powtarzał.

Ale Åse Enger Thue właśnie założyła nogę na nogę. Jej skóra miała złocisty odcień, lecz w miejscu, gdzie kończył się poszarpany materiał szortów, zaczynała się ich nieopalona część.

Czy była świadoma, że wcześniej widział, co znajduje się wyżej?

– Co to za kwiaty? – zapytał, żeby przerwać milczenie i wskazał na wysokie, intensywnie niebieskie kwiaty rosnące przy murku.

Odwróciła się leniwie i spojrzała we wskazanym kierunku.

– Ostróżki.

– Skąd taka nazwa?

– Nie wiem – odparła niezainteresowana. – Może kwiaty przypominają ostrogi. Wie pan, takie na butach jeździeckich.

– Jeździ pani konno? – palnął bez zastanowienia.

– O wiele za rzadko – odpowiedziała z cieniem uśmiechu na ustach. – Ale jestem prawdziwą miłośniczką koni.

– To widać.

– Ach tak? – Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

– Tak, jeździectwo dobrze wpływa na... – zaczął. – Kształtuje... Poprawia...

Przez chwilę patrzyła, jak rozpaczliwie szuka słów, aż wreszcie zlitowała się nad nim.

– Muszę wysuszyć włosy, bo będą wyglądać, jakbym dopiero co wstała z łóżka – powiedziała.

Kiedy weszła do domu, wreszcie mógł odetchnąć z ulgą. Odkąd zobaczył ją naga, oddychał z trudem, jak gdyby płuca skurczyły mu się do jednej czwartej pierwotnego rozmiaru.

Po kilku minutach wróciła z wysuszonymi włosami. Maksowi podobało się, że nie ubrała się w nic więcej. Tuż za nią dreptała Missi.

– Od razu lepiej – powiedziała, mierzwiąc włosy palcami, aby następnie wygładzić je i związać w koński ogon za pomocą gumki, którą wyczarowała znikąd.

– Ma pani fantastyczny ogród – pochwalił.

Usiadła z opuszczoną głową i podniosła na niego wzrok, jak zaczajony rekin obserwujący turystów na plaży.

– Dobrze się pan rozejrzył?

– Uważam, że dużo zobaczyłem... Na przykład wspaniałe ostróżki.

– Ach, tak... A pan jeździ konno?

– To było dość dawno, ale jeździłem trochę w Stanach.

– Używał pan kowbojskich ostróg? W kształcie kółeczek z ostrymi wypustkami?

– Naprawdę nie pamiętam – odparł Max.

Nie wiedział już, o czym tak właściwie rozmawiają.

– Nigdy nie zastanawiał się pan, co czuje koń, kiedy kłuje się go nimi w boki?

Pochylił się i pogłaskał Missi leżącą u stóp Åse. Jej naga prawa łydka dyndała tuż przed nim. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio oglądał coś tak gładkiego. Widział też jednak obrączkę, którą Ann wsunęła mu na palec dwadzieścia pięć lat temu, więc się wyprostował.

– Niewiele wiem na temat koni – przyznał. – Ale pani ogród przedstawia boski widok.

– Ogród trzeba pielęgnować. Bogami zajmuje się Henrik. Bogowie i święci to jego domena.

I studentki.

– Cudze ogródki?

Zaśmiała się ze smutkiem.

– Jeżeli nie można ufać własnemu mężowi, to komu można? Ostatecznie wszystko zmienia się w jedno wielkie kłamstwo, które stale cię otacza. Telefony odbierane w innym pokoju. SMS-y, na których widok się uśmiecha. Nie pamiętam, kiedy ostatnio uśmiechał się z powodu czegoś, co ja powiedziałam albo zrobiłam. Pogardliwych uśmiechów oczywiście nie liczę. Tych jest więcej niż dość. Kiedy histeryzująca profesorowa po raz kolejny podejrzewa, że mąż zadaje się ze studentkami.

– Dlaczego się pani na to godzi?

Åse Enger Thue pokręciła głową.

– Proszę nie pytać... – Spojrzała na Maksa z przekorą w oczach. – Gdy zaginęła Cecilie, byłam u siostry w Skien. Zadzwoiłam do Henrika, który twierdził, że odpoczywa w domu na werandzie, ale ja znam odgłosy tego miejsca w letni wieczór. Jest tam jak teraz – cicho. Może jakiś samochód przejedzie w tle. Tam, gdzie wtedy przebywał, słychać było coś innego. Równomierny szum, jak w samochodzie. Moje życie pełne jest takich chwil.

Pochylił się do niej i położył dłoń na jej przedramieniu. Dotyk wzniecił w nim pożar. Max nie mógł się oprzeć linii jej nagrzanej w słońcu ręki, aż do barku gładkiej i krągłej jak egzotyczna ryba.

Odsunęła jego dłoń z takim wahaniem, że odczytał gest bardziej jako pytanie aniżeli odpowiedź.

– Przepraszam – powiedział, oszołomiony jej bliskością.

Zaśmiała się bezgłośnie i wypięła łyk soku.

– Jak długo zamierza pan zostać w Bø?

– Nie wiem.

– Zamierza pan badać kościoły słupowe, a, o ile mi wiadomo, tutaj ich nie ma. Proszę mi wierzyć, wiedziałabym, gdyby było inaczej. Więc dlaczego pan wciąż tu jest?

Skoro nie mógł wyjawić prawdy, istniała tylko jedna wiarygodna odpowiedź.

– Przez panią – powiedział.

– Och, doprawdy! Wysłuchiwanie moich narzekań nie może być aż tak ciekawe.

– Ale sprawia, że topnieję od środka.

Zdumiona zmarszczyła nos.

– Od dawna noszę w sobie chłód. Nie musimy o tym rozmawiać, jeżeli pani nie chce.

– Możemy.

Wciągnął powietrze i kontynuował:

– W sumie bardziej przypomina to wadę wzroku. Po śmierci żony – a nawet wcześniej, gdy była chora – czułem się, jakbym częściowo utracił wzrok. Jakby świat stał się bezwymiarowy. Albo bezbarwny. Kiedy siedzę tu z panią, świat na nowo nabiera kształtów i kolorów. Dlatego zostałem.

Zaskoczyło go, z jaką łatwością przyszło mu skłamać i wyznać prawdę w tej samej wypowiedzi.

Åse odwróciła twarz.

– Nikt nie powiedział mi nigdy czegoś równie ładnego – odezwała się. – Ale jestem po ślubie...

– Pani mąż chyba też?

– Słuszna uwaga. Tylko że nie jestem moim mężem.

– Ma pani wyższe standardy?

– Każdy ma wyższe standardy niż Henrik.

– Więc dlaczego...

– Niech pan nie pyta! – przerwała i nagle się podniosła.

Chodziła wkoło po trawniku, trzymając się oburącz za głowę. – Niezła kabała! – powtarzała zrozpaczonym głosem sama do siebie.

Max również wstał. Próbował jej dotknąć, ale go odsunęła.

– Mam iść? – zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Åse jakby przestała zwracać na niego uwagę. Raz jeszcze zapytał, czy ma odejść. Kiedy i tym razem nie zareagowała, ruszył przed siebie. Cały czas miał nadzieję, że poprosi go, by wrócił. Dotarłszy do drogi, usłyszał trzaśnięcie drzwi werandy.

ROZDZIAŁ 29

NIE MÓGŁ SPACĆ, więc postanowił się przejść. Jednak gdy tylko opuścił hotel, ogarnęła go niepewność. Przez chwilę czuł strach i słabość, ale wziął się w garść i ruszył przed siebie. Nie miał zamiaru dać się wystraszyć jakiegóż zakapturzonej postaci.

Mimo to nie wrócił na kościelne wzgórze. Skierował się za to na alejkę przecinającą Evjudalen, podobny do parku teren między hotelem a stacją kolejową. Przeszedł po betonowym mostku nad strumieniem Lortebekk – o nazwie poinformowała go Tirill – i udał się w górę, w stronę stacji.

Długi opustoszały peron był skąpany w chłodnym świetle. Minęła północ, niedługo mógł nadjechać nocny pociąg, ale nie zjawili się jeszcze żadni podróżni. Max widział jedynie jakieś dzieciaki w dwóch autach zaparkowanych koło nieczynnego kiosku, rozmawiające przez otwarte okna.

Usiadł na ławce. Śledził wzrokiem tory, aż znikły w mroku. Może był już tutaj zbyt długo. Mógł świadczyć o tym fakt, że przyszedł na stację w nocy, żeby zobaczyć pociąg z Oslo. A może zawsze tak było. Może najlepiej czuł się w ciszy.

Na Florydzie zdarzało mu się wstawać w środku nocy, nie budząc Ann. Wsiadał do samochodu i wyjeżdżał z miasta, w miejsce, gdzie mógł znaleźć całkowicie pustą plażę. Chodził tam bez celu. Słuchał, jak fale biją o brzeg, od czasu do czasu spoglądając na gwiazdy. Często czuł wtedy, że po raz pierwszy od dawna może odetchnąć. Chociaż kochał Ann.

Stwierdził, że taki już jest. Że jest samotnikiem.

Przyjechał nocny pociąg, ale nikt nie wsiadł. Wsiadły tylko dwie osoby. Natychmiast ruszyły każda w swoim kierunku. Wtedy konduktor dmuchnął w gwizdek i niedługo później peron był tak samo opustoszały, jak przed chwilą.

Kiedy zamykał za sobą drzwi do pokoju hotelowego, jakaś ciemno ubrana postać rzuciła się na niego i cisnęła nim o ścianę. Zadał cios, ale poczuł, że chybił – zaciśnięta pięść ześlizgnęła się po klatce piersiowej lub brzuchu napastnika. Ledwie zdążył zarejestrować, że mężczyzna ma na sobie ciemną bluzę z kapturem mocno zasłaniającym twarz, kiedy został kopnięty w górną część uda, blisko krocza, a gdy się pochylił, pięść trafiła go w bark.

Koncentrując całą siłę w prawej ręce, uderzył intruza hakiem w podbródek, czysto i skutecznie. Ciemna postać wydała okrzyk zaskoczenia i wylądowała na tyłku.

Max przez chwilę próbował złapać oddech. Zauważył, że laptop na biurku jest włączony.

Wtedy rzucił się na intruza, przycisnął go własnym ciężarem i zsunął mu kaptur. Chłopak mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Przewracał oczami i nie dało się nawiązać z nim kontaktu. Max nieźle go poturbował.

W młodej twarzy było coś znajomego. Im dłużej się jej przypatrywał, tym większej nabierał pewności, że niedawno ją widział.

Nagle zdał sobie sprawę, kogo przygniótł do ziemi.

ROZDZIAŁ 30

KILKA MINUT PÓŹNIEJ Max nadal ciężko oddychał, ale przynajmniej zdołał doprowadzić do porządku ubranie.

Tycho Abrahamsen siedział skulony na fotelu, zerkając na niego spode łba. Max wypowiedział w myślach imię chłopaka – brzmiało staromodnie.

– Dlaczego myślisz, że zabiłem twojego ojca? – zapytał. – Knut był moim dobrym przyjacielem.

– Jestem pewien, że tata nie popełnił samobójstwa – odpowiedział Tycho. – A pan pojawił się znienacka na pogrzebie. Właśnie teraz przypadkiem przebywa pan w Norwegii.

Młoda twarz miała zacięty wyraz. Stanowcze było zwłaszcza spojrzenie. Max zauważył to już na pogrzebie.

– Udowodnię, że nie mogłem go zabić – oznajmił Max.

Sięgnął do laptopa, który nadal stał otwarty i włączony. Nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawił się mejl z biletami na samolot.

– Zobacz. – Podał komputer młodzieńcowi na fotelu. – Przyjechałem do Norwegii w dzień pogrzebu. Kiedy się poznaliśmy, byłem w kraju zaledwie od kilku godzin.

Tycho Abrahamsen długo przyglądał się dokumentowi.

– Mógł go pan zabić i wrócić do Stanów – stwierdził w końcu.

– Żeby parę dni później znowu przylecieć do Norwegii na pogrzeb?

– Nie jest to bardzo prawdopodobne – przyznał Tycho. – Ale dlaczego pan skłamał?

– Bo wiedziałem, że prawda zabrzmi dziwnie. Pogrzeb Knuta był jedynym powodem mojego przyjazdu do Norwegii. A nie miałem z nim kontaktu przez blisko trzydzieści lat. Zamierzałem tylko wziąć udział w uroczystości i wrócić do domu.

– Więc dlaczego pan został? – zapytał Max, oddając Maksowi laptop.

– Najpierw chciałem się dowiedzieć, jak się tutaj dostałeś?

– Mieszkam dwa pokoje dalej. Próbowałem obserwować pana od samego przyjazdu. To ja śledziłem pana koło kościołów. Dziś wieczorem pojawił się nowy nocny portier. Gdy usłyszałem, że pan wychodzi, odczekałem chwilę i zszedłem do recepcji. Powiedziałem, że w moim pokoju automatycznie włączyło się ogrzewanie i jest tam teraz sauna. Przed pana drzwiami nagle udałem, że zapomniałem wziąć klucz, więc nie mam jak dostać się do środka. Facet poszedł po klucz i otworzył drzwi. Razem stwierdziliśmy, że ogrzewanie musiało samo się wyłączyć i wszystko jest już w porządku. Wtedy mogłem już tylko życzyć mu dobrej nocy i włączyć pana komputer.

– Ale zajęło ci to zbyt dużo czasu...

– Mhm...

– Co chciałeś znaleźć?

– Notatki, zdjęcia... Jakąkolwiek wskazówkę, która podpowiedziałyby mi, co się stało z tatą. Więc dlaczego nie wrócił pan do Stanów?

– Bo twoja matka powiedziała, że to się stało w Dalen. I ponieważ... Cóż, to długa historia.

– Śpieszy się nam? – wymamrotał Tycho, pocierając podbródek w miejscu, gdzie otrzymał cios.

Kiedy Max skończył opowiadać o zaginięciu Petera Schrama i wszystkim, co wydarzyło się, odkąd przyjechał do Norwegii, młody Tycho pokręcił z niedowierzaniem głową.

– O rany. Pożar. Duch. Odcięta świńska główka. I Cecilie Wiborg. Przypuszczam, że teraz moja kolej. Zacznę może od Cecilie. Tata był całkowicie pochłonięty tą sprawą. Wręcz opętany. Mamie nic nie powiedział, ale z czasem dopuścił do niej mnie. Wszystko zaczęło się od pracy magisterskiej Cecilie. Ledwie wspomniano o niej w jednej gazecie, ale to wystarczyło, żeby tata odkrył związek tego zaginięcia ze zniknięciem Petera Schrama.

– Nadal miał instynkt – skomentował Max pod nosem.

– Tak, i było to dla mnie dziwne przeżycie. Znałem go raczej jako guzdrałę, człapiącego w kapciach z pokoju do pokoju. Z cienkim wąsikiem. Papierosem w ustach. Wydawał się wyniszczony przez to, co przydarzyło mu się w policji.

– Chodzi o plotkę, że miał coś wspólnego z zaginięciem Schrama?

Tycho skinął głową.

– Nie miałem o tym pojęcia, ale kilka dni temu ktoś powiedział coś, co poddało mi taką myśl – przyznał Max. – Szkoda, że przez te lata nie zadzwonił albo nie napisał do mnie listu na ten temat.

– Nie rozumie pan? – Tycho wydawał się zaskoczony. – Nie mógł być pewien, że to nie pan rozsiewał plotki. Przecież odszedł pan z policji niedługo po zaginięciu Schrama i wyemigrował do Stanów. Później nie dawał pan znaku życia. Tata uważał, że to podejrzane. Ja też. To w sumie najważniejszy powód, dla którego znajduję się teraz w pana pokoju. A także kłamstwo na pogrzebie, że przypadkiem jest pan w Norwegii. No i śmierć taty.

Max poczuł ukłucie bólu w bliżej nieokreślonym miejscu. A zatem Knut żył przez te wszystkie lata, podejrzewając, że przyjaciel wbił mu nóż w plecy?

– Powiedz mi, czy on był w Dalen, żeby się czegoś dowiedzieć? – zapytał. – Przed śmiercią?

– Tak, wielokrotnie, ale nigdy nie wziął mnie z sobą.

– Jak myślisz, co tam robił?

– Pewnie rozmawiał z ludźmi. Nie wiem. Wreszcie przeszłość go dopadła.

– Panuje błędne przekonanie, że przeszłość minęła – powiedział Max. – Tak twierdzi w każdym razie profesor Henrik Thue.

– Promotor Cecilie. I, pana zdaniem, nie tylko.

– Zdecydowanie. Knut wiedział o ich związku?

– Nie wydaje mi się. Ale miał oko na pana przyjaciółkę. Bibliotekarkę. Stary kolega taty ma w policji syna, który przez jakiś czas zajmował się sprawą Cecilie Wiborg. W ten sposób tata dowiedział się o kobiecie, która twierdziła, że zaginięcie ma związek z nocą świętojańską i dawnymi obrzędami w Eidsborgu. Tata zrozumiał, że ona albo wie o czymś, czego nie wiedzą inni, albo jest po prostu bystrą babką, która potrafi łączyć fakty. Uważał w każdym razie, że trzeba ją obserwować. Zobaczyć, czym się zajmuje. Z kim się spotyka i tak dalej. To było moje zadanie. Nie wiedziałem przecież, jak się nazywa ani gdzie mieszka, tylko że pracuje w uczelnianej bibliotece. Poszedłem tam więc i zapytałem, czy któryś z pracowników specjalizuje się w kryminałach. Założyłem, że ktoś, kto wysnuł taką teorię, lubi też pewnie czytać kryminały. Zadziałało. Kobieta za biurkiem przyprowadziła Tirill Vesterli. Nie musiałem długo z nią rozmawiać, aby wiedzieć, że znalazłem właściwą osobę. Później wystarczyło już tylko śledzić ją aż do domu.

– Dlaczego przestałeś ją obserwować?

– Bo nie przynosiło to rezultatów. Babka wiecie nieprawdopodobnie nudne życie. Cały czas praca i dzieciak. Raz tylko pojechała gdzieś z przyjaciółką i wróciła tak zalana, że pół nocy szukała dziurki od klucza.

Max spróbował wyobrazić sobie Tirill Vesterli w stanie nietrzeźwym.

Doszedł do wniosku, że na pewno jest wtedy bardzo głośna.

ROZDZIAŁ 31

OTWORZYŁ OKNO i wpuścił noc do małego hotelowego pokoju. Pachniała słodko, kwiatowo, i przywoływała skojarzenia z szyją Ann.

Z jej miękkością. Pulsem.

– Czy w ogóle dopuszczasz myśl, że twój ojciec mógł popełnić samobójstwo? – zapytał, zwrócony plecami do pokoju.

– Możliwe, że miał takie skłonności. Był nerwowy i okresowo cierpiał na depresję. Gdyby do tego doszło kilka lat temu, może zaakceptowałbym takie wyjaśnienie. Ale nie po sprawie Cecilie. Ona tchnęła w niego nowe życie.

Max odwrócił się do chłopaka.

– Po pogrzebie... Czy to ty stałeś tamtego wieczoru pod blokiem Tirill?

– Tak. Zdziwiło mnie po prostu, że pan się zjawił. Rozważałem, czy może macie z sobą coś wspólnego.

Przez chwilę Tycho Abrahamsen wydawał się przyglądać badawczo noskom własnych butów, po czym spojrział na Maksa Fjellangera.

– Dobrze znał pan tatę?

W tym momencie Max zauważył w młodym człowieku coś jakby pustkę. Może otchłań tęsknoty za kimś, kogo syn nigdy nie znał – Knutem Abrahamsenem, z którym Max przyjaźnił się w latach osiemdziesiątych. Przed pogłoskami i depresją.

Max usiadł.

– Byliśmy młodzi – zaczął. – Niewiele starsi od ciebie. Zналиśmy się ze szkoły policyjnej i wylądowaliśmy na tym samym posterunku w zachodnim Telemarku. Polowaliśmy, chodziliśmy na ryby i długie piesze wędrówki, z noclegami pod namiotem. Różniliśmy się od siebie, ale bardzo go lubiłem. Zawsze dążył do celu i był... silny.

Po ostatnim słowie syn – skulony, podobny do nastolatka – wydał niemal bezgłośny dźwięk.

– Zupełnie inny niż ja – ciągnął Max. – Moja rodzina spodziewała się, że zrobię karierę w wojsku. Ojciec był oficerem. Kiedy nic z tego nie wyszło, policja okazała się akceptowalnym drugim wyborem. Ukończyłem zarówno szkołę policyjną, jak i oficerską. Synek tatusia.

Tycho znów wydał dźwięk. Trudno było określić, czy śmieje się, czy płacze.

– Odkąd tylko byłem w stanie samodzielnie myśleć, gardziłem tym, w jaki sposób to wszystko znosił – odezwał się chłopak. – Dla mnie był uosobieniem słabości. To jego nerwowe palenie. Opuszczone ramiona. A zwłaszcza niechęć, żeby cokolwiek z tym zrobić. Ale po zaginięciu Cecilie Wiborg... – Wciągnął powietrze i wypuścił je z drzeniem. – Teraz zastanawiam się, czy to, co miałem za słabość, tak naprawdę nie było siłą.

– Nie lekceważ tego – powiedział Max. – Mój własny ojciec, choć z pozoru twardziel, był słabym człowiekiem. Z perspektywy czasu widzę to wyraźnie. Być może nie potrafiłby w ogóle funkcjonować poza wojskiem, gdzie szacunek wynika z belek i gwiazdek na naramiennikach. Jako dzieciak postrzegałem go jednak jako najsilniejszego na świecie. Jak mur. Tak już chyba mają często chłopaki. Dorastamy albo ze zbyt silnym, albo zbyt słabym ojcem. Czasami trudno zauważyć różnicę.

Gdzieś blisko ktoś spuścił wodę w toalecie. Poza tym w hotelu panowała całkowita cisza.

– A pan sam? – zapytał Tycho.

– Akurat tego problemu mi oszczędzono. Nie mam dzieci.

Max wstał, podszedł do okna i je zamknął.

– A więc Knut nie mówił, co robił w Dalen? Nie wspomniał żadnych nazwisk?

Tycho pokręcił przepraszająco głową.

– Pamiętam tylko, że mówił o spotkaniu z ludźmi, których zatrzymał „w twardych czasach”, jak to określał. To wszystko.

„Tellev Sustugu” – pomyślał Max.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

– Dowiedzieć się, kto zabił tatę.

– W niedalekiej przyszłości będę potrzebował pomocy. Czy zdołasz utrzymać się w ryzach jeszcze przez kilka dni? To ważne, żebyś nie dał się porwać emocjom. Wiem, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale jeżeli mamy znaleźć zabójcę albo zabójców Knuta, musisz pozostać w cieniu. Na razie. Czy mogę liczyć na twoją pomoc, kiedy nadejdzie właściwy moment?

Młody człowiek skinął z powagą głową.

Max przypuszczał, że nie będą potrzebować wsparcia Tychona, ale nie chciał, żeby w tej sytuacji dodatkowo w pojedynkę kręcił się żądny zemsty dzieciak. Sprawa była już wystarczająco skomplikowana.

– Pojedź może do domu, do matki. Potrzebuje cię.

– Na pewno ma pan rację. Ale najpierw powinien pan dowiedzieć się czegoś jeszcze.

Wziął głęboki wdech, jakby to, co zamierzał powiedzieć, wymagało wyjątkowej ilości tlenu.

Max usiadł na krawędzi łóżka, naprzeciwko Tychona. Prawie stykali się kolanami.

– To wydarzyło się dwudziestego czwartego czerwca osiemdziesiątego piątego, dzień po ostatniej pieszej wycieczce Petera Schrama. Tata stał z komendantem na parkingu za posterunkiem w Dalen. Pana tam ponoć nie było. Byli sami. Tata zauważył, że kłapa bagażnika samochodu Hommego nie jest do końca zamknięta, a ponieważ stał bliżej, podniósł kłapę, by ją zatrzasać. Wtedy komendant rzucił się na niego z wrzaskiem. Tata powiedział, że od tamtej pory tylko raz słyszał podobny krzyk. Kiedy jakiś mały chłopiec wybiegł na drogę przed samochód. Ojciec chłopca wrzasnął wtedy dokładnie jak Homme.

Tycho pochylił się w przód, opierając się na kolanach, i spojrział na Maksa.

– Dlaczego Jørgen krzyknął?

– Tata zdążył dostrzec coś w bagażniku. Drewnianą figurę częściowo schowaną pod kocem. Przedstawiała człowieka, ale nie widział szczegółów.

– Drewnianą figurę? – zdziwił się Max. – Dlaczego komendant miałby wyjść z siebie z takiego powodu?

– Oto jest pytanie. Tata twierdził, że to musiało być coś wyjątkowego. Czasami zastanawiał się, czy to nie była rzeźba świętego z kościoła. Ale po co komendant miałby ją wozić w bagażniku?

– Powiedział, dlaczego mi o tym nie wspomniał? – zapytał Max.

– Po prostu się bał. Komendant całkiem stracił panowanie nad sobą. Kto wie, do czego mógł się posunąć. Dlatego tata nie śmiał pisać ani słowa na ten temat. Powiedział, że nigdy nikomu o tym wcześniej nie mówił.

„Może to z tego powodu komendant rozpuścił plotkę, że Knut miał coś wspólnego z zaginięciem” – pomyślał Max. – „Żeby pozbyć się go ze stanowiska w gminie Tokke. A najlepiej z policji w ogóle. Złamać go i unieszkodliwić jako świadka. Wobec tego mu się udało”.

ROZDZIAŁ 32

JEŻELI ZAPUSZCZONE MIEJSCE z zarośniętym podwórzem i zardzewiałym garażem z blachy falistej zrobiło na Tirill jakieś wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać. Czekwała pozornie wyluzowana, kiedy Max pociągnął za sznurek kołatki, a dzięcioł zastukał dziobem we framugę.

Po dłuższej chwili bezowocnego stukania chwycił klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Podeszedł do okna, przez które spodziewał się zobaczyć salon, i spróbował zajrzeć do środka. Firanki zasłonięto, jakby w obawie przed wrogim słońcem, ale Sustugu – o ile Max dobrze go znał – usiłował raczej uchronić się przed wzrokiem ciekawskich osób.

– Tellev! – zawołał. – Tu Max Fjellanger. Chcę tylko porozmawiać.

Wydawało mu się, że zauważył ruch w wąskiej szparze między firankami. Zaledwie kilka sekund później usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

– No, no, nieźle się zmieniłeś – powiedział Sustugu na widok Tirill.

Max podeszedł do nich.

– Moja przewodniczka – wyjaśnił.

Przedstawili się sobie, a Tellev Sustugu ścisnął jej rękę tak długo, aż nie zaczęło to nabierać pewnej dwuznaczności. Ale ani sekundy dłużej.

– Możemy wejść? – zapytał Max.

– Nie. – Sustugu stał w drzwiach.

– Dobrze. Zastanawiam się tylko, o czym rozmawiałeś z Knutem Abrahamsenem, kiedy tutaj był.

– Nie było go tutaj.

Już chciał zamknąć drzwi.

– W takim razie wezwę policję – oświadczył Max.

– Po co? – rzucił z pogardą, ale trochę za szybko.

– Żeby spojrzeli na broń, którą trzymasz w domu.

– Nie mam żadnej broni.

– Ale policja tego nie wie. Będą szukać wszędzie.

Dla podkreślenia, że mówi poważnie, Max wyjął komórkę i zaczął wybierać numer.

Sustugu westchnął, dając za wygraną.

Jak poprzednio siedzieli na werandzie, przy stole z laminowanym blatem, ale tym razem gospodarz nie zaproponował kawy. W sumie było im to na rękę. Chodził boso i miał na sobie znoszone dżinsy oraz T-shirt z napisem „Absolut Vodka”. Zaczesaane do tyłu, mocno czarne włosy musiały być farbowane. Max pomyślał, że wszystko to dziwnie nie pasuje do faceta przed siedemdziesiątką.

– A więc Knut cię odwiedził?

Tellev mechanicznie skręcił papierosa. Zapewne potrafiłby zrobić to nawet przez sen. Zapalił go i głęboko wciągnął dym, który po chwili wypuścił przez nos.

– Pewnego dnia po prostu się zjawił. Nie miałem pojęcia, kim jest, dopóki mi nie wyjaśnił. Ledwie gościa pamiętałem. Ale on pamiętał mnie. Oczywiście.

Znów mocno się zaciągnął i buchnął dymem, który wypełnił ciepłe letnie powietrze. Strząsnął odrobinę popiołu do kubka, którego najwyraźniej już wcześniej używał jako popielniczki.

– Czego chciał? – zapytał Max niecierpliwie.

Tirill nie wyglądała, jakby chciała włączyć się do rozmowy, co Max doceniał. Tellev Sustugu był upiorem z jego własnej przeszłości.

– Rozmawiać o Cecilie Wiborg. Na co ja nie miałem ochoty.

– Dlaczego?

Sustugu spojrział na Maksa, jakby odpowiedź była oczywista.

– Mieszkam sam i trzymam się z dala od ludzi.

„I zostałeś skazany za jeden gwałt, a oskarżony o co najmniej jeszcze jeden” – pomyślał Max. Skinął głową na znak, że rozumie.

– Kiedy to było?

– Wieczorem, zanim znaleźli go w rzece – powiedział Sustugu niemal bezgłośnie.

Max pochylił się nad porysowanym blatem.

– O której wieczorem?

– Byłem właśnie po obiedzie, więc... koło siódmej.

– Więc mogłeś być ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

– Wątpię. Raczej przedostatnią.

– Nie wierzysz, że to było samobójstwo?

Stary zbir omiół wzrokiem wioskę, którą chyba tak samo kochał, jak nienawidził, ale która na pewno nienawidziła jego.

– W takim razie musiało mu całkiem odbić po wizycie tutaj. Bo wtedy wydawał się zupełnie normalny.

– Samobójcy często tak mają – wtrąciła Tirill.

Sustugu skinął głową.

– Tak, wiem, ale ten facet był czymś strasznie zaaferowany. Jakby opętany. Zawzięty.

– I tym „czymś” było zaginięcie Cecilie Wiborg? – zapytał Max.

– Noo... – Zawahał się.

– Nie?

– Tak, ale... Było coś jeszcze, jestem pewien. O czym nie mówił. Gadał ciągle o jakiejś sprawie zaginięcia sprzed lat. Tego gościa z Oslo. Schram mu było, no nie? Chyba uważał, że te sprawy są z sobą powiązane. Ale to niemożliwe. Cecilie Wiborg zniknęła przecież w Bø i pewnie z trzydzieści lat później.

Max nie zamierzał zdradzać mu, że zdaniem Henrika Thuego Cecilie zaginęła w Eidsborgu.

– Wiesz coś o tej sprawie? – drążył. – Petera Schrama.

– Zero. W niczym nie mogłem mu pomóc. Powiedziałem już wszystko, co wiem o Abrahamsenie. Był tutaj koło siódmej tego wieczoru, zanim znaleźli go nieżywego, a ja nie wierzę ani trochę w to, że się zabił. Ale zapomnij, żebym pisał chociaż słówko przed sądem, jeżeli to o tym myślisz.

– A dlaczego? Nadal obawiasz się ducha Jørgena Hommego?

Sustugu popatrzył z powagą na Maksa, jak gdyby ten zazartował sobie z jakiejś groźnej świętości.

– Nie – odezwał się w końcu. – Chcę mieć po prostu jak najmniej do czynienia z policją i sądami. Można powiedzieć, że swoją dawkę już w życiu przyjąłem.

Max podejrzewał, że coś jeszcze zataił. Taki szelma jak Sustugu nie odkrywa wszystkich kart, zanim się go do tego nie zmusi.

– Nie wierzę ci – powiedział, znów wyjmując telefon. – Numer na policję, Tirill?

– Zero dwa osiemset.

Max wybrał numer, a kiedy odezwał się sygnał, uniósł komórkę tak, żeby Sustugu też słyszał. Niedługo później w słuchawce rozległ się kobiecy głos. Max przyłożył telefon do ucha i powiedział:

– Chciałbym zgłosić przestępstwo...

Sustugu oderwał mu rękę z komórką od twarzy.

– Rozłącz się! – warknął zachrypniętym głosem palacza. – Powiem ci, co mówił.

Max przerwał połączenie.

– Tym razem wszystko – podkreślił. – W razie jakichkolwiek wątpliwości od razu dzwonię na policję. Dokładnie wiem, co powiedzieć, żeby zagwarantować ci szczegółowe przeszukanie domu. I osobiście dopilnuję, żebyś nie sprzątnął niczego, co tam trzymasz.

Tellew Sustugu nie wydawał się uradowany tą myślą.

– Wyjeżdżając stąd, powiedział, że będzie rozmawiać z jego synem. Tak właśnie powiedział: „Teraz będę rozmawiać z jego synem”.

– Czyim synem?

– Pewnie Jørgena Hommego.

– Jasny gwint... – szepnęła Tirill.

Sustugu zgasił papierosa w pustym kubku i wstał. Bez słowa pożegnania wszedł do domu. Na do widzenia usłyszeli jedynie zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

ROZDZIAŁ 33

PRZEJEŹDZAJĄC PRZEZ PODWÓRZE gospodarstwa Homme, nie widzieli śladu obecności komendanta. Pewnie był w pracy. Nie zamierzali z nim rozmawiać. Bo co mieliby powiedzieć? Że wiedzą, że Knut Abrahamsen wybierał się do niego zaledwie parę godzin przed tym, jak odnaleziono go martwego? Komendant i tak wszystkiemu by zaprzeczył. Tylko odsłoniłiby swoją najsilniejszą kartę. W innych okolicznościach Max raczej nie polegałby na karcie otrzymanej od Tellewa Sustugu, ale żywił przeświadczenie, że jego strach – przed przeszukaniem domu i przed komendantem, tym żywym i tym umarłym – był szczery. Dlatego Max nie wierzył, że Tellev wmieszałby Jona Hommego w zmyśloną historię. Lęk przed rewizją musiał przewyższać ten przed komendantem. Ciekawe, co też ten stary oprych tam chował.

Na podwórzu w Tveit zatrzymali się i wysiedli z auta. Panowała tam całkowita cisza, przerywana jedynie odgłosami jaskółek przelatujących z dużą prędkością przez otwarte drzwi stodoły. Podeszli do domu i nacisnęli dzwonek. Kilka razy, bez odpowiedzi. W pewnym momencie syn Johannes Lioma, Lars, przejechał obok czerwonym pikapem i pozdrowił ich, podnosząc dłoń do czapki z daszkiem.

Już mieli odejść, kiedy im otwarto, a w drzwiach pojawiła się Ingebjørg Ljosland z wypiekami na twarzy.

– To wy? Jak miło. Przepraszam, że tyle to trwało. Byłam w... łazience.

Obnażyła zęby w przepraszającym uśmiechu.

W salonie w Tveit nic się nie zmieniło. Jediną różnicą było to, że nie widzieli jej męża. Ostatnio opryskiwał pole. Ale kawa i wszystkie dodatki stały na stole.

Tirill zaczęła pałaszować czekoladowe ciastko.

– Częstujcie się – zachęciła Ingebjørg.

Max z grzeczności odgryzł kawałeczek herbatnika, jak Ingebjørg poprzednio. Nie był głodny.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – odezwał się. – Może pani pamięta, że dwa tygodnie temu znaleziono w Dalen niezwywego mężczyznę?

– Tak, w rzece. Okropne...

– To był mój kolega sprzed lat, z czasów, gdy pracowałem na posterunku w gminie Tokke. Może ostatnio o tym wspomniałem? Jestem przekonany, że to jego dotyczyły plotki związane z zaginięciem Petera Schrama. Pamięta pani, miało chodzić o zazdrość.

– Dziwne – powiedziała.

– Rzeczywiście. Zastanawiam się, czy on może był u was i pytał o tamte wydarzenia.

Widział, że kobieta głęboko się zastanawia.

– Jak wyglądał? – zapytała.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Ostatnio widziałem go trzydzieści lat temu.

– A jak się nazywał?

– Knut Abrahamsen.

Z zaskoczenia rozwarła usta.

– To Knut Abrahamsen utonął? – niemal wykrzyknęła. – Nie wiedziałam nawet, że był tutaj policjantem. Mówił, że jest krewnym Petera. Chciał się dowiedzieć, co tak naprawdę się wydarzyło, kiedy zginął.

– Był tutaj?

– Jasne. Chyba w kwietniu. Trwały wiosenne prace w polu.

– Odebrał sobie życie. Jako dawny kolega z pracy i przyjaciel zastanawiam się tylko, czy mówił coś, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego to zrobił.

– Biedacek... – powiedziała współczującym tonem. – Nie, nie mówił nic takiego. Pytał głównie o stosunki Petera z miejscowymi. Kogo znał i tak dalej.

– A nie o tamte pogłoski, że sam mógł mieć z tym coś do czynienia?

– O to nie. Ale pytał o mnicha. Zdziwiło mnie, że interesuje go duch.

– Co chciał o nim wiedzieć?

– Przede wszystkim, czy Peter go widział. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia. Wypytywał też, czy duch nadal się ukazuje. I tak jest. Zaledwie rok temu ktoś twierdził, że znów widział mnicha. Co prawda turyści, ale...

– Kim tak właściwie jest ten cały mnich? – zapytała Tirill, do tej pory zajęta jedzeniem ciastek.

– To mnich z czasów katolickich, któremu nie udało się rozstać z Nikulsem. Nocą bywa widywany przed kościołem z posągiem zawiniętym w koc. Czasami również w drodze z budynku.

– Zna pani kogoś, kto go widział? – dopytywała Tirill.

– Wiele osób. Mój ojciec zobaczył go, jak wychodził z kościoła z rzeźbą pod kocem. Twierdził nawet, że słyszał zgrzyt klucza w zamku, kiedy duch zamykał drzwi. Później znalazł kogoś, kto miał swój klucz, więc weszli razem do kościoła, ale Nikuls wisiał na swoim miejscu.

Max zastanawiał się, jak często duchy zamykają za sobą drzwi. Te, które znał z literatury, ot tak przenikały przez ściany.

ROZDZIAŁ 34

BYŁ JUŻ WIECZÓR, kiedy znowu znaleźli się na głównej drodze, jadąc w stronę Bø. Nisko zawieszone słońce zalewało pagórkowaty, lesisty krajobraz miękkim światłem, które zamazywało całe doliny. Tirill pomyślała, że nie ma nic piękniejszego od Telemarku w letni wieczór.

– Co sądzisz o tym duchu? – chciał wiedzieć Fjellanger.

– Ee... To tylko stara historia.

– Dziwne, że owija posąg. Skąd w takim razie wiadomo, że to Nikuls?

Tirill już miała odpowiedzieć, kiedy zwróciła uwagę na pewną woń, która unosiła się w samochodzie już od pewnego czasu.

Pociągnęła nosem.

– Co jest? – zapytał Fjellanger.

– Też czujesz ten zapach?

Oboje pociągnęli nosami i po chwili Max skinął głową.

– Czuć jakby z tylnego siedzenia – powiedziała Tirill i się odwróciła.

Obraz, który ukazał się jej oczom, napełnił ją lodowatym przerażeniem i całkowicie sparaliżował.

– Widzisz coś? – zapytał Max, ale ona nie potrafiła odpowiedzieć ani się ruszyć.

Nie zdołała nawet krzyknąć.

Na tylnym siedzeniu leżała odcięta głowa. Jedno oko było na pół otwarte, pokryte lodem, a wywinięta górna warga odsłaniała zęby. Do czoła przymocowano kawałek papieru z czerwonym napisem. Ten widok w połączeniu ze zmysłem powonienia, przywołał wspomnienie z dzieciństwa Tirill – produkcję domowych świątecznych wędlin – i spowodował skurcze przełyku oraz żołądka. Zrozpaczona próbowała odwrócić się do drzwi, ale rozbryzg wymiocin zdążył musnąć głowę Maksa Fjellangera, po czym z impetem trafił w przednią szybę.

Max wrzasnął przerażony, robiąc unik.

Tirill wreszcie odzyskała głos.

– ŚWIŃSKI ŁEB! PIEPRZONY ŚWIŃSKI ŁEB! ŚWIŃSKI ŁEB, ŚWIŃSKI ŁEB! – zawyła.

ROZDZIAŁ 35

PRZED NIMI stała smołowana drewniana chatka z krzakami malin na darniowym dachu. Max pomyślał, że jest idealnie usytuowana. Na zboczu Lifjell, zaledwie pięćdziesiąt metrów od krętej drogi, ale schowana, z widokiem na południe, na Norsjø i sady w wioskach gminy Sauherad. To Tirill zdecydowała, że muszą znaleźć kryjówkę. Chatka należała do rodziny znajomych, a właściciele mieli przyjechać tu dopiero na Boże Narodzenie. Nie musieli też za nią płacić.

Wypakowawszy swoje rzeczy, odszukali dwa leżaki i stolik, po czym usiedli na podwórku przed chatką. Białe motyle furkotały nad pokrzywami pod ścianą. Max włożył czapkę z daszkiem z napisem „Florida”, a Tirill wielki słomkowy kapelusz.

– Na twoim miejscu bym się teraz wycofał – powiedział. – Sam nie mam rodziny...

– Ale nie jesteś na moim miejscu – ucięła.

– Powinnaś pomyśleć o swoim synu.

Chwyliła go za rękę z siłą, o jaką jej nie podejrzewał.

– Ani słowa o moim synu! – syknęła.

– Okej.

– Zawsze o nim myślę. – Zmniejszyła nieco uścisk. – Magnus ma też oczywiście ojca. Na ramieniu ma wytatuowane „Live free or die” i mieszka u swojej matki. Magnus będzie pamiętał to, co ja robię. Może nieświadomie, ale zawsze. Za dwadzieścia lat. Za sześćdziesiąt. To ja go kształtuję. Czy mi się to podoba, czy nie.

Puściła jego rękę.

– Nie chcę tylko, żeby zachował w pamięci kłamstwo – powiedziała. – Dlatego nie ma mowy, nie wycofam się. Rozumiesz?

– Całkowicie – odpowiedział Max i skinął głową.

Nie rozumiał. W każdym razie nie całkowicie. Ale pojął, że nie zdoła jej przekonać. Jego wzrok spoczął na odległej, błękitnej tafli Norsjø. Dobrze byłoby się wykapać. Nago, samemu. Obawiał się, że nabawi się klaustrofobii, mieszkając z Tirill w maleńkiej chatce. „Jak długo?” – pomyślał.

Aż to się skończy.

Z portfela wyjął karteczkę, którą przymocowano gwoździem do czoła świni. Krótka wiadomość wypisana czerwonym mazakiem brzmiała: LĘKAJCIE SIĘ PANA! Pośrodku widniała dziura po gwoździu, który wbito w kość czołową świni tak głęboko, że Maksowi nie udało się go wyjąć, więc zostawili go tam i pozbyli się razem z łbem.

– Dlaczego mamy lękać się Pana? – zapytał.

– Bo tak mówi Biblia?

– A ty się go boisz?

– Ja niczego się nie boję – powiedziała Tirill. Rozpięła jeszcze jeden guzik bluzki i odgoniła kilka natrętnych much. – Może z wyjątkiem odciętych świńskich łbów, które łypią na mnie z tylnego siedzenia.

– Wierzysz w Boga?

– Wierzę, że istnieje coś niewidzialnego – odparła. – Pewnie jest też tego całkiem dużo. Może więcej niż tego, co widzimy.

Max prychnął cicho, nie pozwalając rozwinąć się teologicznej dyskusji.

– Kto mógł to zrobić? – zastanawiała się na głos.

– Gospodarza nie było widać...

– Mijał nas syn Johanna Lioma.

– Z drugiej strony każdy mógł wyjść zza stodoły i niezauważony podrzucić łeb do auta – rozumował Max. – Sprawca byłby widoczny może przez pół minuty.

– A czy nie mogła to być kobieta?

– Szczerze mówiąc, ten gwóźdź w odrąbanym świńskim łbie i słowa „Lękajcie się Pana”... Równie dobrze mogliśmy znaleźć odcisk buta numer czterdzieści sześć – powiedział Max.

– Ale dlaczego akurat świńskie głowy? Najpierw ta mała z plastiku, a teraz ta? I dlaczego odwołanie do Biblii?

– Bo chodzi o kościół? – zgadywał. – Nikulsa?

Oboje z rezygnacją pokręcili głowami.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, kiedy odkryliśmy łeb? – zapytał.

– O duchu. Według Ingebjørg zawsze widuje się go z posągiem owiniętym w koc. Nie wydaje ci się to dziwne?

Wzruszyła ramionami.

– Duchy są dziwne z natury. No nie?

– Ale pamiętasz, co mówiłem? Co Knut zobaczył w bagażniku komendanta?

– Drewnianą figurę...

– Częściowo schowaną pod kocem. To było dzień po zaginięciu Petera Schrama. Dzień po nocy świętojańskiej. Drewniana figura...

Popatrzyli na siebie nawzajem, a Max wiedział, że myślą o tym samym.

– A jeśli to nie duch? – powiedział.

– W takim razie co?

Max już miał się odezwać, ale Tirill go uprzedziła.

– Kult!

– Tak! – Chwycił ją za nadgarstek, czując, że nagle wszystko nabiera sensu. – Wynoszą Nikulsa z kościoła. Właśnie to widzieli ludzie, myśląc, że mają przed sobą ducha. Dawny rytuał nadal się odbywa. Pewnie nigdy go nie zaprzestano.

– To dlatego zaginęli Cecilie Wiborg i Peter Schram – powiedziała Tirill. – Bo natrafili na ślad ich tajemnicy i musieli zostać sprzątnięci. To samo dotyczy też pewnie Knuta Abrahamsena.

Max zdjął czapkę i przeczesał palcami szpakowate, przepocone włosy, po czym znów włożył nakrycie głowy. W myślach spróbował się zdystansować, aby świeżym okiem spojrzeć na temat ich rozmowy.

Pokręcił głową.

– Naprawdę mieliby zabijać, żeby strzec takiej tajemnicy? Przecież nie mówimy tutaj o czarnych mszach i ofiarach z dzieci, tylko o rzeźbie katolickiego świętego.

Tirill zaprotestowała.

– Pomyśl, to trwa od setek lat – powiedziała. – Do tego izolacja miejsca i cała znana już historia rytuału Nikulsa. Media miałyby używanie. Zaangażowane w sprawę osoby na pewno są tego świadome. Raczej nie pociągają ich perspektywa bycia przedstawionym światu jako banda zacofanych wieśniaków noszących drewnianą figurę dookoła stawu w nadziei na płodność i urodzaj. Poza tym tu chodzi o światopogląd. Może niewykraczający poza granice Eidsborga, ale jednak – to wizja nadal spójnego świata. W przeciwieństwie do chaosu, który spotykamy, ilekroć włączymy telewizor czy otworzymy gazetę. Opowieść powtarzana co roku – a może i częściej, kto wie – która nadaje sens życiu. Pomyśl, ile czasu ci ludzie trzymają się razem. Czy nie zabijano już z mniej ważnych powodów?

Siedzieli, patrząc przed siebie. Przez dłuższą chwilę słysząc było jedynie bzyczenie owadów oraz odgłos przelatującego wysoko nad nimi samolotu.

Tirill chrząknęła.

– Jest jeszcze coś... – zaczęła ostrożnie.

Max przeczuwał, o co jej chodzi. Sam o tym myślał, ale nie chciał nic mówić. Coś mu nie pozwalało.

ROZDZIAŁ 36

NASTĘPNEGO WIECZORU, nieco przed dziesiątą, Max spacerował ulicą Bøgata. Trzech chłopczków siedziało na ławce i piło piwo z brązowych butelek. Jeden beknął głośno, kiedy Max ich mijał. Na ulicy panował duży ruch w obu kierunkach. Dla ciężarówek, od których się roiło, Bøgata stanowiła zaledwie krótki fragment drogi krajowej numer trzydzieści sześć. Część trasy łączącej rejon Grenland i okręg Vestfold na wschodzie z okolicą Haugesund na zachodzie. Dla tutejszych dzieciaków, których auta zdobily pluszowe kostki do gry dyndające pod lusterkiem, odcinek między rondem a gimnazjum stanowił zamknięty obieg, gdzie toczyło się życie w całej swej złożoności.

Maksowi nie podobało się w Bø. Miejscowość była mała i klaustrofobiczna; wyglądała, jakby przypadkiem wypadła Bogu z kieszeni.

Zadzwoił do niej i zapytał, czy mógłby przyjść w odwiedziny. Åse powiedziała, że Henrik przebywa w Oslo na seminarium, a on będzie milej widziany, niż może przypuszczać. Wiadomość brzmiała tajemniczo, ale Max miał nadzieję, że oznacza to, co myśli.

Przez ostatnie lata przed chorobą Ann sypiali z sobą średnio raz w miesiącu. Później mieli pilniejsze sprawy na głowie, więc o seksie zapomnieli zupełnie. Niedługo po jej śmierci zdał sobie sprawę, że zwyczajnie stracił zainteresowanie kobietami. Zatracił gdzieś to typowo męskie, pełne podziwu, a zarazem pożądlive spojrzenie na kobiety. Nie żeby mu go brakowało. Zarejestrował po prostu z pewnym zdziwieniem, że zainteresowanie zniknęło, a spojrzenie, które mu zostało, jest całkiem zwyczajne. Wkroczył w jednowymiarowy świat, w którym jednak dało się żyć.

Åse Enger Thue przywróciła mu dawny wzrok. Jednocześnie miał pełną świadomość, że kobieta może być zamieszana w sprawę, którą się zajmował. Co wypomniała mu również Tirill. Powiedziała prosto z mostu, że ma trzymać się od profesorowej z daleka.

W ogrodzie zobaczył ją odwróconą plecami. Ustawiała coś na stoliku, przy którym siedzieli już dwa razy. Miała na sobie ciemną spódniczkę do kolan i białą bluzkę z krótkim rękawkiem.

– Dzień dobry – odezwał się ostrożnie, ale nie dość.

– Boże drogi! – wykrzyknęła z ręką na piersi. – Ale mnie przestraszyłeś!

Wtedy w jej oczach pojawiło się coś nowego.

– Dobrze, że przyszedłeś – dodała z uśmiechem.

Max zbliżył się do Åse. Na stole stała butelka białego wina i dwa kieliszki. Winogrona i krakersy.

Trochę sera.

– Nie jest ci zimno? – zapytał, wskazując głową na jej bose stopy.

W trawie pojawiły się już pierwsze krople wieczornej rosy.

– Jeszcze nie. – Uśmiechnęła się. – Siadaj.

Gdy nalewała wina, zauważył, że butelka jest tylko do połowy pełna.

– Na pewno masz mnie za wariatkę – odezwała się po toście i kęsie jedzenia.

– To znaczy?

– Bo powiedziałam, że jesteś milej widziany, niż możesz przypuszczać. Chodzi po prostu o to...

Chcę, żebyś był mój.

Cokolwiek teraz by zrobił czy powiedział, tylko zepsułby nastrój. Siedział więc w milczeniu i patrzył na fontannę, gdzie woda cały czas tryskała niedużym strumieniem w górę. Delfiny i kałamarnice wiły się ze starożytnym wdziękiem dookoła murku. Ostróżki stały tak samo wysokie i niebieskie jak ostatnio.

Max przełknął ślinę i spojrzał na Åse. W jej wzroku było coś między prośbą a rozkazem. Wtedy podniósł lewą rękę i rozłożył palce.

Gdy uświadomiła sobie, co zrobił, chwyciła jego dłoń i położyła ją sobie na kolanach. Delikatnie przesunęła opuszką po bruździe na jego palcu serdecznym, w miejscu po obrączce. Wąski pasek odróżniał się białą na tle opalonej skóry.

– Tak wygląda dwadzieścia pięć lat – powiedział zachrypniętym głosem.

Doszli jedynie do salonu. Leżała na kanapie z nogami podciągniętymi pod siebie i plecami

wygiętymi w ostry łuk, a on brał ją od tyłu.

– O kurde! O kurde! O kurde! O kurde! – krzyczała w poduszkę. Niedługo później dotarł niebezpiecznie blisko końca. Wysiłkiem woli zdołał się zatrzymać i stał z prawie całym członkiem na zewnątrz, w środku została jedynie żołądź.

Åse przerwała potok przekleństw. Zdawała się nasłuchiwać całym ciałem.

– Co jest? – szepnęła.

– Nie chcę... jeszcze – jęknął przez zaciśnięte zęby.

Delikatnie się poruszyła, przez co nieomal doszedł, ale zdołał się opanować.

– Nie, nie, leż spokojnie. Jeżeli się ruszysz, dojdę.

Przekręciła głowę, dzięki czemu widział jej twarz z profilu. Połowa uśmiechu zdradzała rozmarzenie, ale i coś jakby triumf. Powoli zaczęła przesuwać ciało w tył. Po kilka milimetrów naraz. Nadziewała się na niego, niemal tak samo ciasno jak zdjęta obrączka, którą zwykł nosić na palcu. Chciał zaprotestować, żeby zatrzymać moment, lecz nie wydobył z siebie słowa. Przez kilka ostatnich sekund kręciło mu się w głowie.

I upadł.

ROZDZIAŁ 37

ZA OTWARTYM OKNEM SYPIALNI śpiewał ptak. Obok z rozwartymi ustami spała Åse. Wyglądała młodziej, jak gdyby sen zabrał ją z powrotem do czasów, zanim wszystko się skomplikowało. Miał ochotę ją zbudzić, ale czuł, że najpierw musi opróżnić pęcherz. To z tego powodu sam się obudził.

Włożywszy spodnie, które leżały na podłodze, wyszedł na korytarz w poszukiwaniu łazienki. Był tam raz w nocy, ale nie pamiętał, gdzie się znajdowała. Za pierwszymi drzwiami, które otworzył, znalazł schody do piwnicy. Za drugimi gabinet. Wielkie zdjęcie kościoła słupowego Eidsborg na ścianie sugerowało, że pokój należy do pana domu. Wszedł do środka, by przyrzeć się fotografii, wykonanej zimą – na dachu kościoła i drzewach leżał świeży śnieg. Brązowy od smoły budynek zdawał się emanować wewnętrznym ciepłem wśród mroźnej bieli.

Max nasłuchiwał, ale nie doszedł do niego żaden dźwięk z korytarza ani sypialni. Najciszej jak umiał wysunął górną szufladę biurka. Zawierała nowe koperty, znaczki, program imprezy o nazwie „Festiwal Telemarku” sprzed kilku lat oraz sporo innych, nieinteresujących drobiazgów.

W środkowej szufladzie znalazł zdjęcie Åse w wianku na głowie. Ewidentnie zrobione na dworze, w letni wieczór przed laty. Obok zdjęcia leżał dzwoneczek, nie większy od naparstka. Był przymocowany do pierścionka, jakby nadawał się do noszenia na palcu.

Coś mu się nie zgadzało. Rozejrzał się po pokoju i przypomniał sobie gabinet Thuego na uczelni, który nosił piętno kontroli i równowagi. Tutaj może i nie panował bałagan, ale styl się nie zgadzał.

Wtedy coś zauważył. Na krześle w kącie leżała sterta magazynów. Podniósł pierwszy z nich. „Norweskie Czasopismo Ogrodnicze”.

Niewłaściwy gabinet! Ten należał do Åse.

Wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi. Błyskawicznie odłożył magazyn, zamknął szufladę i wypadł na korytarz. Åse Enger Thue była naga, a włosy miała potargane od nocnych wybryków.

– Nie mogę znaleźć łazienki – powiedział Max.

Przyglądała mu się długo, bez wyrazu, po czym wskazała głową drzwi z serduszkami.

Po niespiesznym stosunku znowu zasnął, a gdy się obudził, patrzyła na niego, podparta na łokciu. Miał przeczucie, że leżała tak długo. Że był obserwowany, chociaż sam wołał obserwować.

– Hej – odezwał się zachrypniętym głosem.

Nie odpowiedziała.

– Wiesz, która godzina?

– Wpół do dziewiątej. Co znaczy, że muszę wstać. Jadę w odwiedziny do siostry.

Max wsunął dłoń pod jej pierś. Ważył ją w rękę.

– Nie mamy czasu – powiedziała, odsuwając go.

Westchnął, znów czując nadchodzącą erekcję.

– Coś nie tak?

– Nerwy – odparła. – Dziwisz się?

– Chodzi ci o to... co będzie dalej?

Zmartwiona skinęła głową.

– Myślałem, żeby powtarzać to tak często, jak tylko możliwe – zaproponował.

Åse usiadła na łóżku, podkurczyła nogi i objęła je rękoma. Oparła czoło o kolana i zaczęła lekko kołysać się w przód i w tył. Max nic nie mówił; nagie, zgarbione plecy przekazywały wyraźny sygnał odtrącenia.

Siedzieli tak przez kilka minut, aż wreszcie podniosła głowę.

– Gdybyś tylko wiedział... – zaczęła.

– O czym? Wczoraj powiedziałaś, że chcesz, abym był twój.

– ...jak się czuję – szepnęła. – Nie chodzi o zazdrość, bo naprawdę nie jestem zazdrosna, ale upokorzenie... Kłamstwa, w które udaję, że wierzę. Gdy zadzwoniłam do niego rok temu w świętego Jana, kłamał nie tylko o tym, że jest w domu.

Max pomyślał, że Åse przypomina niepokorną dziewczynkę, która nie chce robić tego, co jej

każą.

– O czym jeszcze kłamał?

– Że jest sam. Myślał, że skończył rozmowę, ale połączenie trwało jeszcze przez kilka sekund.

Wtedy usłyszałam kobiecy głos.

– Był z kimś?

– Mhm...

– Z Cecilie Wiborg?

– Nie wiem. Jak znam Henrika, to mogła być jakaś inna. Tak właśnie żyję. Chyba dlatego uważa mnie za głupią. Właściwie myślę, że on mną gardzi. Może i dobrze, przynajmniej to jedno nas łączy.

Max dotknął jej nagich pleców.

– Chyba nie mówisz serio – odezwał się.

– Nie?

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie było też sensu pytać. Kobieta obok niego była niewzruszona jak skała.

ROZDZIAŁ 38

TIRILL JECHAŁA SAMA na zachód wzdłuż brzegu Seljordsvannet, słuchając płyty Pera Andersa Buena Garnåsa, jednego z najlepszych norweskich muzyków ludowych. Nie przypadłaby raczej do gustu Fjellangerowi. Co prawda nigdy nie rozmawiali o muzyce. Właściwie to mógł być zagorzałym fanem folku. Próbowwała to sobie wyobrazić, ale bezskutecznie. Pewnie wolał klasykę, jeśli w ogóle interesował się muzyką. Po namyśle nie potrafiła wskazać niczego, co jej zdaniem lubił.

A nie, ewidentnie lubił Åse Enger Thue, co martwiło Tirill. Bo jak bardzo tak naprawdę ten wdowiec w średnim wieku potrafił kontrolować uczucia? I jeszcze jedno: czy on jej przypadkiem nie wykorzystywał? Kobieta była na pewno nieszczęśliwa przez swojego męża donżuana, aż tu nagle zjawia się przystojny pan w średnim wieku, prawi jej komplementy, poświęca uwagę. Może zakochała się we Fjellangerze, który z kolei wykorzystywał ją, aby dowiedzieć się jak najwięcej o Henriku Thuem. W każdym razie bardzo mu się przydała, zanim Thue przedstawił swoją wersję zdarzeń z nocy świętojańskiej ubiegłego roku. Później podejrzenia Tirill przeniosły się na Åse. Ale jak mogli mieć pewność, że Henrik mówi prawdę?

Nie mogli.

Zbliżała się do Eidsborga i Dalen. Bo to tam została przestraszona, a na przestrzeni lat zrozumiała, że strach najlepiej pokonuje się poprzez konfrontację z jego źródłem. Nie wolno uciekać. Nie wolno się chować. Przeprowadzka do chatki mogła sprawiać wrażenie ucieczki, ale nie zrobiła tego dla własnego bezpieczeństwa, tylko ze względu na Magnusa. Razem z Fjellangerem ściągnęła na siebie niebezpieczeństwo, które nie minie, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana.

Do tego czasu syn musi spędzać z nią jak najmniej czasu.

Matce powiedziała, że poznała mężczyznę i chce z nim „trochę pobyc”. Może ona mogłaby tymczasem zaopiekować się Magnusem? Rozmowa była upokarzająca, ale ostatecznie matka się zgodziła. Tirill nie mogła wyjawić jej prawdy. Wtedy matka od razu zadzwoniłaby na policję i – ta-dam! Koniec pani detektyw Vesterli.

Dojeżdżała do Eidsborga, kiedy wpadła na jedyną rzecz, którą Fjellanger naprawdę lubił.

Prawdę.

Tirill ustawiła się przed kościołem słupowym, otoczona przez japońskich turystów czekających na wstęp. Stała tam, żeby ją zobaczono. Żeby osoba albo osoby, które przestraszyły ich świńskim łbem, zauważyły, że wróciła. Że się nie boi. Chociaż w rzeczywistości się bała – gdzieś w głębi niej tkwiło ciemne ziarenko paniki, które tylko czekało, aż ktoś je podleje, aby wypuścić kwiaty.

Wypatrzyła kilka kamer monitoringu. Naturalny widok w takim miejscu. „Ciekawe, czy duchy da się zobaczyć na filmie” – pomyślała. Nawet jeśli, to nikt nie oglądał tych nagrań, chyba że wydarzyłoby się coś wyjątkowego, jak podpalenie czy włamanie. Wtedy policja analizowałaby zapisy z danego odcinka czasu. Normalnie materiał na pewno usuwało się bez oglądania. Dlatego nikt nie wykryłby ducha na filmie.

Wśród Japończyków ujrzała znajomą twarz. To pewnie pastor. Tirill rozpoznała ją ze zdjęć w gazetach z okresu sporu o rekonstrukcję rytuału Nikulsa. Kobieta przyglądała się tłumom przed swoją starą świątynią. Bo kościół słupowy w Eidsborgu był nie tylko atrakcją turystyczną, ale też działającym kościołem parafialnym.

„Nie jest to pewnie proste” – pomyślała Tirill.

Pani pastor filmowała turystów komórką. Może chciała wysłać nagranie koledze lub koleżance po fachu, żeby pokazać, jak wygląda posługa w takim miejscu.

Wtedy Tirill przypomniała sobie, że pastor była jedną z osób, z którymi Fjellanger rozmawiał podczas swojej pierwszej wizyty tutaj. Zaproponowała mu nawet prywatne zwiedzanie kościoła. „Pastorzy chyba nieczęsto robią takie rzeczy” – pomyślała. – „Więc dlaczego akurat Fjellanger?”.

Tirill podeszła do kobiety.

– To pani jest tutaj pastorem?

– Tak. – Przestała filmować.

– Jestem przyjaciółką Maksa Fjellangera.

– Ach tak, tego faceta z Ameryki?

Po sposobie wymowy „r” Tirill poznała, że kobieta nie jest z Norwegii. Pochodziła pewnie z Niemiec lub Austrii.

Przywitały się uściśnięciem ręki.

– Max nadal tu jest?

– Jeszcze nie wyjechał – odpowiedziała Tirill.

Irytowała ją fryzura Julii Bergmann. Nie dlatego, że nie pasowała do profesji pastora, ale ponieważ było w niej coś natarczywego. Jakby zawierała deklarację, że ta kobieta nie jest konserwatywną prostytutką. Tirill wiedziała, że nie powinna była tak zareagować, ale nie mogła nic na to poradzić.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała Bergmann.

Tirill się zastanowiła.

– Wierzy pani w duchy?

Pastor odczekała kilka sekund, po czym się uśmiechnęła.

– Nie, klóciłoby się to z moją chrześcijańską wiarą.

– To jak wyjaśni pani, że tyle osób widziało mnicha?

– A jak na ogół wyjaśnia się spotkania z duchami? Przypuszczam, że bujną wyobraźnią. Pani sama wierzy w takie rzeczy?

– Właściwie to jestem bardzo otwarta – powiedziała Tirill. – Ale akurat w tego ducha nie wierzę.

Julia Bergmann długo jej się przyglądała. Takie wrażenie odniosła w każdym razie Tirill.

– Dlaczego?

– Bo duchy nie zabijają.

Bergmann zaśmiała się krótko, nerwowo.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Ale Tirill uśmiechnęła się tylko i ruszyła w stronę parkingu.

ROZDZIAŁ 39

SIEDZIAŁA W MUZEALNEJ KAFEJCE przy szklance gazowanej wody mineralnej, przyglądając się innym gościom. Bawiła się medalionem wiszącym na łańcuszku na szyi i próbowała dosłyszeć, o czym rozmawiają. Nigdy nie potrafiła się przed tym powstrzymać, będąc poza domem. Zgadywała, jakie relacje łączą osoby siedzące przy danym stole. Kto jest parą, a kto rodzeństwem. Mama miała rację – była w pięćdziesięciu procentach plotkarą. Próbowwała wywęszyć, co tylko się dało, ale na szczęście nic nie przekazywała dalej.

– Czyż to nie bogini domowa we własnej osobie? – odezwał się głos za nią.

Odwróciła się i zobaczyła Johannesesa Lioma z krzywym uśmiechem i kubkiem parującej kawy w dłoni.

– Pozwoli pani?

Tirill poprosiła, by usiadł.

– Wciąż w pracy? – zapytała. Zbliżyła się szóstą.

– Tak, jeśli nie częściej.

– Co pan właściwie robi?

– Tyle dziwnych rzeczy, że nie da pani wiary – odparł, puszcżając oko.

Zapracowanie nie wpływało bynajmniej na jego energię i nastrój. A może był jednym z tych, których praca nakręca.

– Myślałem o pewnej rzeczy, o której ostatnio rozmawialiśmy – zaczął. – Zniknięcie Cecilie Wiborg i Petera Schrama w noc świętojańską musiało być tylko zbiegiem okoliczności. Czyż nie?

Jego brwi poszybowały w górę jak para ptaków.

– Trudno powiedzieć... – odparła.

Taka była prawda. Nie wiedziała, co może mówić tubylcom, dopóki nie dowie się, kto próbował ich wcześniej nastraszyć.

– Ale jest to dziwne – ciągnęła. – Cecilie musiała słyszeć o Peterze Schramie, nie sądzi pan?

– Zapewne.

– Więc nie wspomniała panu o tym?

– Nie, rozmawialiśmy tylko o faktach naukowych. Oporze wobec reformacji. Taki był temat jej pracy.

– To dlatego rytuał jest taki ciekawy? – zapytała Tirill. – Bo kultywowano go długo po tym, jak został zakazany? Mnie samą bardziej ciekawi możliwy związek z jeszcze starszym, pogańskim rytuałem.

Johannes uśmiechnął się nieco pobłaźliwie.

– Jasne, to fascynujące wyobrazić sobie, że dawno temu ludzie obchodzili Eidsborgtjorni z wizerunkiem pogańskiego bóstwa zamiast Nikulsa. Mógł to być kult płodności, może związany z tym, że wodę w stawie uważano za świętą. Spekulacje są zawsze ciekawe, ale w świetle nauki prędko kruszeją.

Tirill spostrzegła, że przy stoliku na drugim końcu lokalu siedzi Julia Bergmann. Nie zauważyła wejścia pani pastor. Bergmann odwróciła wzrok, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, ale nie było wątpliwości, że przygląda się Tirill i Johannesowi.

– Zakładam, że taka kobieta jak pani była już w kościele w Eidsborgu, ale jeżeli miałaby pani ochotę na prywatne zwiedzanie, to zamykamy za kwadrans. Mogę pani potowarzyszyć, jeśli ma pani chęć.

Nie wiedziała, czy mężczyzna się do niej zaleca, ale ponieważ on i jego syn figurowali na liście podejrzanych, którzy mogli umieścić świński łeb w samochodzie, postanowiła zachować ostrożność.

– Byłam tam kilka razy – odpowiedziała. – Ale dziękuję.

– A co pani robi za kwadrans? – zapytał z niewinnym uśmiechem.

Tirill lubiła go, ale nie dość, żeby się zakochać. Jej serce w części pozostawało niewzruszone.

– Jadę do domu, do syna.

– Ach tak... Samotna matka?

- Tak. A pan? Samotny ojciec?
 - Żona odeszła, kiedy Lars miał cztery lata. Pochodziła z miasta i uważała, że żyjemy tu w zbyt dużej izolacji. Chciała właściwie przeprowadzić się z całą rodziną, ale mnie nie da się stąd ruszyć.
 - Rzadko przyznaje się opiekę ojcom... – powiedziała Tirill.
 - Mnie też jej nie przyznano. Ale Lars zawsze spędzał u mnie dużo czasu, a kilka lat temu przeprowadził się tutaj.
 - Chyba się pan ucieszył?
 - Nie spodziewałem się innego rozwiązania. Na pewno nie chce pani prywatnej wycieczki z przewodnikiem?
- Tirill zrobiła przeproszącą minę.
- Okej. W takim razie dziękuję za towarzystwo – powiedział Johannes, wstając.
- Zaraz gdy zniknął, podeszła do niej Julia Bergmann i usiadła, nie pytając o pozwolenie. Mocno ścisnęła nadgarstek Tirill.
- Muszę z panią porozmawiać! – szepnęła.

ROZDZIAŁ 40

O WPÓŁ DO ÓSMEJ zadzwoniła do drzwi Julii Bergmann w Dalen. Pani pastor wymogła, żeby Tirill odwiedziła ją w domu, aby wysłuchać jej opowieści. Bergmann natychmiast otworzyła. Tirill odniosła wrażenie, że kobieta obserwowała podjazd. Przebrała się w sięgającą kolan letnią sukienkę w kwiatki. Było też widać, że właśnie wzięła prysznic. Fryzurę miała jednak tak samo nienaganną jak poprzednio.

– Niech pani wejdzie – powiedziała, prawie wciągając ją do środka, jakby musiały jak najszybciej się ukryć.

Dom jednorodzinny był w dobrym stanie, ale raczej w niewielkim stopniu zmienił się, odkąd go zbudowano – pewnie w latach osiemdziesiątych. Dlatego nie pasował też do wyglądu Julii Bergmann. Wręcz przeciwnie, różąco się od niej różnił.

Zapewne było to gminne mieszkanie służbowe lokalnego pastora.

– Wypije pani kieliszek wina? – zapytała.

– Nie, prowadzę.

– Ale nie będzie pani przeszkadzać, że ja się napiję?

– Oczywiście, że nie.

– Woda gazowana może być?

– Absolutnie.

Bergmann wskazała jej miejsce na kanapie, a sama wyszła do kuchni. Tirill zdziwiła się trochę, nie widząc śladu dzieci czy męża. Może pani pastor była singielką.

Sztuka na ścianach również do niej nie pasowała. Wisiały tam głównie rozmaite ryciny, ale znalazło się także kilka obrazów olejnych. Na wszystkich widniały klasyczne motywy z Telemarku. Drewniane chatki z darniowymi dachami. Mężczyzna na konnym wozie przejeżdżającym przez kamienny most. Kwieciste łąki w świetle letniego wieczoru.

„Może obrazy są na wyposażeniu mieszkania” – pomyślała Tirill.

Jeden z nich ją zaskoczył. Przedstawiał twarz, która wyglądała jak po torturach na madejowym łożu – była rozciągnięta do granic możliwości. Dzieło zdecydowanie wyróżniało się na tle pozostałych. Jednak nie to zaskoczyło Tirill. Twarz posiadała tylko jedno oko, a na głowie tkwiło coś na kształt spiczastej szarej czapki.

– Czy to... Odyn? – zapytała, gdy gospodyni wróciła z winem i wodą mineralną.

– Co? Oczywiście, że to nie Odyn. Tylko... twarz. Lekko abstrakcyjna.

Ale Tirill była pewna, że pastor się myli. A może nie chciała przyznać, że na jej ścianie wisi wizerunek pogańskiego boga?

– O czym musi pani ze mną porozmawiać? – zadała pytanie.

Julia Bergmann napełniła ich kieliszki.

– Max Fjellanger to prywatny detektyw, prawda?

– Skąd taka myśl? – odpowiedziała Tirill spokojnie.

– Wygooglowałam jego nazwisko.

– Dlaczego?

– Bo wydawał się tu nie na miejscu. Taki człowiek nie zjawia się bez szczególnego powodu. W każdym razie nie wierzę, że interesują go kościoły słupowe. Prawie nie zadawał pytań, kiedy go oprowadzałam. Wyraźnie czułam, że coś się za tym kryje. A więc to prawda?

– Skoro to pani wygooglowała, pewnie tak – oznajmiła Tirill.

Z twarzy Bergmann nie dało się wyczytać, czy uznała odpowiedź za potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Skąd go pani zna? – ciągnęła.

– To dlatego mnie pani zaprosiła? – spytała Tirill. – Żeby wypytywać o sprawy, które pani nie dotyczą?

Julia Bergmann uśmiechnęła się nerwowo.

– Przepraszam. Pytam, bo muszę wiedzieć, czy mogę pani ufać.

– Zależy, jakie ma pani zamiary – odpowiedziała Tirill.

– Chcę podzielić się swoimi podejrzeniami, których chyba pani również nabrała.

Tirill zakładała, że w jej zasięgu jest coś o potencjalnie dużej wartości. Jednocześnie musiała niezwykle uważać na swoje słowa.

– Powtórzę zatem: zależy, czym chce się pani ze mną podzielić. Ale ogólnie rzecz biorąc, absolutnie można mi ufać. Czy to wystarczy?

Pani pastor sączyła wino, przyglądając się Tirill znad kieliszka.

– Duchy nie zabijają – powiedziała i odstawiła kieliszek.

– Już to pani mówiłam. Coś jeszcze?

– Tak. Może zabija ktoś inny.

Tirill trafiła na cieńszy lód, a pod stopami miała bezdenną ciemność.

– Dość tych zagadek. Kto pani zdaniem zabija? – zapytała.

– A pani zdaniem? – drażyła pastor.

Tirill wstała poirytowana.

– Dziękuję za wodę – rzuciła. – Ale marnuje pani mój czas.

Julia Bergmann chwyciła ją za rękę.

– Proszę nie iść! – syknęła. – Boję się!

Tirill usiadła.

– Niech pani zacznie mówić, inaczej pójdę.

Pastor popatrzyła jej prosto w oczy.

– Widziałam mnicha. Rok temu, na trzy noce przed wigilią świętego Jana. Byłam w Oslo na konferencji i wróciłam do domu dopiero po północy. Przejeżdżając przez Eidsborg, miałam wrażenie, że widzę ruch na cmentarzu. Ale panowała ciemność, a ja byłam zmęczona, więc uznałam, że mi się przywidziało. Jednak po powrocie do domu, kiedy miałam iść spać, nie mogłam przestać o tym myśleć. W przypadku takiego kościoła zawsze istnieje obawa, że ktoś będzie chciał go podpalić. Sataniści, czy jak ich tam zwał. Już dawno co prawda nic takiego nie miało miejsca, ale strach chyba nigdy nie zniknie. Więc w końcu wróciłam do Eidsborga. Zaparkowałam nieopodal kościoła, a ostatni odcinek pokonałam pieszo. Muszę przyznać, że czułam się trochę głupio, bo zakładałam, że wszystko będzie w porządku. Histeryczna pastorka. Ale po dotarciu do bramy w murze otaczającym cmentarz wśród nagrobków ujrzałam postać w szacie z kapturem. Był środek lata, więc nie było całkiem ciemno. Natychmiast zrozumiałam, że to ten słynny mnich, bo niósł coś zawiniętego w koc. Szczegółów nie widziałam w kiepskim świetle, ale to mógł być Nikuls. Rozmiar się zgadzał. Z dwóch powodów jestem pewna, że mnich nie był duchem, tylko żywym człowiekiem. Po pierwsze, duchy nie istnieją. Po drugie, jeżeli nawet by istniały, to pod ich stopami nie powinny trzaskać gałęzie. Śledziłam go z daleka, aż zniknął w lesie. Sposób, w jaki sforsował mur wokół cmentarza, również nie sugerował, że miałam do czynienia z istotą eteryczną. Mnich uczynił to dosyć niezdarnie.

Julia Bergmann z drżeniem wypuściła powietrze. Tirill cały czas siedziała wyprostowana, wsłuchując się w każde słowo padające z ust pani pastor.

– Czegoś takiego właśnie się spodziewaliśmy – odezwała się.

– Pani i Max Fjellanger?

– Tak.

Kobieta pochyliła się nad stołem i ujęła jej dłoń.

– Tak pomyślałam, gdy powiedziała pani, że duchy nie zabijają. Wiedziałam, że Fjellanger jest prywatnym detektywem i przypuszczałam, że znalazł się tutaj z powodu Cecilie Wiborg. To dlatego, prawda?

– Nie mogę odpowiedzieć – ucięła Tirill, ale zorientowała się, że powiedziała już za dużo. – A co z posągiem? Chyba sprawdziła pani, czy nadal jest w kościele?

– Nie mam własnego klucza. Przechowuje go kościelny. Nie chciałam dzwonić do niego w środku nocy, żeby oznajmić, że widziałam ducha, który nie jest duchem. Ale koło ósmej rano weszłam

do środka i zastałam Nikulsa na swoim miejscu.

- Myśli pani, że ktoś wykrada rzeźbę nocą i używa jej do jakiegoś rytuału?
- Trudno stwierdzić, co innego mogłoby być wynoszone z kościoła.
- Widziała pani, jak posąg opuszczał budynek?

– Nie, ale inni widzieli. Gdy przejeżdżając, myślałam, że coś się dzieje na cmentarzu, musiał właśnie iść do kościoła. Kiedy wróciłam, zdążył wynieść posąg i zamknąć za sobą drzwi. Oczywiście sprawdziłam później, czy drzwi są zamknięte na klucz.

- Wspomniała pani o tym komuś?
- Nikomu. Za bardzo się boję.
- Czego?

– Zaledwie trzy dni później zaginęła Cecilie Wiborg. W noc świętojańską. Jak wiadomo, pisała pracę między innymi na temat rytuału związanego z Nikulsem. Dokładnie jak Peter Schram, który zaginął trzydzieści lat wcześniej. Oboje badali to samo. Nie zgadza mi się jedynie to, że Wiborg zniknęła w Bø. Ale czy można być tego pewnym? Fakt, że ostatni raz widziano ją w Bø, nie musi oznaczać, że właśnie tam jej się coś stało. Myślę, że ona była tego wieczoru w Eidsborgu. Nie mam racji?

Tirill nie odpowiedziała.

- Była tam? – powtórzyła Bergmann niecierpliwie.

Informacje na ten temat Fjellanger zdobył szantażem od Henrika Thuego, więc nie miała prawa dzielić się nimi za plecami detektywa. Dlatego dalej milczała.

- Uznam to za „tak” – stwierdziła pani pastor. – I chyba obie wiemy, dlaczego ich zabito.

– Jak pani uważa. Ja nie powiedziałam ani słowa. Ale przyznam, że dziwi mnie, dlaczego nie poszła pani na policję. Kościół jest przecież monitorowany. Policja chyba prędko wykryłaby na nagraniu wideo, że ktoś włamał się do kościoła i coś stamtąd zabrał? Wtedy nie byłaby to już głupia historia o duchach, ale czyn karalny.

Julia Bergmann się uśmiechnęła.

– Zaczęłam się już martwić, że nigdy pani o to nie zapyta – powiedziała. – Zdecydowanie poszłabym do komendanta, gdyby nie coś, o czym jeszcze nie wspomniałam. Czekałam właśnie na to pytanie. Idąc przez cmentarz, mnich zatrzymał się i ukląkł. Wyjął posąg. To znaczy, nie widziałam tego, bo mnich był odwrócony plecami do mnie, ale najwyraźniej to właśnie zrobił. Wyjął posąg i trzymał go przed sobą.

- Jak to?
- Jakby go komuś pokazywał.
- Zmarłym?

– Rodzinie Homme. W każdym razie to przy ich grobie klęczał. Jest duży, łatwo rozpoznawalny. Trzymał więc przed sobą posąg, jakby chciał im pokazać, że nadal istnieje. Rozumie więc pani, dlaczego mnie nie kusiło, żeby iść do komendanta Hommego i prosić o przejrzenie nagrań.

Za oknem trwał zwykły letni wieczór. Samochody i przyczepy kempingowe sunęły drogą. Turyści włączyli się chodnikiem parami i w grupkach. Tirill słyszała ich śmiech i radosne głosy.

- Co ma pani zamiar z tym zrobić? – zapytała.
- Nic – powiedziała Bergmann. – Nie mam odwagi.
- Myśli pani, że ja mam?
- Wy – poprawiła. – Myślę, że wy macie.
- Muszę już iść. – Tirill wstała. – Fjellanger nie wie nawet, że tu jestem.
- Nie muszę o tym wspominać, jeśli znowu go spotkam.

Na odchodnym zatrzymała się przed obrazem z rozciągniętą głową.

- To na pewno nie Odyn?

Julia Bergmann dotknęła lekko jej ramienia.

– Proszę się nie przejmować obrazem – poleciła. – Ma pani inne zmartwienia. Oczy dookoła głowy! I niech pani pamięta: trzy noce przed wigilią świętego Jana. Nie wiem dlaczego, ale właśnie wtedy go zobaczyłam.

Na schodku za drzwiami, patrząc w nisko zawieszone słońce, Tirill miała paskudne przeczucie, że popełniła błąd.

ROZDZIAŁ 41

W CHATCE nadal ładnie pachniało obiadem, który Fjellanger ugotował dla siebie. Ona sama zjadła jedynie hot doga w Seljord, w drodze do domu. Przygotowując sobie kanapkę, cały czas czuła, że Max ją obserwuje. Jednak kiedy na niego zerknęła, siedział z nosem utkwionym to w *Duchu miejsca*, to *Kościele słupowym w Eidsborgu*, książkach Henrika Thuego, które niedawno nabył.

– Czytałaś je? – zapytał, gdy zjadła.

– Tak, obie, kilka lat temu.

– Thue twierdzi, że kościół słupowy w Eidsborgu został zbudowany w miejscu pogańskiej świątyni.

– W ten sposób chciano zademonstrować zwycięstwo nad starymi bogami – powiedziała Tirill.

Było wpół do jedenastej, ale na dworze jeszcze się nie ściemniło. Szarówka zdradzała, że dzień świętego Jana już blisko.

– Muszę ci coś powiedzieć...

– Nie jestem zdziwiony – odparł Fjellanger. – Zastanawiałem się, co dzisiaj robiłaś. Dowiedziałaś się czegoś?

Wciągnęła powietrze.

– Julia Bergmann wie.

– Co wie?

Opowiedziała więc z najdrobniejszymi szczegółami o swoich przeżyciach tego wieczoru. Kiedy skończyła, w pokoiku zapadła cisza. Czekwała na reprimendę.

– To może być pułapka – stwierdził wreszcie Fjellanger. Był całkiem spokojny. – Ktoś próbuje zwabić nas tam na trzy noce przed wigilią świętego Jana.

– Myślisz, że ona może być w to zamieszana?

– Każdy może. Przecież nie wiemy nawet, co takiego się tam odbywa.

– Nie wydajesz się bardzo zły – powiedziała Tirill.

– Złość rzadko stwarza nowe możliwości. A tak całkiem szczerze, to dobrze, że zaczynasz wykazywać jakąś inicjatywę.

Tirill nie wiedziała, czy ma czuć się urażona, czy dumna. To wcześniej nie wykazywała inicjatywy? A może tylko się z nią droczył?

Postanowiła się dowiedzieć.

– W zeszłym tygodniu również wykazałam inicjatywę – oznajmiła.

Fjellanger nie odezwał się, tylko nieznacznie unióśł brwi.

– Odwiedziłam Kathrine Wiborg. Chociaż właściwie nie wynikało z tego nic wartościowego. Poza tym, że utrata jedyne dziecko... Ale to wiedziałam już przecież wcześniej.

Widziała, jak mięśnie żuchwy pulsują mu pod skórą. To wyznanie chyba mniej mu się spodobało.

– Udało ci się ją nabrać? – zapytał.

– Wmówiłam jej, że znałam Cecilie.

– Dobrze. Ale nie miała nic do powiedzenia?

– Właściwie nie.

– W porządku. Sam też nie próżnowałem. Chociaż w sumie to wręcz przeciwnie: leżałem na kocu i czytałem. Drzemałem. Coś mi się śniło. Nie zawsze trzeba robić więcej, żeby uzyskać informacje. Czasami wystarczy się wyluzować. Nagle może na przykład nadejść SMS.

Patrzył na nią wyczekująco. Tirill nienawidziła takich gier, ale nie miała wyjścia, musiała się włączyć. Poza tym podejrzewała, że Fjellanger robi to celowo – bo zdaje sobie sprawę z jej niechęci do tego typu zabaw. A więc nadal się z nią droczył.

– Od kogo? – zapytała.

– Ingebjørg Ljosland z Tveit. Jutro jadę do stolicy spotkać się z Vibeke Østbye.

– Z kim?

– Niegdyś Vibeke Schram. Dowiedziałem się, że ponownie wyszła za mąż i teraz nazywa się

Østbye. Może ma dokumenty Petera Schrama z Eidsborga. Bo chyba musiał coś pisać? A może pamięta coś ważnego. Chociaż to było tak dawno. A ty co planujesz jutro?

– Iść do pracy. Niektórzy muszą. Już pora się położyć.

Usiłując zasnąć, ciągle słyszała słowa Julii Bergmann: „I niech pani pamięta: trzy noce przed wigilią świętego Jana”.

ROZDZIAŁ 42

MAX SIEDZIAŁ w ogródku kawiarnianym na St. Olavs plass w Oslo, przy podwójnym espresso i wodzie gazowanej. Z dala od Bø, gdzie każdy zwracał na niego uwagę, ponieważ był obcy, wreszcie czuł się wyzwolony.

Większość gości miała co najmniej kilkadziesiąt lat mniej niż on. Ramiona wielu zdobiły tatuaże. W Norwegii, którą opuścił w osiemdziesiątym szóstym, tatuowali się niemal wyłącznie marynarze. Żaglowce na tle krwistoczerwonego zachodu słońca. Róże. Damskie imiona. Teraz za to można było odnieść wrażenie, że całe pokolenie – jeżeli nie dwa – postanowiło zmienić swoje ciała w galerii sztuki.

Miał to być pewnie wyraz indywidualizmu.

Max pomyślał, że czyhające na nich niebezpieczeństwo nie obowiązuje poza Telemarkiem. Im dalej od punktu wyjścia, tym mniejsze zagrożenie. Może jednak była to niedorzeczna myśl.

Jakaś kobieta zatrzymała się i wypatrywała kogoś w ogródku. Pewnie to ona. Koło pięćdziesiątki. Ciemne włosy misternie ułożone w nieco staromodną fryzurę. Bluzka i spódnica do kolan. Elegancka torebka na ramieniu.

Wcześniej wysłał jej swoje zdjęcie, więc po chwili go wypatrzyła. Zdecydowanym krokiem podeszła do stolika.

– Max Fjellanger? – zapytała.

Wstał i się przywitał.

Kiedy usiedli, podał jej wizytówkę.

– Sprawdziłam, kim pan jest – powiedziała, bez patrzenia chowając bilecik.

Następnie utkwiała w nim ciemne, badawcze spojrzenie.

– W jaki sposób prywatny detektyw z Florydy trafił do Eidsborga z roku osiemdziesiątego piątego?

– Przez inną sprawę. Pamięta pani Cecilie Wiborg, która rok temu zaginęła w Bø?

Skinęła głową.

– Cecilie pisała pracę na temat Eidsborga i kultu świętych – wyjaśnił Max. – Zaginęła w wigilię świętego Jana. Uważam za dziwne, że ona i Peter zajmowali się tym samym i oboje zniknęli w tę noc. Tak istotną dla kultu Nikulsa.

– To dlatego sądzi pan, że Petera zabito? – zapytała.

– Nie, jest coś więcej. Stary drewniany posąg, który zaobserwowano dzień później... W sumie to na sprawę Wiborg również trafiłem przez inną sprawę. Zmarł mój stary przyjaciel, więc postanowiłem polecieć do Norwegii na jego pogrzeb. To długa historia.

– Mieszkam tuż za rogiem – powiedziała.

Fortepian i duże lustro z konsolą nadawały mieszkaniu staroświecki klimat. Między roślinami na parapecie leżał czarny kot, chłonąc ciepło szkła. Gdzieś niedaleko rozbrzmiewał śmiech i dudnienie basów sprzętu stereo.

– W dziwny sposób odkrył pan, co się stało z Peterem – powiedziała, kiedy Max skończył opowiadać o wydarzeniach, które miały miejsce po jego przyjeździe do Norwegii.

– Kiedy cel zaczyna odpływać, trzeba dać się ponieść nurtowi.

Polubił ją, więc powiedział to głównie, aby jej zaimponować. Jednocześnie czuł, że coś jest w tym stwierdzeniu. Trzeba się wyciszyć, zwracać baczną uwagę nie tylko na słowa innych, ale i na to, co dzieje się w nas samych. Głosy. Obrazy. Na wpół sformułowane myśli przychodzące w momencie, gdy wszystko ma już wymazać sen. Kiedy coś zaczyna odpływać, a człowiek stoi w miejscu, można się tylko wyrócić.

Nawet jeżeli Max zdołał jej zaimponować, nie okazała tego po sobie.

– Ta drewniana figura, o której pan wspominał, którą pana kolega zobaczył w samochodzie...

Uważa pan, że to był posąg świętego?

Max skinął głową.

– I tego kolegę zabito?

Przytaknął.

– Jest pan pewien, że istnieje związek między tymi trzema... zabójstwami, jeżeli możemy je tak nazwać?

– Nie jestem, ale coraz więcej na to wskazuje.

Postanowił być z nią szczery, ponieważ mogła posiadać informacje, które pozwolą rozwiązać sprawę.

– Przez telefon powiedział pan, że jest pan blisko odkrycia, kto zabił Petera.

– Dowiem się tego w najbliższej przyszłości. Obiecuję. W zamian musi mi pani pomóc.

– Oczywiście. Gra pan może na fortepianie? – Wskazała głową na wielki czarny instrument.

– Nie ćwiczyłem od czasów lekcji w dzieciństwie.

– Szkoda. Sama nie jestem w tym dobra, dlatego lubię, gdy grają dla mnie goście. Mieszkanie budzi się wtedy do życia. Ale rzadko trafi się prawdziwy talent.

Chwilę wahała się, po czym podjęła wątek.

– Na przykład Cecilie Wiborg była niezła technicznie, za to słabo wczuwała się w muzykę.

ROZDZIAŁ 43

TIRILL Z IRYTACJĄ cisnęła w kąt szwedzki kryminał i wstała z kanapy. Nie potrafiła się skoncentrować, gdy w jej myślach był tylko Magnus. Wmawiała sobie nawet, że tęskni za jego wierzganiem o poranku, podczas ubierania. Ale nie potrafiła określić, kiedy będzie na tyle bezpiecznie, by mogła wrócić do domu.

Zaczęła pisać wiadomość do Fjellangera, żeby dowiedzieć się, jak poszło mu na spotkaniu z wdową, ale przerwała. Miał przyjechać nocnym pociągiem, który zatrzymywał się w Bø około wpół do pierwszej, a coś jej mówiło, że nie zaśnie, dopóki on nie wróci. Wtedy pogadają.

Zadzwoniła więc do matki. Okazało się, że już położyła Magnusa i nie chciała po niego pójść tylko po to, żeby Tirill mogła usłyszeć jego głos.

– Sen jest ważny – pouczała ją.

Jej nieprzyjemny ton wynikał pewnie z kłamstwa Tirill o tym, że spotkała mężczyznę, z którym chce „trochę pobyc”. Ależ teraz żałowała tego sformułowania!

– Kiedy zamierzasz skończyć...? – Urwane pytanie zawisło w powietrzu.

– Obawiam się, że może to trochę potrwać.

– No, pewnie też potrzebujesz czasu.

– Ee...

– To znaczy bliskości – poprawiła się matka.

Po upokarzającej rozmowie Tirill nasłuchiwała. Chatka położona była zaledwie pięćdziesiąt metrów od drogi, ale sądząc po ciszy, równie dobrze mogła znajdować się w dziczy Alaski.

Lubiła ciszę. W każdym razie niektóre jej odmiany. Na przykład kiedy po położeniu Magnusa mogła skulić się na kanapie i kontynuować lekturę ciekawego kryminału tam, gdzie przerwała ją wieczór wcześniej. Jeżeli nie słyszała wtedy głosów ani muzyki sąsiadów, było po prostu cudownie. Albo ten rodzaj ciszy, który uspokaja po wejściu do kościoła lub muzeum. Czy biblioteki. Ale choć pochodziła ze wsi, nie przepadała za ciszą przyrody, polegającą na nieobecności ludzi.

Chcąc się od niej wyzwolić, próbowała dalej czytać, ale myśli stale wędrowały swoimi ścieżkami. Zastanawiała się nad kontrowersjami wokół wykorzystania posągu w rekonstrukcji historycznej. Wyobrażała sobie klęczącego mnicha, który pokazywał Nikulsa zmarłym członkom rodu Homme. Przypomniła sobie jednooką twarz na obrazie pani pastor.

Drgnęła, gdy poruszona wiatrem gałąź otarła się o ścianę chatki. Sekundę później Tirill uświadomiła sobie, że wcale nie wieje. W każdym razie jeszcze niedawno nie wiało.

Zmroźona pokonała kilka kroków do drzwi i je otworzyła.

Nikogo za nimi nie było.

I było też całkiem bezwietrznie.

ROZDZIAŁ 44

– CECILIE WIBORG zadzwoniła i zapytała, czy może zerknąć na stare papiery Petera z Eidsborga, jeżeli nadal istnieją. A istniały.

Vibeke Østbye nalala do jego kubka parującej herbaty. Woń, która się zeń uniosła, nasuwała skojarzenia z sianem suszonym na długich stojakach.

– Udostępniła jej pani materiały? – zapytał.

– Spędziła tu cały wieczór, czytając i robiąc notatki.

– Ale nie wzięła nic z sobą?

– Te dokumenty mają dla mnie dużą wartość sentymentalną.

– Co pomyślała pani na wieść o jej zaginięciu? – drążył.

– Nic nie pomyślałam. – Pokręciła powoli głową z pięknie ułożoną fryzurą. – Nie śmiałam myśleć.

– Rozważała pani kontakt z policją?

– Nie wierzyli mi, kiedy zaginął Peter, więc jaki był sens rozmawiać z nimi teraz?

– W co nie wierzyli?

– Że Peter nigdy w życiu nie zgubiłby się w lesie koło gospodarstwa, gdzie spędzał lato. Spacerował tam praktycznie codziennie. Mój mąż miał wręcz absolutną orientację w terenie. Zawsze wiedział, gdzie się znajduje. Poza tym... Nie powiedzieli mi tego wprost, ale odniosłam wrażenie, że rozpatrywali samobójstwo jako możliwe uzasadnienie zaginięcia. Twierdzili, że utopił się w jakimś stawie. Przeszukano go, bez rezultatu. Oczywiście! To nie do pomyślenia, żeby Peter odebrał sobie życie. Był szczęśliwym człowiekiem. Cieszył się, że zostanie ojcem. Praca naukowa szła znakomicie. Mówił o przełomie. Po co ktoś taki miałby iść do lasu, żeby się zabić?

Vibeke Østbye spojrzała na niego z rozpaczą, która sprawiała wrażenie zupełnie świeżej, jakby chodziło o wydarzenia z zeszłego tygodnia.

– Kilka lat później ponownie wyszłam za mąż – oznajmiła.

– Stąd nazwisko Østbye?

– Nie, Østbye to moje nazwisko panińskie, do którego wróciłam po rozwodzie. Małżeństwo nie trwało zbyt długo. Nikt nie zastąpi Petera. Naprawdę myśli pan, że został zabity z powodu posągu świętego?

– Myślę, że kult Nikulsa wciąż ma się dobrze w Eidsborgu, a pani mąż to odkrył.

– Może to właśnie był ten przełom, o którym wspominał. Nie chciał nic zdradzić, twierdził jedynie, że to będzie „sensacja”. Myślałam raczej o „sensacji” w znaczeniu akademickim, ale jeżeli rzeczywiście jest tak, jak pan mówi, o sprawie byłoby głośno w gazetach. W wiadomościach telewizyjnych. Ale mimo wszystko... żeby kogoś zabić...

– Posąg Nikulsa z Eidsborga to nie byle jaka figura świętego – powiedział Max. – Świadczy o tym fakt, że czczono ją długo po reformacji. Pewne cechy kultu przypominają też jeszcze dawniejsze rytuały mające zapewnić płodność. Może jest on jedynie schrystianizowaną wersją obrzędu z czasów przedchrześcijańskich. W takim razie można powiedzieć, że w całej tej sprawie chodzi o światopogląd – zacytował Tirill.

Max widział, że kobieta akceptuje ten punkt widzenia sprawy. Była mądrym człowiekiem, potrafiła wykraczać myślami poza granice wytyczone przez innych. Zresztą zaginięcie męża musiało cały czas tkwić w niej niczym ziarno, które tylko czekało na to, by wykiełkować i stać się drzewem nowego poznania.

Czarny kot zeskoczył z parapetu na kanapę, na której siedział Max. Przeciągnął się, jak tylko koty potrafią, i spojrzał na niego, mrużąc ślepia. Kiedy Fjellanger podrapał go za uchem, zaczął głośno mruścić.

– Jak się nazywa? – zapytał.

– Kleopatra. Lubi pana.

– Z wzajemnością.

Przez chwilę oboje skupili się na kotce, która zaraz zwinęła się koło ręki Maksa i czule go ugryzła. Wraz z uśmiechem Vibeke Østbye rozwiła się sztywne atmosfera, zmniejszył się dzielący ich dystans.

– Gdy moja córka była mała, potrafiłam w nieskończoność gapić się na nią razem z przyjaciółkami. Albo z rodziną. Nagle rozmowa przestawała się liczyć. Córka już się wyprowadziła, ale kiedy mam gości, a Kleopatra przychodzi się przywitać, dzieje się dokładnie to samo. Co takiego mają w sobie dzieci i koty?

– Nie mam dzieci ani kota, więc nie wiem – powiedział Max.

– Może pozwalają nam uwolnić się od siebie samych.

– Wobec tego muszę przygarnąć kota.

Kleopatra przekreśliła się na grzbiet, pokazując lśniący czarny brzuch.

– Chce, żeby ją pan z sobą zabrał.

– Mieszkam na Florydzie.

– I tak nie wolno jej opuszczać mieszkania.

Jeszcze przez chwilę cieszyli się wolnością od siebie samych, po czym Max przyjaźnie odsunął kotkę.

– Czy Cecilie skomentowała jakoś to, co wyczytała w dokumentach Petera? – zapytał.

– Tylko ogólnie. Mówiła, że jest bardzo wdzięczna, że ogromnie jej to pomogło i tak dalej. Wydawała się opętana, dokładnie jak Peter pod koniec. Jakby też zbliżała się do przełomu.

– Czy nazwisko Henrik Thue coś pani mówi?

– Kto to? – chciała wiedzieć Vibeke.

– Jej promotor.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Odwiedzał pani męża każdego roku w Eidsborgu.

Wzruszyła ramionami.

– To było tak dawno. Kolega ze studiów?

– Nie, wtedy nastolatek. Całkiem zaabsorbowany Peterem i jego pracą. Spędzał tam sporo czasu.

– Jak mówiłam, to było dawno.

– A pani go tam odwiedzała? – dopytywał Max.

– Nie, pierwszego lata nie miałam czasu, następnego byłam w ciąży.

– A później? Była pani w Eidsborgu?

– Pojechałam tam rozmawiać z komendantem. Próbowalam wyjaśnić, że Peter nie mógł się zabić. Albo zgubić. Potraktował mnie jak dziecko. Odtąd tam nie byłam. I nigdy nie będę.

– Czegoś jeszcze pani nie powiedziałem – zaczął Max.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Nie powiedziałem, kto był w posiadaniu posągu – moim zdaniem Nikulsa – rankiem po zaginięciu pani męża.

– Kto?

– Komendant Jørgen Homme. Myślę, że był w to zamieszany.

Vibeke zasłoniła usta.

– Ten... ten...

– Skurczybyk, mówiąc wprost – uprzedził ją Max. – Teraz komendantem jest tam jego syn.

Na pięknej, dojrzałej twarzy malowała się głęboka pogarda zmieszana ze złością.

– Chwycił mnie za rękę – syknęła ze wstrętem. – Mówił, że wszystko ma sens, chociaż trudno to dostrzec. Jak jakiś... pastor! Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego tak mnie to zbrzydziło. Teraz pojmuję.

Utkwiła w nim ciemne, błagalne spojrzenie.

– Chyba pójdzie pan z tym na policję?

– Kiedy będę wiedział wystarczająco dużo. Najważniejsze, co może pani teraz uczynić, to dać mi dostęp do papierów, które widziała Cecilie. Niestety, nie mam czasu ich teraz czytać ani robić notatek. Muszę je zabrać i skopiować, a później odeślę oryginały.

Skinęła głową.

– To ważne, żeby nikomu pani o tym nie wspominała. Nawet córce.

– Oczywiście.

Kiedy Vibeke Østbye poszła po dokumenty do innego pokoju, Max rozglądał się po salonie. Miał wrażenie, że czas stanął tu w miejscu. Chociaż kobieta ponownie wyszła za mąż, a jeszcze niedawno bawiło się tutaj dziecko, w powietrzu czuć było śmierć. „Jak w muzeum” – pomyślał. – „Albo w kościele”.

ROZDZIAŁ 45

TIRILL JUŻ ZASYPIAŁA, gdy usłyszała dźwięk. Gałązki trzasnęły pod naporem czegoś, co poruszało się wolno i ostrożnie. Zaryzykowała i wstała z łóżka, po czym bezgłośnie przemieściła się w stronę aneksu kuchennego, skąd mogła niepostrzeżenie wyjrzeć na dwór zza zazdrostek. Rozróżniała obrysy drzew i krzewów oraz niewielkiej szopy na narzędzia i meble ogrodowe. Wyglądając na klęczkach przez okno, czuła strach, który wzbierał w niej niczym przyptyw.

Może przesadnie zareagowała? Może usłyszała tylko zwierzę? Jakby w odpowiedzi na to pytanie tuż przed oknem przemknęła jakaś postać i zaraz zniknęła. Człowiek. Tirill nie miała odwagi oddychać. Częścią siebie pragnęła jedynie rzucić się do drzwi i z wrzaskiem wybiec w las, najdalej jak to możliwe.

Po omacku ostrożnie grzebała w dolnej szufladzie. Po chwili znalazła to, czego szukała. Dobry, staromodny wałek do ciasta.

Żeby obcy nie zobaczył jej przez okno, zaczęła iść na czworakach w stronę drzwi. Jednym zwinnym ruchem podniosła się i przyłgnęła do ściany, najbardziej jak tylko mogła. Usiłowała wręcz się w nią wtopić. Następnie sięgnęła po klucz i z największą ostrożnością przekręciła go w zamku. Metaliczny zgrzyt było chyba słycać aż w Bø.

Długo nasłuchiwała. Żaden dźwięk nie doszedł jej od czasu, kiedy postać poruszyła się za oknem w kuchni. Mocno ściskając wałek w prawej ręce, lewą otworzyła drzwi, za którymi od razu się schowała, jak żona ze starego rysunku satyrycznego, czekająca na męża, który włóczył się gdzieś po nocy.

Nic się nie działo. Czuła jedynie chłodnawy przeciąg z otwartych drzwi. Zapach leśnego runa. Była nie mniej wystraszona niż chwilę temu, ale nie czuła się już taka mała. Uwięziona i zdana na czyjąś łaskę.

Wściekła na tego, kto próbował odebrać jej odwagę, Tirill wychynęła w noc.

Mijając róg chatki, prawie zderzyła się z człowiekiem stojącym do niej plecami. Nieznajomy odwrócił się i usiłował ją uderzyć, lecz trafił w wałek, który spadł na ziemię. Tirill próbowała wypatrzeć przedmiot, ale było zbyt ciemno. Krótka chwila nieuwagi wystarczyła jednak, żeby tamten zdążył zniknąć. Chociaż panował tak nieprzenikniony mrok, że człowiek mógł równie dobrze stać parę metrów dalej, a Tirill i tak by go nie zobaczyła.

Kobieta drżała na całym ciele ze złości i strachu, ale strach nie mógł z nią wygrać.

– Kim jesteś? – krzyknęła w las. Bez odpowiedzi.

Gdy coś usłyszała, zaczęła się odwracać, ale nie dokończyła ruchu. Walnięta w głowę, nagle znalazła się na brzuchu na ziemi, z wrzosem i liśćmi w ustach.

Nad sobą słyszała oddech tamtego. Mężczyzny. Nagle wbił jej kolano w plecy. Ręce usiłowały przedrzeć się przez jej włosy, złapać za szyję. Tirill zdała sobie sprawę, że człowiek chce ją udusić. Strach dodał jej sił. Wierzgając, zdołała się oswobodzić i przewrócić na plecy. Napastnik miał na głowie kominiarkę, co jeszcze bardziej ją wystraszyło. Gdy spróbowała ją zdjąć, przypadkiem rozdarła mu koszulę. Wszędzie posypały się guziki.

Nagle poczuła dłoń pod koszulką. Mężczyzna przesunął miseczkę jej stanika i wbił paznokcie w pierś.

– Kurwa! – wrzasnęła, ale zdołała wyrwać się z bolesnego chwytu i podnieść na kolana. Zaraz jednak dostała pięścią w oko. Fala ciepła ogarnęła jej ciało, jakby wiatr wzburzył jej krew w żyłach, i przewróciła się na trawę. Chciała uciekać, ale nie miała już sił. Po wewnętrznym podmuchu została pustka. Mężczyzna usiadł okrakiem na jej brzuchu i zaczął podciągać koszulkę. „To się zaraz stanie” – pomyślała. – „Zostanę zgwałcona”. Jego ręce odnalazły już obie piersi. Tirill desperacko macała ziemię dookoła siebie. Nagle poczuła gładki, okrągły uchwyt wałka. Bez sekundy wahania chwyciła go i z całej siły uderzyła.

ROZDZIAŁ 46

SIEDZĄCY NAJBLIŻEJ NIEGO pasażerowie pociągu byli zajęci oglądaniem filmu na komputerze albo zdążyli już zasnąć. Z uczuciem, że oto ma dostąpić wtajemniczenia poprzez wgląd w coś starego i rzadkiego, Max wydobył brązową kopertę, którą dała mu Vibeke Østbye, i wyjął z niej plik papierów. Pachniały jak książki nieotwierane od dwudziestu lat.

Od razu zrozumiał, że nie była to bynajmniej ukończona dysertacja. Słowo „fragmentaryczna” najlepiej opisywało zawartość dokumentów, które trzymał w rękach. Niektóre z nich mieściły nawet odręczne notatki, być może trudne do odcyfrowania. Poczul lekki zawód, ale przypomniał sobie, że poprzednią osobą, która czytała te papiery, była Cecilie Wiborg. A zdaniem Vibeke Østbye wydawała się później rozgorączkowana. Podobnie jak Peter przed zaginięciem. Jak gdyby oboje zbliżali się do przelomu.

W poszukiwaniu którego Max zaczął czytać.

Już po chwili natrafił na coś niespodziewanego: planowana rozprawa Petera Schrama miała dotyczyć posągu Nikulsa pojmowanego jako klasyczny przykład *genius loci*. Oczywiście było możliwe, że praca Henrika Thuego stanowiła naturalną kontynuację rozpoczętych badań jego przyjaciela oraz mentora. Mimo to Max przywołał w pamięci burzliwą batalię, o której mówiła Ingebjørg Ljosland, stoczoną przez Petera Schrama i nastoletniego Henrika Thuego. Czy istniał związek między tym epizodem a późniejszym o wiele lat doktoratem Thuego? Thue twierdził, że nie pamięta żadnej awantury, ale wyjaśnienie nie wydawało się wiarygodne. Któż nie pamiętałby ostrej scysji z przyjacielem i mentorem, na krótko przed jego tajemniczym zaginięciem?

Kiedy konduktor przypomniał mu, że następną stacją jest Bø, Max nie zdołał jeszcze znaleźć uzasadnienia, dlaczego Schram, a trzydzieści lat później Wiborg, wydawali się czymś całkiem opętani.

W chatce paliło się światło, a drzwi były otwarte.

– *Hi honey, I'm home!* – zawołał od progu, ale nikt nie odpowiedział.

Upewniwszy się, że Tirill nie śpi głębokim snem przy otwartych drzwiach wejściowych, wyjął latarkę i wrócił na dwór.

– Tirill!

Las pochłonął jego głos. Omiatał światłem latarki szare pnie drzew, ale nic nie widział. Jej samochód stał zaparkowany przy drodze, co wykluczało podejrzenie, że pojechała do Bø. W ciemności nie dało się jej szukać. Max widział jedynie kilka metrów terenu przed sobą, tyle ile oświetlała latarka. Bał się, że nagle zjawi się w świetle, martwa i zakrwawiona na leśnej ściółce.

Kto wiedział, że przebywają w chatce? Najwyżej jej matka. Może ktoś śledził Tirill po pracy aż do ich kryjówki? Oczywiście istniała taka możliwość. Tylko co się tu stało, kiedy on był w Oslo?

– Tirill! – zawołał znowu. – To ja, Max!

Minęło kilka długich sekund, aż usłyszał głos w oddali:

– Tu jestem!

Żyła!

– Gdzie? – krzyknął.

– Tutaj!

Zaczął przedzierać się przez las, raz po raz powtarzając jej imię, a ona odpowiadała „tutaj!”. Wkrótce ujrzał ją w snopie światła. Podeszła do niego z wahaniem, zakrwawiona na twarzy, z plamami krwi na koszulce. W ręku trzymała wałek, którego była gotowa w każdej chwili użyć.

– Poszedł już? – szepnęła.

– Chyba tak.

Zbliżyła się do niego i stanęła w miejscu, jakby nie wiedziała, co wypada zrobić. Nagle objęła go i załkała. Max pogłaskał ją po plecach, powtarzając, że już nie ma się czego bać.

Powoli się uspokoiła.

– Kto to był? – zapytał, oswobadzając się z uścisku.

– Nie mam pojęcia. Gdybym lepiej trafiła, już by nie żył. Ale uciekł, zanim zdążyłam zedrzeć

z niego kominiarkę.

– Krwawisz...

– To tylko draśnięcie.

Gdy wrócili do chatki, od razu zobaczył, że nad lewą brwią ma paskudną ziejącą ranę, brudną i pełną drobinek ściółki. Zaprowadził ją do łazienki, gdzie najlepiej jak umiał przemył obrażenie zwilżoną, ciepłą szmatką.

– Zawiozę cię na pogotowie.

– To w Notodden.

– Nie szkodzi. Będziesz mieć brzydką szramę, jeżeli ci tego nie zszyją.

ROZDZIAŁ 47

W POCZEKALNI zapach antyseptyku mieszał się ze świeżą nutą alkoholu, pochodzącą od mężczyzny, który spał na dwuosobowej kanapie. Zwiesił głowę, a przetłuszczone włosy zasłaniały mu oczy. Musiał być w wieku Maksa, ale na twarzy miał wypisaną historię ustawicznego opilstwa i zaniedbywania zdrowia. Poplamiony krwią bandaż na prawej ręce sprawiał wrażenie zamotanego w stanie nietrzeźwości. Pewnie całą jego rodziną były „chłopaki”. Zmęczeni życiem faceci, którzy mogli mu pomóc jedynie szybciej umrzeć.

„Niekórtzy ludzie nie potrafią unosić się na powierzchni” – pomyślał Max. – „Toną jak ółowiane ciężarki przy sieci rybackiej”. Zabandażowany człowiek był takim ciężarkiem, który jeszcze nie dotknął dna. Ale dotarł głęboko, tam gdzie nie sięga już światło dnia. Niedługo pózre go wielka ryba, która czeka na wszystkich.

Max spojrział na zegar na ścianie. Wskazówki chyba się nie ruszyły, odkąd ostatnio sprawdzał godzinę, ale nagle sekundnik odrobinę przesunął się w prawo. A więc jednak działał.

W końcu Tirill wyszła. Nad lewym okiem miała opatrunek i wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną. Pociągając nosem, skierowała się do drzwi i nawet na niego nie spojrzała.

– Chyba się nie przeziębiałaś? – zapytał w drodze na parking.

– Nie.

Znów pociągnęła nosem.

– Płaczesz?

– Nie...

– Płaczesz. Nie bój się, będziesz tak samo ładna.

– Nie o to chodzi – powiedziała.

– A o co?

– Nie podoba mi się po prostu, że zostałam napadnięta po ciemku.

– Mało komu by się to podobało – odparł Max, wsiadając do auta.

Zjechawszy stromą, wijącą się drogą ze szpitala, przecięli pas startowy i wybrali najkrótszą trasę do Bø, przez zalesiony, niemal niezamieszkaany teren Resjemheia. Pierwsze promienie światła zaczęły z trudem przedzierać się przez mrok nocy. Droga była wąska, po obu stronach otoczona gęstym lasem, poprzecinana mostami niewiele szerszymi od samochodu. Kiedyś Max czułby się na takiej trasie jak w domu, ale pół życia spędzone na płaskiej jak stół Florydzie zmieniło jego odczucia.

– Czy jest w ogóle sens dalej mieszkać w chatce? – zapytał. – Wygląda na to, że o niej wiedzą.

Tirill długo się namyślała.

– Znajduje się w bezpiecznej odległości od Magnusa – powiedziała po chwili. – Więc tam zostaniemy.

Łatwo było mu zaakceptować jej argument.

– Ile szwów ci założyli?

– Siedem.

– Ładny suwaczek.

Światło reflektorów omiało zwarte jak ściana ciemne świerki. Później kombajn zrębowy, dziwnego potwora z przeszłości na bocznej drodze i żeremie.

– Tak! – wykrzyknęła Tirill, uderzając się w udo. – Wiedziałam, że o czymś zapomniałam.

– O czym mówisz?

– Facet miał wielką bliznę na klatce piersiowej. Kiedy rozdarłam mu koszulę, poczułam ją pod palcami. Przypominała suwak.

Max wiedział, że niedawno widział taką bliznę.

– Wiesz może, czy komendant albo Johannes Liom przeszli operację serca? – ciągnęła Tirill.

Nie odpowiedział. To, czego szukał, było tak blisko: wielka blizna ciągnąca się przez całą opaloną klatkę piersiową. Żółty dom. Zardzewiały garaż z blachy falistej.

– Chyba już pora zadzwonić do Tychona Abrahamsena – oznajmił.

ROZDZIAŁ 48

JUŻ NAZAJUTRZ przed południem jechali do Dalen autem Tychona, którego nie widziała wcześniej żadna z zamieszanych w sprawę osób. Podobnie jak samego Tychona. Przyda im się teraz obca twarz. Tirill spała na tylnym siedzeniu. Nigdy nie widział jej jeszcze tak wycieńczonej, ale miała za sobą ciężką noc. Świadczył o tym opatrunek nad lewym okiem. Jeżeli faktycznie napadł ją Sustugu – a tego Max się spodziewał – dobrze przynajmniej, że nie zdołał się do niej dostać.

– Ten gość... Myśli pan, że to on zabił tatę? – zapytał Tycho już co najmniej po raz piąty.

– Jak mówiłem, nie wiemy tego. Ale najprawdopodobniej to on pokieroszował Tirill. Proszę, nie wyciągaj pochopnych wniosków.

W Eidsborgu Max schylił się i nie wystawiał głowy na wysokość szyb, dopóki nie przejechali przez wioskę. To samo zrobił w centrum Dalen.

Niedługo później zaparkowali w pobliżu podjazdu prowadzącego do domu Sustugu.

– Pamiętaj, jak się umawialiśmy – powiedział Max do Tychona. – Słyszałeś, że zna się na ludowych antykach, więc może orientuje się, gdzie się je sprzedaje. Może nabrać podejrzeń, ale ostatecznie na pewno zwycięży ciekawość.

– Napiszę, kiedy będziecie mogli przyjść – obiecał Tycho i szybko wysiadł.

Max patrzył, jak chłopak energicznym krokiem wspina się pod górkę, lekko unosząc ramiona, podobnie jak chodził jego ojciec.

Wtedy obudził Tirill.

Minął kwadrans, ale nadal nie dostali wiadomości od Tychona.

– Może powinniśmy sprawdzić? – zapytała.

Max skinął głową.

Zamknęli drzwi samochodu najciszej jak tylko mogli, po czym podbiegli pod górę, cały czas trzymając się skraju drogi, gdzie częściowo zasłaniały ich krzaki.

Stare volvo kombi nadal stało w garażu, ale tym razem widać było jego wyraźne ślady w wysokiej trawie zarastającej podwórze. Sustugu jeździł dokądś, odkąd widzieli go ostatnio.

Zatrzymali się na chwilę za wysoką stertą starych materiałów.

– Jak myślisz, co oni robią? – szepnęła Tirill, tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Może zapomniał naładować telefon.

Sam jednak w to nie wierzył.

– Może wyślemy wiadomość? Na przykład sam znak zapytania?

– Lepiej poczekać. SMS może bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

Chwilę milczał, oceniając odległość dzielącą ich kryjówkę od domu.

– Liczę do trzech – powiedział – i jak najciszej przebiegniemy przez podwórze.

Max szeptem odliczył do trzech, po czym puścili się pędem przez wysoką trawę. Na miejscu przytknął ucho do drzwi, ale ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Ostrożnie dotknął klamki i zaczął ją naciskać, milimetr po milimetrze, żeby zgrzytnięcie nie zaalarmowało Sustugu. Potem delikatnie pociągnął drzwi, ale te ani drgnęły.

– Zamknięte na klucz – szepnęła jej na ucho.

– Co teraz robimy? – zapytała.

– Może są jakieś inne.

Zakradli się za róg i szli wzdłuż poplamionej farbą drabiny wiszącej na haczykach na ścianie, aż przedostali się na tył domu. Przyciskając plecy do fasady, zbliżyli się do pomalowanych na czerwono drzwi do piwnicy. Na miejscu Max uczynił znak, że mają się zatrzymać. Nasłuchiwał długo, w skupieniu.

Następnie powtórzył operację z klamką. Tak samo powoli, jak poprzednio, i tak samo cicho. Tym razem jednak drzwi ustąpiły. Na końcu ciasnego korytarzyka ujrzał pomieszczenie, które kiedyś musiało pełnić funkcję salonu z kominkiem. W każdym razie stał tam kominek, ale pokój po sufit wypełniały rupiecie. Nie było tam okien, więc paliło się światło. Max wytrzymał słuch, licząc, że dojdą do niego odgłosy rozmowy lub ruchów z wyższej kondygnacji, ale żaden dźwięk nie przedostawał się do piwnicy.

Wolno skradali się ścieżką wytyczoną przez bałagan. Po kilku krokach Max się zatrzymał. Coś zauważył wśród poupychanych byle jak gratów. Starą broń odprzodową, na oko w idealnym stanie, ze stemplem przymocowanym pod lufą i ręcznie wykutym kurkiem w kształcie pięknej wilczej główki. Wspaniały egzemplarz. Na kolbie widniały litery z zawijasami i rok 1776. Max uświadomił sobie, że nie wszystkie zgromadzone tu przedmioty są bezwartościowe. Wśród zbieranych rupieci znajdowało się wszystko, od pożółkłych gazet i pustych fiolek po lekarstwa, po skrzynie zdobione w stylu *rosemaling* i pudełka ze srebrną biżuterią noszoną do strojów ludowych. A także mnóstwo dawnych wiejskich narzędzi i przedmiotów użytkowych, których przeznaczenia nie znał.

Max wyjął komórkę i zrobił zdjęcia kilku rzeczom.

– Nic dziwnego, że bał się wizyty policji. To złodziejskie łupy – oznajmił.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co nadałoby się na broń, a po chwili podniósł stary ciężki młotek.

Dzierżąc go, pchnął następne drzwi, za którymi zobaczył korytarz. Stamtąd schody prowadziły na górę. Cicho buczała zamrażarka, a na haczykach w gołym murze wisiły robocze ubrania.

Ruchem głowy Max zapytał, czy mają wejść po schodach, na których szczycie znajdowały się zamknięte drzwi. Tirill, już całkiem przytomna, zgodziła się bez słów. Nie podobała mu się ta sytuacja. Gdyby ktoś nagle otworzył drzwi na górze, na wąskich stromych schodach byłiby prawie bez szans.

Najostrożniej jak potrafili, następowali na stopnie, które mimo wszystko skrzypiały.

– Szybko! – szepnął, otwierając drzwi i wchodząc na korytarz.

Z uniesionym młotkiem obrócił się wokół własnej osi, gotowy na wszystko, ale w domu panowała grobowa cisza. Oprócz drzwi wejściowych w korytarzu znajdowało się jeszcze troje innych, w tym jedno przeszklone, z wielką, zdobioną ornamentami szybą. Zapewne prowadziły do salonu.

Gdy spojrział na Tirill, zrozumiał, że jest przestraszona. I słusznie. Którąkolwiek drzwi teraz by wybrali, do pokoju będą wchodzić jak baranki prowadzone na rzeź. Tellew Sustugu mógł już tam na nich czekać, uzbrojony po zęby.

Max ostrożnie otworzył przypadkowe drzwi, po czym zrobił kilka dużych kroków w przód, jednocześnie wymachując młotkiem. Znalazł się w kuchni połączonej otwartym przejściem z czymś na kształt jadalni, w której jednak chyba tylko się rozbierano. Na stole, krzesłach i kanapie wały się sterty ubrań. Dalej był salon, również pusty, ale leżał tam przewrócony fotel, a na sofie wylądowała popielniczka wraz z zawartością.

– Nie... – Tirill odezwała się cicho za jego plecami.

Gdy się odwrócił, kucała wpatrzona w plamki na podłodze.

– Krew... – szepnęła.

– Sprawdźmy najpierw pozostałe pokoje, dla pewności. Ale myślę, że opuścili dom. Co oznacza, że Sustugu przejął kontrolę nad Tychonem. W przeciwnym razie młody by się odezwał.

Prędko sprawdzili resztę pomieszczeń. W małej łazience śmierdziało. Następne drzwi prowadziły do zabałaganionej sypialni, a ostatnie były zamknięte na klucz.

Max szybko analizował sytuację. Tycho Abrahamsen mógł się znajdować w śmiertelnym niebezpieczeństwie, co oznaczało, że trzeba jak najszybciej przybyć mu na ratunek. Z drugiej strony mieli teraz jedyną szansę, aby zdemaskować Tellewa Sustugu. Żaden inny pokój nie był dotąd zamknięty. Dlaczego więc ten?

Detektyw stwierdził, że drzwi są nowoczesne i lekkie, wykonane z tworzywa sztucznego. Następnie oddał Tirill młotek, wziął rozbieg z drugiego końca korytarza i rzucił się w przód, wystawiając bark. Drzwi ustąpiły z suchym trzaskiem, a Max przywalił głową w ścianę.

ROZDZIAŁ 49

W POKOJU znajdowało się jedynie spartańskie, metalowe łóżko, przykryte pogniecionym prześcieradłem koloru zużytej gumki do mazania. Obok stała półtoralitrowa butelka po oranżadzie z odrobiną przezroczystego płynu na dnie.

– Boże drogi... – jęknęła Tirill.

Omiotła spojrzeniem zdjęcia szczelnie pokrywające wszystkie ściany. Ogromną fototapetę musiano tworzyć przez długi czas. Niektóre zdjęcia mogły mieć kilkadziesiąt lat, inne wyglądały na wycięte wczoraj. Wszystkie ukazywały nagie kobiety w uwłaczających pozach. Na zdecydowanie największym z nich – ziarnistej czarno-białej fotografii ponadmetrowej wysokości – kobieta wisiała na szubienicy. Ubrania dyndały okręcone wokół kostek, a ciało nosiło ślady przemocy. Max ani przez chwilę nie wątpił, że uwieczniono tu autentyczną egzekucję z jakiegoś zakątka świata.

Na wielu zdjęciach widniały instrumenty ginekologiczne w użyciu. Madejowe łoża. Kobiety na krzyżach. Albo wiszące na łańcuchach, jak zwierzęta czekające na rzeź.

Max chwycił butelkę i powąchał zawartość.

– Bimber...

Tirill nadal stała w młotkiem w ręku, wpatrzona w ściany.

– Teraz już nie mam wątpliwości, że to on na mnie napadł – powiedziała.

– Tak?

Bez słowa skinęła głową.

Max usłyszał odgłos samochodu gdzieś niedaleko. Wybiegł na korytarz i otworzył drzwi wejściowe. Stare kombi Sustugu na pełnym gazie wyjechało tyłem z zardzewiałego garażu. Mocno się zahuściło, po czym wylądowało w krzakach, skąd wystawała jedynie niewielka część maski.

Max rzucił się biegiem przez wysoką trawę, minął garaż i stertę materiałów, a na miejsce dotarł w momencie, gdy Tycho, z rękami w górze, przeciskał się przez drzwi od strony kierowcy. Miał zakrwawiony nos i T-shirt. Po drugiej stronie auta stał Tellev Sustugu, celując w niego z pistoletu. Obaj utknęli w gęstych brzoźowych zaroślach, więc trudno było im się poruszać wśród oplatających ich ciasno gałęzi.

Sustugu zauważył Fjellangera, który stał zaledwie kilka metrów dalej, i skierował pistolet w jego stronę.

– Ręce do góry! – warknął.

Rozkaz nie pasował do tego ładnego, letniego dnia, delikatnie pachnącego nawozem. Nie pasował też do Tellewa Sustugu. Może usiłował jedynie skopiować coś, co zobaczył w młodości w wiejskim kinie w Dalen.

– Gdzie kobieta? – zapytał.

Max nadal nie podniósł rąk. Po przepaszającym wyrazie twarzy Tychona poznał, że chłopak się wygadał.

– W domu.

– Stań obok niego – rozkazał Sustugu Tychonowi, wymachując pistoletem.

Młody człowiek posłuchał.

– Idź przodem do domu – komenderował dalej Tellev. – A ty ręce do góry, mówiłem!

Max jednak tylko szedł w jego stronę. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów.

– Będę strzelać! – zaskrzeczał Sustugu.

Detektyw chwycił pistolet, ale tamten nie chciał puścić.

– Będę strzelać! – powtórzył, lecz zabrzmiał jak tonący, który woła o pomoc.

Max nagłym ruchem wyrwał mu pistolet z ręki i oddalił się na krok.

– Nie umiemy obchodzić się z bronią? – zapytał, odbezpieczając pistolet, który cały czas był zabezpieczony. – Teraz ty pójdziesz przodem do domu, a potem sobie porządnie porozmawiamy.

Twarz Sustugu poszarzała jak jego własne prześcieradło, kiedy zobaczył Tirill przed kółkami zdjęć. Wąskie, blade wargi drżały i co chwilę łykały powietrze, jakby miał zemdleć na widok prawdziwej

kobiety w jego sekretnym pokoju.

Max szturchnął go lufą pistoletu, na co niechętnym krokiem ruszył w stronę roztrzaskanych drzwi, ale w progu zatrzymał się, jakby istniała tam nieprzekraczalna, niewidzialna ściana.

– Do środka! – rozkazał Fjellanger cicho, wbijając lufę w opalony, spocony kark.

Wreszcie Sustugu pokonał próg i wszedł do pokoju, który jeszcze do niedawna ukrywał przed światem tak samo, jak swoje groteskowe fantazje.

Tirill się odwróciła. Max był zaskoczony jej spokojem i opanowaniem – twarz kobiety nie wyrażała pogardy ani złości.

Za to Sustugu gapił się w podłogę.

– Zaczynamy? – odezwał się detektyw, szturchając go w stronę łóżka.

– Nie, nie, nie tutaj! – pisnął. – Już lepiej mnie zastrzel.

Fjellanger zerknął na Tirill, która skinęła głową.

– Okej, to w salonie – powiedział Max. Poszli tam wszyscy czworo, ze spoconym, trzęsącym się gospodarzem na czele.

Były policjant pchnął go na fotel, który nie był przewrócony, zaś Tycho podniósł drugi i usiadł na nim, w bezpiecznej odległości od Sustugu. Max sam zajął miejsce na kanapie obok Tirill, która nadal trzymała nerwy na wodzy.

– To mój pistolet – wyjaśnił Tycho z zalem w głosie. – A właściwie taty.

– Wiedz, że strzelę, zanim zdążysz wstać – ostrzegł Fjellanger. – Z tej odległości nie da się chybić.

Dzielił ich tylko stolik, a pistolet wycelowany był prosto w klatkę piersiową Tellewa.

– Wiesz, kim tak w ogóle jesteśmy?

– Prywatnymi detektywami? – odpowiedział niemal bezgłośnie.

– W moim przypadku to się zgadza. Młody, zawzięty Tycho jest synem Knuta Abrahamsena.

A to agentka śledcza Tirill Vesterli.

Tellew Sustugu miał zaschniętą ślinę w kącikach ust i ciężko sapał. Dopiero teraz Max zauważył, że w ogóle nie rusza lewą ręką, która bezwładnie zwisała. Tam pewnie trafiła go Tirill.

– A teraz powiesz nam wszystko, co chcemy wiedzieć. – Fjellanger zwrócił się znów do Sustugu.

– Jeżeli tylko nabiorę podejrzeń, że mijasz się z prawdą, sfotografujemy, co najciekawsze, a zdjęcia prześlemy policji i kilku gazetom. Będziesz sławny.

ROZDZIAŁ 50

ZAPACH KROWIEGO ŁAJNA mieszał się z aromatem kremów do opalania lekko ubranych turystów, zajętych uwiecznianiem wspaniałego letniego dnia w głębi Telemarku. Wszędzie ktoś pstrykał fotki: trollom w norweskich swetrach, budynkom z darniowymi dachami, hotelowi Dalen w ażurowe wzory, ze smoczymi głowami na końcach kalenic, miskom dekorowanym w stylu *rosemaling* w oknach wystawowych sklepów z pamiątkami. Terminale płatnicze rozgrzewały się do czerwoności, a wszyscy zgodnie twierdzili, że nic nie jest w stanie dorównać autentyzmowi.

W domu niedaleko centrum cztery osoby siedziały za ciężkimi kotarami i rozmawiały o śmierci. Knuta Abrahamsena. Petera Schrama. Cecilie Wiborg.

Tellev Sustugu twierdził, że wie jedynie o dwóch z wymienionych przez nich zdarzeń. O świńskim łbie w samochodzie i ataku na Tirill ubiegłej nocy, do którego przyznał się z opuszczonym wzrokiem.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał Max.

Mężczyzna idealnie pasował na porywacza i zabójcę Cecilie.

– Musisz! To prawda! – krzyknął.

– Po co miałbyś zostawiać świński łeb w moim aucie, jeżeli nie masz związku z resztą?

– Ktoś mnie do tego zmusił.

– Kto?

– Zadzwoił do mnie ktoś nieznajomy. Niedługo po waszym wyjeździe stąd.

– I powiedział, że masz zdobyć świński łeb, a następnie pojechać do Tveit? – zapytał Max sarkastycznie.

– Właśnie tak. W przeciwnym razie... – Utkwił wzrok w podłódze. – Pewne rzeczy ujrzą światło dzienne.

– Twój pokój pełen zdjęć torturowanych i mordowanych kobiet?

Nieznacznie pokręcił głową.

– Antyki w piwnicy?

– Powiedziano mi, żebym poszedł po świński łeb leżący w kuble na śmieci nieopodal i napisał wiadomość „Lękajcie się Pana!”. Koniecznie przez duże „P”.

– I zrobiłeś to bez dyskusji? – dopytywał detektyw.

– Tak, bo inaczej... Ale tego nie mogę powiedzieć. To jedyne, czego nie mogę powiedzieć.

Max spojrział na Tirill, tak samo zagubioną jak on.

– A co z napaścią? – chciała wiedzieć.

Po raz pierwszy odezwała się bezpośrednio do Telleva Sustugu. „Powinien się cieszyć, że nie zabiła go tym wałkiem” – pomyślał Max.

– Zadzwoił telefon. Ten sam głos powiedział o chatce w Bø, przy drodze w góry Lifjell. Wszystko mi wyjaśniono. Który zjazd i tak dalej. Miałem tam pojechać i nastraszyć mieszkańców. Najlepiej pobić kogoś, jeśli nadarzy się okazja.

Tycho pokręcił głową.

– Mało wiarygodne – stwierdził Max. – No to bierzemy się za obfotografowanie tego cuda. Zacniemy od pornografii. Później skontaktujemy się z policją i mediami.

Wstał i dał znak, żeby Sustugu uczynił to samo.

– Czekał, nie rób tego! Ja też mam rodzinę. Brata z dziećmi i wnukami. Nie chcę zniszczyć im życia. Proszę! – krzyknął błagalnym głosem.

– Najpierw musisz nam powiedzieć, dlaczego zrobiłeś to, co kazał ci głos w słuchawce – oznajmił Fjellanger.

– Czy wystarczy, że tylko ty się o tym dowiesz? – zapytał Sustugu ulegle.

Max znów spojrział na Tirill, która się zgodziła.

– Ty przodem – rozkazał, wskazując drogę pistoletem. – Do pokoju uciech.

Tellev Sustugu już nie protestował: wszedł do środka i usiadł na zarośniętym brudem

prześcieradle.

Max wyjął telefon, którym robił zdjęcia ścianom, w drugiej ręce trzymając pistolet wycelowany w Tellewa.

– Nic ci nie pomoże, jeżeli zedrzesz te bezeceństwa – oznajmił, kiedy skończył. – Wszystko jest uwiecznione. A teraz gadaj. Dlaczego zrobiłeś, jak ci kazano?

Mężczyzna schował twarz w dłoniach.

– Pieprzyłem jedną małą. Bez przemocy, była napalona jak nie wiem co... No ale cholernie młoda. Trwało to kilka lat. Babka, która zadzwoniła, twierdziła, że ma nagranie, na którym dziewczyna o wszystkim opowiada. Zagroziła, że wyśle je jej rodzinie.

Max zapomniał na chwilę o nieprzyjemnym otoczeniu.

– Babka? – powtórzył. – A więc to kobieta kazała ci to wszystko robić?

– Tak.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu?

Sustugu podniósł wzrok, który zatrzymał się na wylocie lufy.

– Bo... Nie wiem. Nie pytaliście.

– Dawno... ee, pieprzyłeś tę dziewczynę? – dociekał Max.

– Pięć lat temu.

– Może to ona dzwoniła?

– Rzuciła się w przepaść Ravnejuv. Trzysta metrów w dół. Na nagraniu mówi ponoć, że chce się zabić, właśnie przez to nasze pieprzenie, gdy była młodsza. Wierutna bzdura, ale zniszczyłoby mnie to zupełnie, gdyby wyszło na jaw. Mówię ci to tylko po to, żebyś uwierzył w moje pozostałe słowa. Zrobiłem wszystko, bo ta historia nie może ujrzeć światła dziennego.

– Nie musiałbyś o tym mówić, gdybyś od razu powiedział, że dzwoniła do ciebie kobieta. Czegoś takiego byś nie zmyślił.

Mężczyzna na krawędzi łóżka jeszcze bardziej się skulił.

– Jak myślisz, kto to był? – zapytał Max.

– Może przyjaciółka Tone. Albo jakaś panna, która zdobyła nagranie od kogoś, kto ją znał. Może w ogóle nie ma żadnego nagrania, ale tego nie mogę zaryzykować.

– Ile lat miała Tone, gdy zmarła?

Tellev Sustugu pochylił głowę, odsłaniając zbliżenie kobiecego organu płciowego rozwieranego za pomocą metalowych obręczy.

– Czternaście.

– I uprawiałeś z nią seks przez kilka lat? – drążył detektyw.

– Coś w tym stylu.

– To znaczy gwałciłeś ją?

– Nie, nie, odbiło ci?! Z początku była trochę nieśmiała, ale z czasem... Zakradałem się do jej pokoju i brałem ją kilka razy w ciągu nocy. Gdy jej rodzice pili.

Pokręcił głową na samo wspomnienie.

– Ona mnie kochała. Ojciec niezbyt dobrze ją traktował. Ale Bóg wie, co mogła nawymyślać w stanie, w którym była przed skokiem.

Zdjęcia wokół nich wyraźnie mówiły, jakim bagnem było życie uczuciowe Tellewa Sustugu. Max zastanawiał się, czy przyprowadził tu kiedyś tę dziewczynkę.

– Mówi prawdę – powiedział po powrocie do salonu, gdzie Tycho i Tirill siedzieli na swoich miejscach.

– To jakiego straszego haka na niego mają? – zapytała.

– Obiecałem, że nie powiem.

Sustugu usiadł i z drzeniem wciągnął powietrze. Fjellanger stał.

– Najciekawsze, że polecenia przez telefon wydawała mu jakaś kobieta.

Tirill wybałuszyła oczy.

– Ile mogła mieć lat? – chciała wiedzieć.

– Trudno stwierdzić. Dojrzała, ale żadne stare babsko – odparł Sustugu, nie patrząc na nią. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Max pomyślał, że musi pogadać z Åse Enger Thue.

– Co teraz robimy? – spytał Tycho.

Max popatrzył na Telleva.

– Zostawimy cię z twoimi fantazjami. Będziesz tu grzecznie siedział, z rękami na kolanach, i nic nie zrobisz, dopóki nie skontaktuje się znów z tobą ta anonimowa kobieta. Dopiero wtedy możesz sobie przypomnieć o istnieniu naszej trójki. Dasz radę?

Sustugu pokiwał głową tak gwałtownie, że czarne, farbowane włosy opadły mu na oczy, więc musiał je odsunąć.

Max uczynił znak, że będą kończyć.

Wyjął portfel i rzucił wizytówkę na stolik.

– Tu masz mój numer. Daj znać, kiedy kobieta znowu zadzwoni.

Tirill i Tycho wstali. Sustugu również się podniósł, jak gdyby byli gośćmi zaproszonymi na kawę, których, zgodnie ze zwyczajem, należało odprowadzić do drzwi.

Tirill zatrzymała się i na niego spojrzała.

– Tylko jedno zanim pójdziemy – odezwała się.

Mężczyzna utkwiał wzrok w czubkach butów.

– Jak myślisz, co tu się dzieje? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, ale to coś zbyt wielkiego jak dla mnie. I zbyt groźnego.

– Dziękuję – odpowiedziała Tirill grzecznie, po czym wbiła mu pięść w nos.

Rozległ się trzask, jakby suchej gałęzi łamanej na kolanie. Tellev Sustugu padł tyłem na stolik, który runął pod nim z łoskotem.

– Wiesz, za co to było – rzuciła.

Następnie odwróciła się i jęknęła z bólu, pocierając kłykcie prawej dłoni.

ROZDZIAŁ 51

SIEDZIAŁA NA PODŁODZE w swoim starym dziewczęcym pokoju, patrząc na śpiącego Magnusa. Ileż marzeń snuła w tym pokoju, czekając, aż zacznie się życie. Aż zrobi się poważnie. Pewnego dnia, długo po swojej wyprowadzce, zrozumiała, że już od dawna jest poważnie. Nie była to tylko powaga, o której kiedyś marzyła – jak przy pierwszym kroku akrobaty na napiętej linie nad przepaścią, cudowna, a zarazem przepelniająca strachem. Życie nie było takie.

Przyglądała się twarzyczce o miękkich rysach, która, ułożona na poduszce, zdawała się pożywiać głębokim snem. Czym będzie jego powaga, gdy pewnego dnia zda sobie z niej sprawę?

Tirill nie była zbyt sentymentalna. W każdym razie sama tak uważała. Nie łudziła się, że dzieciństwo jest czymś trwałym, i nie płakała, wyrzucając małe buciki, by zrobić miejsce nowym, większym. Ale po okropieństwach, które widziała poprzedniego dnia, czuła jednak silne pragnienie, aby Magnus zachował swoją niewinność. Świat był co prawda pełen dobrych ludzi i wielkich niespodzianek, lecz mieścił także osoby pokroju Tellewa Sustugu. I wielu jeszcze gorszych. Ci ludzie byli zaprzeczeniem elementarnej dobroci, która gościła tego wieczoru w jej starym dziewczęcym pokoju. Matczynej dobroci. Bezwarunkowego pragnienia dorosłych, by chronić dzieci.

O czym marzył Tellev, nim jego myśli wypełniła czerń? A może czerń była w nich od samego początku? Czy to w ogóle możliwe? „Nie” – pomyślała. – „Nie, nie, nie”. Nie od początku. Matka Tellewa mogła przecież siedzieć tak samo jak ona teraz, patrząc na śpiącego syna. Rozmyślając o jego przyszłości.

Pewne było jednak to, że tamten chłopiec stworzył pokój, który widziała wczoraj. Pokój ponizienia i śmierci.

Kiedy wróciła do salonu, matka oglądała powtórkę „Pułapki luksusu”.

– Ludzie są niepoważni! – narzekała.

– O co chodzi?

– Ten tutaj ma tylko dwadzieścia dwa lata, a już dwanaście razy zmieniał samochód. A jego dziewczyna pojechała z koleżankami na wycieczkę do ciepłych krajów, chociaż nie ma ani grosza na koncie. Załatwiła sobie tylko nową kartę kredytową. Oboje bez stałej pracy!

Prawie wykrzyczała swoje pretensje, jakby zachowanie bohaterów programu było winą Tirill. Po chwili uspokoiła się i ściszyła telewizor.

– Śpi? – zapytała córkę.

– W końcu.

– Przejął się nagłym przybyciem mamy.

Tirill wiedziała, że w jej słowach kryje się świadoma prowokacja, ale puściła komentarz mimo uszu. Była zbyt zmęczona na kłótnie, więc tylko usiadła na kanapie.

– Jesteś pewna, że nie chcesz zostać na noc? – dopytywała się matka.

– Tak, ale jeszcze trochę pobędę.

– Wiesz, muszę z tobą o czymś porozmawiać...

– Wiem.

Magnus od razu zapytał o „aua” mamy, ale powiedziała jedynie, że spadła z roweru. Gdyby nie chłopiec, matka już dawno by ją przesłuchała.

– Czy to ten nowo poznany mężczyzna? – zaczęła. – Bije cię?

– Myślisz, że bym na to pozwoliła?

– Nie, wydaje mi się to dziwne. W końcu to ty byłaś Asgeira, a nie na odwrót.

– To było raz. Poza tym sama wiesz, co zrobił – usprawiedliwiła się Tirill.

– Tak, ale...

– I z kim. Lene Rudningen, psiakrew!

– Już dobrze...

– Chyba był ostatnim, który jeszcze jej nie dymał.

Zszokowana matka wydała okrzyk zniesmaczenia. Chwilę obracała w rękach robótkę, ale zaraz

ją odłożyła.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytała. – Jest w ogóle jakiś mężczyzna?

– Jest mężczyzna, mamó. Mieszkamy razem w chatce rodziny Hallvarda Kilane, jak już wyjaśniałam.

Matka popatrzyła na nią sceptycznie. Zupełnie zapomniała o „Pułapce luksusu”, gdzie para młodych ludzi musiała stawić czoło własnej nieroztropności, przedstawionej całemu narodowi w postaci prostych liczb na tablicy. Chłopak uśmiechnął się zawstydzony na widok kwoty, którą rocznie wydawał na samochody.

– Ale dlaczego masz sińce na rękach? I ten bandaż? Chcę wiedzieć, co takiego wyprawiasz!

Tirill ciężko westchnęła.

– Nie mogę. Po prostu. Kiedyś wszystko ci powiem. Jest zupełnie inaczej, niż myślisz.

– Czyli jak? – burknęła matka.

– Jest... fantastycznie.

Teraz to matka westchnęła. Tirill знаła ten rodzaj westchnienia. Oznajmiał tymczasowe zakończenie rozmowy, co wcale nie oznaczało zamknięcia tematu.

Tirill podkurczyła nogi i wzięła czekoladkę z miseczki przy kanapie. Dobrze było obcować z rzeczami, które znała. Jak wzdychanie matki.

I „Pułapka luksusu”.

– Zrób trochę głośniej – powiedziała.

ROZDZIAŁ 52

NAZAJUTRZ SKSEROWAŁA w pracy papiery Petera Schrama – jeden zestaw dla siebie, a jeden dla Fjellangera.

Po czym zabrała się do lektury. Kiedy do drzwi zastukała jej koleżanka, odsunęła dokumenty i udawała, że pracuje nad czymś na komputerze. Ale gdy tylko znalazła się sama, wróciła do czytania.

Po dłuższej chwili przerwała jak rażona piorunem. Siedziała wpatrzona w karteczkę z odręczną notatką.

Witzøe pisze, że w ściółce niedaleko źródła, skąd wypływa strumień Eidsborgbekken, ma istnieć krąg, w którym nic nie chce rosnąć. Według legendy dzieje się tak, ponieważ diabeł zgubił tam swoją obrączkę. Źródło ma ponoć być „bez dna”. Znaleźć i zbadać tuż po odwilży w górnym Telemarku. To może być miejsce.

Zapisek opatrzone datą 19.12.1984.

To może być miejsce? Co miał na myśli?

Tirill nie mogła pozbyć się wrażenia, że karteczka ma związek z przełomem, o którym mówiła wdowa. Sposób sformułowania notatki wyróżniał ją jako wyjątkowo ważną.

Nagle uświadomiła sobie, że Cecilie Wiborg prawdopodobnie również przeczytała zapisek podczas swojej wizyty u Vibeke Østbye. Na pewno знаła dzieło pastora Pedera Witzøe, osiemnastowiecznego autora opisu topografii górnego Telemarku. Książkę, z której Peter Schram musiał korzystać podczas swoich badań.

Do jakich książek Cecilie sama zaglądała, przygotowując nieukończoną pracę magisterską? To mógł wiedzieć jedynie Henrik Thue. Ale jednego Tirill mogła dowiedzieć się sama, nie pytając go o nic. Mianowicie jakie książki Cecilie wypożyczała z biblioteki.

Odszukała jej konto czytelnicze i zaczęła je przeglądać. Cecilie wypożyczała wyłącznie literaturę fachową. Z zakresu historii i religii. Folklorystyki. Publikacje istotne dla pracy na temat oporu wobec reformacji, w kontekście kościoła słupowego w Eidsborgu oraz kultu Nikulsa.

Dlatego zdziwiła się na widok tytułu: *Wproch się obróci. Wprowadzenie do biologii gleby* autorstwa Lisbeth Sæthre, profesor pracującej na ich uczelni.

Czy matka Cecilie nie wspominała o jakimś biologu?

Lisbeth Sæthre była kobietą po pięćdziesiątce, która stale wyglądała, jakby właśnie poznała wielką tajemnicę. Tirill nie odwiedzała jej wcześniej w gabinecie ani nie rozmawiała z nią poza biblioteką. Taką pozycję Tirill miała na uczelni – mało kto ją znał, ale wszyscy wiedzieli, kim jest.

– Oj, co się pani stało? – wykrzyknęła Sæthre z miną, jakby mocno starała się z czegoś nie wygadać.

– Och, nic takiego. Przewróciłam się tylko na rowerze. Może mogłaby mi pani pomóc w jednej sprawie?

– Postaram się – odpowiedziała pani profesor z entuzjazmem. – Proszę siadać.

Tirill posłuchała.

– Cecilie Wiborg... Wie pani, studentka, która... – zaczęła.

Pani profesor skinęła głową.

– Wypożyczyła książkę, której nie zdążyła oddać, a której nie udało się znaleźć – skłamała. – Pytam panią, ponieważ chodzi o pani książkę, *Wproch się obróci*. Wydało mi się to dziwne, ponieważ Wiborg pisała pracę magisterską o reformacji w zachodnim Telemarku.

– W takim razie mogę wytłumaczyć powiązanie – powiedziała Sæthre. – Koniecznie chciała zbadać gdzieś glebę. I zwróciła się do mnie o pomoc. Mogłam polecić jej moją książkę, ale gdzie się podziewa, nie mam pojęcia.

– Potrzebowała pomocy przy ogródku warzywnym?

Sæthre pokręciła głową.

– Nie, chodziło o jakieś miejsce w Eidsborgu. Tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, aż ustąpiłam i z nią tam pojechałam. To była prawdziwa wyprawa. Miejsce leżało w zupełnej głuszy, a ze

mnie żadna kozica górską. Ale było warto. Nigdy nie widziałam niczego podobnego.

– Krąg w ściółce?

Zaskoczona Sæthre spojrzała na nią znad okularów.

– Skąd pani wie?

– Zgadłam – odparła Tirill i przelknęła głośno ślinę, czując, jak wzbiera w niej adrenalina.

– Okrągły pas obniżonego terenu – wyjaśniła pani profesor. – Około trzydziestu metrów średnicy, ale najwyżej pół metra szerokości. Głęboki może na dziesięć centymetrów...

– Czy w środku coś rośnie?

– Niewiele. Przypominało to rzadko używaną ścieżkę.

– Tyle że w kształcie kręgu? – szepnęła Tirill tak cicho, jakby mówiła sama do siebie.

Sæthre pokiwała energicznie głową, z miną, jakby zaraz miała pęknąć.

– Mogła powstać jedynie w wyniku wydeptania – wyjaśniła. – Może przez zwierzęta, chociaż one zazwyczaj nie chodzą w kółko.

– To samo powiedziała pani Cecilie Wiborg?

– Pobrałam próbki, ponieważ chciała, żebym przebadła glebę. Jednocześnie wyjaśniłam, że pas został zapewne wydeptany. Zareagowała... tak... – Sæthre uniosła ręce w górę, jak piłkarz tuż po strzeleniu gola. – Nie odezwała się ani słowem. Ale twarz jej pojaśniała, jakby miało to dla niej ogromne znaczenie. Gdy zapytałam, czy wszystko w porządku, powiedziała tylko, że jest przepracowana i wytracona z równowagi. Wtedy się rozpląkała.

Tirill nagle zrozumiała, że znów zbliżyła się do Cecilie, jak wtedy, gdy siedziała na kanapie w jej rodzinnym domu, rozmawiając z jej matką.

– Ale szybko wzięła się w garść – dodała Sæthre pośpiesznie. – Zrobiła mnóstwo zdjęć kręgu.

– Zdjęć? Czym?

– Komórką.

„Która oczywiście przepadła” – pomyślała Tirill.

– Jak poza tym zachowywała się podczas wyprawy?

– Dziwnie. Była podenerwowana. Jakby bujała w przestworzach.

– To znaczy? – dopytywała Tirill.

– Zdawała się unosić w powietrzu. Dużo myślałam o tym po jej zaginięciu. Ta dziewczyna miała w sobie coś dziwnego.

– Czy było tam też źródło?

– Tak! – zawołała Lisbeth Sæthre. – Prawie bym zapomniała. Cecilie miała z sobą małą wędkę podlodową. Słyszała mianowicie, że źródło nie ma dna, ale oczywiście źródła bez dna nie istnieją. Tak przynajmniej myślałam, zanim wyjęła wędkę i opuściła do wody żyłkę z ołowianym obciążnikiem. Nigdy nie zapomnę, jak na siebie patrzyłyśmy, kiedy kołowrotek kręcił się, a żyłka ciągle znikwała w toni. Zatrzymała się dopiero, gdy cała się rozwinęła. Wisiała napięta, nie dotykała dna. Cecilie twierdziła, że żyłka ma sześćdziesiąt metrów długości, a nie widzę powodu, by w to nie wierzyć.

Tirill gapiła się na nią w zdumieniu.

– Jaki może być tego powód? – zapytała. – Jak pani mówiła, źródła bez dna nie istnieją.

Lisbeth Sæthre nie wyglądała już, jakby miała zaraz pęknąć. Jej twarz przybrała za to niespokojny wyraz.

– Tak, ale wody gruntowe mogą czasami wydostawać się na powierzchnię przez bardzo głębokie kanały w skale macierzystej. Z takim zjawiskiem mamy pewnie do czynienia w tym przypadku. Głęboko pod źródłem może na przykład płynąć podziemna rzeka. To akurat nie zdarza się rzadko. Ale tak długiej szczeliny czy tunelu prowadzącego do źródła nie widuje się na co dzień.

– Spotkała się pani wcześniej z czymś podobnym? – zapytała Tirill.

– Nie... Wie pani, kiedy Cecilie stała tak z rozwiniętą, sześćdziesięciometrową żyłką, nagle pomyślałam, że zaraz coś ją chwyci. Zdarzyło mi się nawet o tym śnić. Nagle wędka wygina się, a my wiemy, że coś tam jest. Powiem jedynie, że nie jest to mój ulubiony sen.

Tirill miała wrażenie, że biologka w ciągu kilku minut się postarzała.

ROZDZIAŁ 53

ZA SOBĄ słyszała oddech Fjellangera. „Prywatny detektyw z Florydy” – pomyślała. – „Co tam właściwie robi? Włóczy się po białych, piaszczystych plażach, wypatrując niewiernych kobiet w bikini? Albo siedzi w samochodzie, czekając, aż ktoś wyjdzie z podłego motelu, i obżera się pączkami z dziurką, czy co tam jedzą tacy detektywi”.

– Przerwa – powiedział, łapiąc oddech.

– Okej – odpowiedziała lekko, siadając na kamieniu.

Przedarł się w ślad za nią przez krzaki jagód, po czym zajął miejsce obok.

– Przez ostatnich kilka lat zajmowałem się prawie wyłącznie pracą biurową – usprawiedliwił się.

– Duże jest to twoje biuro detektywistyczne?

– Na tyle, że pochłania prawie cały mój czas, gdy tylko jestem w pobliżu.

– To chyba dobrze ci tutaj?

Nie odpowiedział od razu, spoglądał tylko na rozciągającą się pod nimi dolinę. Między sosnami z ledwością dostrzegali muzeum z kafejką, której wielkie szklane ściany odbijały słońce, podobnie jak liczne samochody parkujące w okolicy pomimo późnej pory. Kościół nie dało się zobaczyć z tej odległości, ponieważ prawie nie różnił się barwą od pni drzew.

– Dobrze i smutno zarazem – odezwał się. – Dobrze zajmować się czymś innym niż praca biurowa, ale smutno, bo nie wyjechałbym, gdyby nie śmierć Ann. Więc głównie smutno. Niestety.

Spojrzała na dłonie Fjellangera, spoczywające na jego kolanach.

– Zauważyłam, że nie nosisz już obrączki...

– Jestem tego w pełni świadomy, ale dziękuję za informację.

– Na pewno całkowicie kontrolujesz sytuację? – drażyła.

Max siedział w milczeniu, jak gdyby zastanawiał się, jak ma się wyrazić.

– Na pewno kontroluję to, co ma znaczenie dla śledztwa – oświadczył spokojnie.

Odpowiedź nie zadowalała jej w pełni, ale Tirill postanowiła go nie naciskać.

– Myślisz, że popełniamy błąd, nie informując policji o idealnym podejrzanym w sprawie Wiborg? – zapytał. – Jeżeli okaże się, że Tellev Sustugu jest sprawcą, nasze milczenie może przysporzyć nam niezłych kłopotów.

Tirill miała podobne myśli.

– Jeśli zaufać Henrikowi Thuemu, Cecilie Wiborg widziano ostatni raz kilometr od Eidsborga – powiedziała. – W Dalen, oddalonym o kilka minut jazdy samochodem, mieszka mężczyzna, który ma pokój pełen zdjęć torturowanych kobiet. Od razu by go zatrzymano, gdyby policja wiedziała, że Cecilie zaginęła w Eidsborgu, a nie w Bø.

– Ale chyba nie ma nic wspólnego z Nikulsem. Natomiast zniknięcie Cecilie ma, jestem o tym przekonany.

Tirill przyznała mu rację.

– Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć ten krąg – powiedziała, wstając.

Odnaleźli strumyk i wspinali się jego śladem po zboczu. Nagle zniknął, dokładnie tak, jak opisała Lisbeth Sæthre. Ostatni raz widzieli go, jak burzył się między dwoma głazami. Stamtąd wystarczyło przejść sto metrów na wprost. Tylko czy Sæthre dobrze oceniła odległość, skoro była tu tylko raz?

I co tak właściwie znaczyło „na wprost”?

Poszukiwania okazały się trudniejsze, niż się spodziewali. Wczesnym letnim wieczorem, otoczeni przez rozmaite owady bzykające im nad głowami, Tirill i Max dosłownie czołgali się naprzód, rozglądając się za głębokim na około dziesięć centymetrów i szerokim na pół metra obniżeniem terenu.

W końcu znalazł je Max. Chował się za gałęziami krzaków na pagórku, więc Tirill puściła się biegiem przez wysokie do kolan zarośla. Kiedy go zobaczyła, stał na czworakach, odsuwając krzewinki.

Zauważyła znalezisko dopiero, gdy stanęła tuż obok niego.

– Jesteś pewien, że to nie zwykła stara ścieżka?

– Mam przecucie – odparł. – Wygląd zgadza się też z opisem Sæthre. Około dziesięciu centymetrów głębokości, miejsce trudne do znalezienia. To tutaj diabeł zgubił obrączkę. Ale musimy się upewnić. Jeżeli to jest nasz krąg, wystarczy, że będziesz poruszać się w przeciwnym kierunku, zaczynając za mną, a powinniśmy się spotkać.

Tirill uklęknęła, aby odszukać ścieżkę. Pełznąć, powoli oddalali się od siebie wzdłuż niewyraźnego śladu. Ilekroć spoglądała w górę, widziała to samo błękitne niebo. Żadnych ptaków czy białej smugi po samolocie. Pod sobą czuła to samo płytkie zagłębienie, a wokół siebie te same roje owadów, które niezmiennie wypłaszała z krzewinek i trawy, i które niezmiennie robiły, co mogły, by napić się jej krwi.

Miejsce, z którego ruszyli, znajdowało się blisko mokradła. Krąg przebiegał przez nie, przecinał niewielki strumień, a dalej ciągnął się przez zarośla po drugiej stronie bagna. Tirill widziała ze swojej pozycji plecy i głowę Fjellangera. Również on przedzierał się przez bagienne trawy w kierunku lasu po drugiej stronie.

Wreszcie spotkali się wśród wrzosów i sosen. Stojąc na czworakach, unieśli głowy i popatrzyli na siebie. Wydeptana ścieżka – o ile tym właśnie była – miała kształt niemal idealnego okręgu, przeciętego przez mokradło.

– Jasny gwint! – wysapała Tirill, plując owadami.

– Znaleźliśmy go – jęknął Fjellanger.

– Centrum jest chyba w bagnisku, mniej więcej tam, gdzie trawa robi się trochę ciemniejsza. Pewnie tam znajduje się źródło – powiedziała.

Fjellanger wyjął komórkę i zaczął fotografować, podczas gdy Tirill odsuwała krzewinki, by umożliwić dokumentację kręgu.

Razem podeszli do brzegu mokradła i miejsca, gdzie rosła odrobinę wyższa i bujniejsza trawa. Tam znaleźli ukryte, idealnie okrągłe oczko wodne, może półtorametrowej średnicy.

Wielkie, czarne oko.

Obok źródła, również schowany w wysokiej trawie, leżał znacznych rozmiarów płaski kamień.

– Płaskie kamienie są do siedzenia – oznajmiła Tirill, zajmując na nim miejsce, zaś Fjellanger robił zdjęcia. Pochylił się i zanurzył dłoń w wodzie.

– Lodowata. Idźmy za strumieniem, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi. Gdzieś musi przecież zniknąć, skoro pojawia się niżej – powiedział.

Tirill poszła za nim. Wkrótce stanęli na skraju bagna, gdzie woda zmieniała się w strumień wśród porośniętych mchem kamieni. Idąc kilka metrów w dół zbocza, dotarli do miejsca, gdzie strumień zniknął. Woda wpadała prosto do ciemnej dziury.

Dźwięk miał głuchy, podziemny pogłos.

– Strumień wpływający do Eidsborgtjørni – odezwała się Tirill zamyślona. – Źródło jest miejscem, gdzie wody jeziora po raz pierwszy wydostają się na powierzchnię.

ROZDZIAŁ 54

LEŻELI OBOK SIEBIE na plecach wśród wrzosów. Powietrze drgało nad nagrzaną ściółką, wokół unosiły się roje meszek.

– Myślisz, że nosili Nikulsa dookoła źródła tyle razy, że powstała widoczna ścieżka? – odezwał się Max.

– A masz inne wyjaśnienie? Cecilie Wiborg na pewno pomyślała to samo. Dlatego zareagowała w ten sposób, kiedy Lisbeth Sæthre powiedziała jej, że krąg został wydeptany. Cecilie uniosła ręce jak piłkarz po strzeleniu gola. Pewnie zrozumiała to, co my: kult Nikulsa kontynuowano w tym miejscu, a może kontynuuje się po dziś dzień.

– Brzmi mało wiarygodnie – zaproponował.

– Jeżeli krąg powstał na skutek wydeptania, przyczyniły się do tego zwierzęta albo ludzie. Nie wyobrażam sobie łosi czy borsuków krążących przez stulecia w tym samym miejscu. Skoro znajdujemy się na terenie znanym z dawnej religijnej praktyki, polegającej na rokrocznym okrażaniu jeziora, którą z czasem zaczęto rugować... W takiej sytuacji ta opcja wydaje się najbardziej prawdopodobna. Ja jak na razie nie dostrzegam innych.

– Ale książka, o której wspomina Schram, została wydana w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim – sprzeciwił się Fjellanger. – W tamtych czasach w noc świętojańską nadal noszono posąg dookoła Eidsborgtjøerni. Po co ktoś miałby robić to samo w głębi lasu? Pamiętaj, że już wtedy chodziło o legendę. A zatem krąg musiał istnieć na długo przed napisaniem książki.

Przez chwilę słychać było jedynie brzęczenie owadów.

– Może to dwa różne obrzędy? – zasugerowała Tirill. – Jeden odbywał się publicznie, pomimo protestów kościoła, a drugi potajemnie, z udziałem niewielkiej grupy osób.

– Ale nie w noc świętojańską?

– Może po odstawieniu posągu do kościoła.

– Jaki miałby być tego cel? – zapytał Max.

– Może pierwotny rytuał, ten z czasów katolickich, zawierał elementy, których nie wolno było włączyć po reformacji. Nieliczne dostępne opisy opierają się na przekazach ustnych i zdecydowanie dotyczą rytuału w ostatniej fazie jego kultywowania, w osiemnastym wieku. Jak wyglądał w średniowieczu, nie mamy pojęcia. Może później odprawiano obrzęd w zmodyfikowanym wydaniu, zatwierdzonym przez luterańskich pastorów?

– A ci, którzy chowali się tutaj, trzymali się pełnej wersji? – dokończył myśl Fjellanger.

– Coś w tym stylu. Jeśli rytuał pielęgnuje się po dziś dzień, prawdopodobnie chodzi właśnie o ten wariant.

– A Peter Schram wsadził kij w mrowisko w samą noc świętojańską. Pewnie dlatego komendant nazajutrz miał posąg w bagażniku. Nie zdążono jeszcze odstawić go do kościoła. Nic dziwnego, że się zdenerwował.

Popatrzyli na siebie i pokręcili głowami. „To jak chodzić po podłodze i wpaść do ciemnej piwnicy” – pomyślała Tirill. – „W domu, gdzie nie powinno jej być”.

ROZDZIAŁ 55

BELKI STAREGO podwójnego spichlerza typu *stabbur* jaśniały w nisko zawieszonym wieczornym słońcu, przez co gospodarstwo Homme wyglądało niczym baśniowa królewska posiadłość. Nawet elkhund Elvis wydawał się zadowolony ze stanu rzeczy. Dopóki Max i Tirill nie wysiedli z auta. Wtedy wstał i zaczął się rzucać w ich kierunku. Każdy skok w połowie przerywało szarpnięcie napiętego łańcucha, przez co biedne zwierzę odbijało się i wracało na miejsce. Mimo to nie dawało za wygraną. Pies zjeżył sierść na całym grzbiecie, a obnażone kły nasunęły Maksowi skojarzenia z wilkiem.

Kiedy Jon Homme wielkimi krokami przemierzał podwórze, elkhund skomlał, skulił się pod pokaznym drzewem, skąd spoglądał na swego pana z mieszkanką nienawiści i bezgranicznego podziwu.

Postanowili mu pokazać, że nie dadzą się nastraszyć.

– A, to pan... – odezwał się chłodno na powitanie. – Nie spodziewałem się, że znów pana zobaczę.

I to w towarzystwie kobiety...

– Tirill Vesterli, moja przewodniczka.

Homme długo mierzył Tirill wzrokiem.

– O co chodzi?

– O to samo, co poprzednio – odpowiedział Max.

Komendant oparł ręce na biodrach i zerknął na nieskazitelne wieczorne niebo nad Eidsborgiem.

Po chwili pokręcił z rezygnacją głową.

– To chodźcie na werandę.

Kiedy usiedli, wszedł do domu po kawę i „coś na ząb”. Max obstawiał te same ciasteczka co ostatnio.

Poniżej gospodarstwa rozpościerało się Eidsborgtjørni, okrągłe i gładkie jak lustro. Kiedyś było może świętym jeziorem, tak dawno temu, że wyobrażenia ówczesnych ludzi o świecie musiały radykalnie różnić się od wyobrażeń Maksa Fjellangera. Dla niego oczywistością było, że Ziemia jest okrągła i krąży wokół Słońca. Niemal tak samo oczywiste było to, że Bóg nie istnieje. Jest tylko przyroda, a człowiek stanowi jej część. Ale nie byle jaką część: to w człowieku natura po miliardach lat zyskała świadomość własnego istnienia. Nareszcie mogła spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: „Oto jezioro, którego tafla migocze w świetle”. Dla Maksa był to większy cud niż cokolwiek znanego z Biblii.

Z mieszkańcami Eidsborga z czasów przedchrześcijańskich łączyło go jednak przekonanie o tym, że doskonale wiadomo, jak urządzony jest świat. Przez to nagle poczuł się mniej pewny swoich wyobrażeń.

– Nie wypada tak przy pustym stole – powiedział Jon Homme, ostrożnie stawiając na blacie tacę z ciasteczkami i kawą. – Wybaczą państwo prosty poczęstunek, ale żona jest na spotkaniu.

Sprawiał wrażenie, jakby postanowił traktować ich z uprzejmością.

– Nadal wątpi pan, że to było samobójstwo?

– A jak bardzo czuje się pan tego pewien? – zapytał Max.

– Na ogół nie czuję zbyt wiele w takich kwestiach – odparł komendant spokojnie. – Technicy uznali, że odebrał sobie życie, ale zawsze będzie istniała teoretyczna możliwość, że doszło do zabójstwa.

Max był ciekawy, dlaczego policjant kłamie. Zdaniem Tellewa Sustugu Knut jechał do Hommeo w wieczór poprzedzający dzień, w którym znaleziono go martwym. Max nie miał powodów, aby wątpić w słowa Sustugu, który wydawał się śmiertelnie bać całego rodu Homme. Zarówno jego żyjących członków, jak i tych nieżywych.

– Uważa pan, że zabójstwo Knuta to tylko teoretyczna możliwość?

– Znaleziono go w rzece z kamieniami w kieszeniach. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci było utonięcie. Brak śladów walki. Sińce na kolanach i skaleczenie wargi całkowicie pasują do przypuszczenia, że przewrócił się po ciemku nad rzeką.

– Ale mógł zostać do niej wepchnięty – powiedział Max.

– Z kieszeniami pełnymi kamieniami?

– Może ktoś włożył je tam później?

- Teoretycznie jest taka możliwość – zgodził się komendant.
- Ale już nie w praktyce?
- W toku śledztwa nie znaleźliśmy powodów, aby przypuszczać, że został zabity.
- A co z kluczem, który wyłowiono w innym miejscu?
- Nie ma pan już dosyć? – mruknął Homme z rezygnacją.
- Nie, ostatnio pojawiły się też nowe informacje. Jak mi powiedziano, kiedyś krążyła plotka, że

Knut miał jakiś związek z zaginięciem Petera Schrama. Co oznacza, że ktoś stąd mógł posiadać motyw, aby zabić Knuta.

Wzrok Jona Hommego nagle się wystrzył, nabrał czujności.

- Chyba nie do końca rozumiem – powiedział.
- Chodzi mi o osobę lub osoby odpowiedzialne za zaginięcie Schrama.

Komendant zasłonił się rękami.

– Zaraz, zaraz! Osoba lub osoby odpowiedzialne za zaginięcie? Peter Schram wpadł do górskiej szczeliny. Albo utonął.

– Myśli pan, że coś takiego przytrafiło się też Cecilie Wiborg? – zapytała Tirill.

To były jej pierwsze słowa, odkąd usiedli, i ewidentnie zaskoczyły Hommego.

– Cecilie zaginęła w Bø... Sam nie wiem... Jasne, że mogła utonąć, ale szukano jej dość dokładnie, w rzece Bøelva i innych miejscach.

– Tutaj też jej szukano? – ciągnęła Tirill.

– Nie, po co?

– Pisała pracę między innymi o rytuale Nikulsa.

– Tak, współpracowaliśmy oczywiście z policją w Bø. I kryminalnymi. Przesłuchiwalismy ludzi, z którymi miała kontakt. Ale nigdy nie było mowy o założeniu sprawy, ponieważ zaginęła w Bø.

Max poczuł, że kawa zaczęła działać.

– Przepraszam, ale muszę skorzystać... – chrząknął.

– Za salonem, drugie drzwi po lewej na korytarzu – burknął komendant.

W wielkim ciemnym salonie zegar ścienny w stylu *rosemaling* odmierzał sekundy znużonym, mechanicznym tykaniem zębatek. Unosił się tutaj zapach jak w wiejskich izbach w Evje w latach sześćdziesiątych – słodkawa mieszanka woni jabłek, mleka i czegoś zwierzęcego.

Zatrzymał się i zerknął na zdjęcia rodzinne na ścianie. Na jednym widniał zapewne Jørgen Homme z żoną, a między nimi mały, gruby Jon na wycieczce w lesie.

Max podszedł do staroświeckiego kredensu, na którym stało więcej fotografii. Dominowały na nich motywy łowieckie. Potężne samce łosi, które leżały martwe przed myśliwymi w staromodnych strojach. Angielski seter z cietrzewiem w pysku. Grupa myśliwych pozujących przy upolowanym niedźwiedziu na podjeździe stodoły w gospodarstwie Homme.

Wtem jego wzrok padł na zdjęcie samotnie wiszące na ścianie. Zimny powiew musnął spocony, rozgrzany kark Fjellangera. Na fotografii Jon Homme obejmował ramieniem ojca. Chociaż zdjęcie musiano zrobić pod koniec jego życia, Max rozpoznał starego komendanta. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie uwieczniono go razem z synem. Pewnie dlatego Max nie zdołał go zidentyfikować na filmie z rekonstrukcji rytuału Nikulsa. Starszym mężczyzną, który chwycił posąg świętego, był Jørgen Homme.

A Åse Enger Thue trzymała jego rękę, jakby chcąc go powstrzymać.

Lub wesprzeć.

ROZDZIAŁ 56

OBOJE DŁUGO siedzieli cicho, pochyleni nad książkami Thuego i papierami Petera Schrama. Do wigilii świętego Jana został niecały tydzień. Wiedzieli, że będą wtedy musieli coś zrobić, ale jeszcze nie przedyskutowali co. Dzień jawił się na horyzoncie mroczny i groźny.

– Myślisz, że Åse Enger Thue to kobieta, z którą Sustugu rozmawiał przez telefon? – zapytała Tirill.

– Jest najmocniejszą kandydatką. Kogo jeszcze mamy? Julię Bergmann? Protestancką pastor? Ingebjørg Ljosland z Tveit? No nie wiem... Wydawała się szczerze zasmucona z powodu zaginięcia Schrama. Z drugiej strony bezpośrednio wskazała na Henrika Thuego, przywołując historię o kłótni. Dziwi mnie, że Thue wyparł się właśnie tego epizodu. Nawet gdy powiedział o wszystkim innym.

– Chyba dlatego, że dopuścił się plagiatu, kopiując rozprawę Schrama. Fragmenty publikacji *Eidsborg – święte miejsce* to niemal dokładne odpisy. Myślę, że Ingebjørg Ljosland mówiła prawdę o tej kłótni. W takim razie zostaje nam pani pastor i Åse Enger Thue.

– Albo ktoś zupełnie nam nieznany – sprzeciwił się Max.

Nadszedł czas, aby opróżnić pęcherz.

– Pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmił.

Tirill spojrzała na niego nieco zakłopotana.

– Czy możesz zaczerpywać świeżego powietrza trochę dalej? Przed chatką zaczęło trącić.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, jak najszybciej ją opuścił. Tym razem wszedł głębiej w las, zanim się zatrzymał.

Kiedy stał, barwiąc strumieniem na ciemno liście krzaka malin, zabręczał przychodzący SMS. Max skończył. Starannie strząsnął krople, żeby nic nie dostało się do spodni, i wyjął komórkę.

Możesz przyjechać wieczorem? Henrika nie ma.

Nie wspomniał o tym Tirill, zapewnił ją jedynie, że zaczerpnął świeżego powietrza w głębi lasu. Powiedział też, że chce się przejechać. Ciasnota chatki zaczęła mu odrobinę doskwierać. Tirill podniosła wzrok znad spuścizny po Schramie, tylko żeby pomachać mu na do widzenia. Po czym na powrót zatonała w papierach z osiemdziesiątego piątego.

ROZDZIAŁ 57

NAJPIERW WYPATRYWAŁ JEJ w ogrodzie, ale nikogo tam nie było. Tylko pusta szklanka na stole. Następnie podszedł do drzwi werandy. Z tyłu głowy nadal miał wspomnienie tego, jak nago paradowała przez salon. Również tym razem trudno było dojrzeć coś w środku z powodu ostrego światła na zewnątrz. Max zastukał kłykiem i czekał. Nikt nie wyszedł. Próbował otworzyć szklane drzwi, ale były zamknięte. Ponownie zastukał – tym razem znacznie mocniej – ale to też nie pomogło.

Poirytowany minął róg i podszedł do drzwi wejściowych, z których nigdy wcześniej nie korzystał. Długo przyciskał dzwonek. I czekał, coraz bardziej zdezorientowany. Przecież w wiadomości prosiła, aby przyjechał! Kiedy chwycił klamkę, okazało się, że drzwi są otwarte. Miał wejść? Nie wydawało mu się to właściwe. Jeszcze raz zadzwonił, lecz nadal nikt nie reagował.

Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł na korytarz. Był tutaj wcześniej, ale wcale mu się to nie podobało. W domu panowała niepokojąca cisza.

Niewielka część salonu, którą widział z miejsca, gdzie stał, była pusta. Z przecuciem, że coś jest nie tak, niechętnie skierował tam kroki i rozejrzał się wokół. Z początku nie zauważył nic szczególnego, więc już miał wyjść, kiedy coś przykuło jego uwagę. Znad oparcia fotela, którego tył widział, wystawały pojedyncze blond kosmyki.

– Åse? – odezwał się.

Brak reakcji.

– Åse?

Jego głos brzmiał pusto i obco.

Max zrobił głęboki wdech i podszedł do fotela.

Åse siedziała z półotwartymi ustami i utkwionym w jeden punkt wzrokiem. Jej ręce były nienaturalnie ułożone na kolanach. W jednej trzymała zadrukowaną kartkę.

Powoli się nad nią pochylił.

– Zdrajca! – Odezwała się szeptem, lecz mimo to Max aż podskoczył.

– Nie słyszałaś, jak dzwoniłem?

– Zdrajca... – powtórzyła ledwie słyszalnym głosem, nadal wpatrując się w ten sam punkt, jak gdyby utknęła gdzieś we własnych myślach.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

Drżąc, podała mu kartkę, którą gwałtownie wyrwał jej z ręki. Kobieta nastraszyła go i rozzłościła.

– Co to? – chciał wiedzieć.

– Nie poznajesz?

Przyjrzał się kartce i rozpoznał w niej wydruk ze strony internetowej własnego biura.

– No i? Prowadzę biuro detektywistyczne. Nie wspominałem o tym? Co z tego?

Wreszcie na niego spojrzała. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– Sprawdziłam tylko, ponieważ nie mogłam uwierzyć – powiedziała. – Ale okazało się, że mówił prawdę.

– Kto?

– Henrik. Właśnie wyjechał. Oznajmiłam mu, że chcę się rozwieść.

– Co powiedział?

Popatrzyła na niego z pogardą, jakby nie zasłużył nawet na odpowiedź. Może faktycznie tak było.

– Że szantażowałeś go za pomocą zdjęcia, które ci pokazałam. Że zmusiłeś go do wyznania, co robił w noc świętojańską. Jesteś prywatnym detektywem na usługach rodziny Cecilie Wiborg i cały czas usiłowałeś dowiedzieć się, czy Henrik mógł ją uprowadzić i zabić. Nigdy w życiu nie czułam się tak wykorzystana! Gdybym od początku o tym wiedziała, nigdy nie pokazałabym ci tego zdjęcia.

– Dlaczego właściwie to zrobiłaś? – zapytał Max.

– Nie rozumiesz? – odpowiedziała ze smutkiem. – Z tego samego powodu, dla którego opowiedziałam ci o niewierności Henrika. O SMS-ach, na które potajemnie odpisuje. Głosach kobiet w tle, kiedy rozmawiam z nim przez telefon. Tu nie chodziło o Henrika. Chciałam, żebyś zobaczył, jak

ja się czuję. Rozneglizowana młoda dziewczyna leży w moim ogrodzie, a mój mąż ją fotografuje! O co innego mogło mi chodzić? O skierowanie podejrzeń na Henrika?

– Przemknęło mi to przez myśl.

– Ale po co? Chyba nie sądziłeś, że ja...

Max rozłożył ręce z rozbijającym wyrazem twarzy.

– Cóż... okłamałaś mnie.

Åse spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

– Mówiąc o swoim jedynym spotkaniu z Cecilie Wiborg. Nie wspomniałaś, że oświadczyła, że jest w ciąży z twoim mężem.

– Ale to nie kłamstwo. Dlaczego miałabym ci o tym mówić?

Maksowi trudno było wymyślić dobrą odpowiedź.

– Czy wyobrażasz sobie, jakim poniżeniem było dla mnie słyszeć, jak ta młoda, płodna dziewczyna opowiada o dziecku, które nosi pod sercem? O dziecku Henrika, które to ja powinnam była urodzić. Którego brakuje mi najbardziej w świecie. Nic nie rozumiesz?

– Owszem, rozumiem. – Max spróbował dotknąć jej policzka, ale ona odsunęła jego rękę.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że wzięłaś udział w pierwszej rekonstrukcji rytuału Nikulsa przed paroma laty?

Znów popatrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Bo nie wiedziałam, że przesłuchuje mnie detektyw. Poza tym to krępujące. Desperacka walka o ciążę. Tak, wiem, że to śmieszne, ale Henrik wyjechał, a ja doskonale wiedziałam, że Nikulsovi w dawnych czasach przypisywano zdolność przywracania płodności bezdzietnym kobietom. Więc wzięłam udział w inscenizacji starego rytuału. Jak się domyślasz, pomogło tak samo jak wszystkie inne metody, których próbowałam. Ale nigdy nikomu o tym nie wspomniałam. Nawet Henrikowi. Skąd o tym wiesz?

– Pojawiasz się na chwilę na nagraniu z tego wieczoru. Tylko na kilka sekund.

Åse zaśmiała się z niedowierzaniem.

– A ja byłam gotowa z wszystkiego dla ciebie zrezygnować – powiedziała.

Usłyszawszy te słowa, Max uświadomił sobie, że zniszczył coś dobrego.

– Szczerze mówiąc, nie było czego zostawiać – rzekł twardo, aby pokryć rozczarowanie. – Notorycznie niewierny mąż...

Patrzyła na niego tak długo, aż stało się to nieprzyjemne i musiał odwrócić wzrok.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego już dawno się z nim nie rozwiodłam?

– Dużo nad tym myślałam.

– Nie wiem, jakie zasady panują w Stanach, ale tutaj trzeba być małżeństwem, aby móc adoptować dziecko. Konkubinat nie wystarczy. A więc można zapomnieć o rozwodzie, dopóki stoi się w kolejce adopcyjnej. Jak ja i Henrik od kilku lat. Biurokratyczna machina działa strasznie powoli, ale mogło nam się udać. Tyle chciałam dla ciebie poświęcić – moje przyszłe dziecko. Aż tu okazuje się, że wszystko to było częścią śledztwa. Teraz muszę nauczyć się żyć bez nadziei na zostanie matką. Ciebie nie chcę już nigdy widzieć. Henrik jest mimo wszystko tylko facetem, który myśli fujarą. Pełno takich na świecie. Ale ty...

Przyglądała mu się badawczo, jak gdyby chciała wypatrzeć coś w jego oczach.

„Pewnie coś, czego tam nie ma” – pomyślał Max.

ROZDZIAŁ 58

MAX ŚCINAŁ TRAWĘ przed chatką kosą na krótkim trzonku, tak zwanym półkoskiem. Nie musiał, ale nie robił tego wcale z chęci pomocy, lecz aby odsunąć od siebie myśli o Åse. Z każdym zamachem kosił nie tylko trawę, ale i myśli. Miękkie myśli o tym, co by było, gdyby spotkał ją w innych okolicznościach. Rozprawiał się z nimi twardym ostrzem kosy.

Przy odrobinie wysiłku jego wzrok sięgał aż do migoczącego w słońcu jeziora Norsjø. W połączeniu z drewnianą chatką widok mógł stanowić tło idealnych norweskich wakacji wykorzenionego Norwega w średnim wieku, pragnącego odetchnąć powietrzem starego kraju, który z ledwością pamiętał z dzieciństwa. Jednak nie tego pragnął Max Fjellanger. Pragnął, by kogoś skazano za zabicie Knuta.

To jest nadal najważniejsze – stwierdził z lekkim zdumieniem i przerwał pracę. Niezależnie od posągów świętych, opowieści o duchach i dawnych zaginięć, dla niego liczył się tylko Knut. Tyle że prawda kryła się gdzieś wśród tych wszystkich innych rzeczy.

Wytarł czoło chusteczką. Chowając ją z powrotem do kieszeni, poczuł obrączkę, którą włożył tam, zanim wyszedł kosić trawę. Siedział przy stole w chatce, obracając w dłoniach prostą złotą obrączkę, którą Ann wsunęła mu na palec przed dwudziestoma pięcioma laty. Nie potrafił zdecydować, czy powinien znów zacząć ją nosić, więc schował ją do kieszeni spodni i wyszedł z chaty.

Tu wyciągnął obrączkę i spojrzał na nią. Trzymając ją kciukiem i palcem wskazującym, przyglądał się grawerunkowi po wewnętrznej stronie. *Now and forever*. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział te słowa. Nic dziwnego, skoro nigdy nie zdejmował obrączki. Dopiero podczas spotkania z Åse się na to zdecydował.

A jednak bez wahania ją wykorzystał. „Co jest ze mną nie tak?” – pomyślał. Ale znał odpowiedź: dążenie do prawdy było dla niego silniejsze niż miłość. O ile w ogóle czuł miłość do Åse. Aby zrozumieć, co się stało z Knutem – oraz Cecilie i Peterem – potrafił uciec się do oszustwa. „Może z Ann też tak było” – pomyślał. Może prawda ostatecznie znaczyła dla niego najwięcej. Nie było z tym tylko kłopotu, bo na co dzień próbowali do niej dążyć razem.

Z zaskakującym ukłuciem w sercu ucieszył się, że nie mieli dzieci. Zaskakującym, ponieważ zawsze podzielał jej pragnienie, aby powiększyć rodzinę. W każdym razie tak mu się wydawało. A może wcale tak nie było. Może był człowiekiem, który potrafi odwrócić się od tego, co dla wielu jest najważniejsze w życiu, by poszukiwać prawdy o czymś pozornie mniej ważnym. Ponieważ wiedział coś, o czym nie wiedzieli inni. Że prawda, czegokolwiek dotyczyła, jest najważniejsza ze wszystkich rzeczy. Ważniejsza niż Bóg.

Max postanowił nie wkładać obrączki, ale kiedy miał odłożyć ją do kieszeni, wypadła mu z ręki.

Przykucnął i odsunął żdźbła w miejscu, gdzie spadła. Trawa rosła tam na ponad pół metra, tak gęsta, że trudno było dojrzeć choćby niewielki fragment podłoża. Za to obrączka, ciężka i gładka, musiała dotknąć gruntu. Chociaż rozsuwał trawę i macał głęboko, nie mógł jej znaleźć.

Czuł rosnącą panikę. Postanović jej nie nosić, to jedno – ale zgubienie jej to coś zupełnie innego.

Nagle opuszką palca wskazującego wyczuł gładki metal. Ostrożnie wyjął obrączkę z głębokiej trawy, w obawie że znowu ją zgubi.

Kiedy wstał, mimo wszystko zdecydował, że włoży ją do kieszeni. Nie chciał jej już nosić. Tamto życie dobiegło końca.

Ale poszukiwania podsunęły mu pewien pomysł.

ROZDZIAŁ 59

WSPINAJĄC SIĘ W UPALE po grząskich, porośniętych sosnowym lasem zboczach, Max cieszył się, że zakupiony przez niego wykrywacz metalu ważył niewiele ponad kilogram. Bezgłośnie przeklinał sięgające prawie po kolana wrzosa, przez które musieli się przedzierać, a także gryzące go owady i drażniący ciało pył. Sił dodawała mu jedynie myśl o przetestowaniu wykrywacza na Obrączce Diabła.

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, kręgu nie dało się zobaczyć inaczej, niż szukając na czworakach.

– Mogliśmy go jakoś oznakować – powiedział.

– Nie, teraz przynajmniej nikt nie wie, że tu byliśmy – odparła Tirill, która czołgała się przez wrzosa kilka metrów dalej. – Tu jest! – zawołała.

Max wstał i wyjął wykrywacz. Następnie podszedł do Tirill, która odsunęła krzewinki na bok, aby mógł zobaczyć krąg. W jednej ręce trzymała niewielką łopatkę kupioną przez Maksa w centrum ogrodniczym.

Tuż przed mokradłem odezwał się sygnał, ale w twardym podłożu trudno było kopać. Wreszcie Tirill udało się wydobyć grudkę zbitej ziemi, która wywołała reakcję, kiedy Max zbliżył do niej wykrywacz.

Tirill zaczęła ją ostrożnie kruszyć łopatką. Po chwili odłożyła narzędzie i wydobyla nieduży przedmiot.

– Moneta – powiedziała, trzymając znalezisko między kciukiem a palcem wskazującym.

Max wyciągnął dłoń i przejął monetę, która jednak była ciemna jak ziemia, więc szczegółów nie dało się rozczytać gołym okiem. Kiedy wyjął lupę, aby lepiej przyjrzeć się znalezisku, rozpoznał je z dzieciństwa. Była to moneta o nominale dwóch øre, z samcem cietrzewia na rewersie i znakiem króla Olafa V na awersie.

– Dwuørówka z sześćdziesiątego trzeciego – powiedział, chowając ją do kieszeni.

Dalej powoli przeszukiwali mokradło, jednak na nic nie natrafili. Dopiero na suchym łądzie przyrząd coś wyczuł.

Tirill zaczęła kopać. Długo to trwało z powodu wyjątkowej twardości podłoża. „Udeptane przez setki lat” – pomyślał Max.

Sfrustrowana siekała ziemię łopatką.

– Ostrożnie – ostrzegł, na co odpowiedziała mu rozjuszonym spojrzeniem.

Nagle usłyszał brzęk metalu. Tym razem musiało to być coś większego.

– Tam – powiedziała, odkładając łopatkę.

– Co to takiego?

– Nie mam pojęcia.

Uniosła bryłkę ziemi wielkości pięści, z której wystawało coś cienkiego i podłużnego. Max od razu rozpoznał, że zrobione jest z metalu. I wygląda staro.

– Ta ziemia jest twarda jak kamień – stwierdziła Tirill. – Może trzeba skruszyć ją o skałę?

Usiedli na płaskim głazie nieopodal, a Tirill dalej ostrożnie obrabiała bryłkę końcówką łopatki. Jednak dopiero kontakt ze skałą podziałał. Po kilku precyzyjnych uderzeniach bryłka pękła na dwoje, a z jednej jej części wystawało coś przypominającego klamrę.

Tirill znów postukała połówką bryłki o skałę, w wyniku czego ta rozpadła się i wypadł z niej przedmiot, prawie zupełnie czysty.

Rzeczywiście była to klamra, okrągła, z wystającą szpilką, używana pewnie do upinania szat. Max podniósł ją ostrożnie dwoma palcami.

Przez szkło powiększające obejrzał ją dokładnie. Sama obręcz była nie do końca domknięta, jak litera C niemal przechodząca w O. Jej końce miały ozdobny kształt. Przyjrząwszy się uważniej detalom, niespodziewanie zaklął:

– Psiakrew!

– Co jest?

Podał jej lupę. Tirill otarła ściekający na oczy pot i pochyliła się nad znaleziskiem. Max zarejestrował dokładnie moment, w którym uświadomiła sobie, co trzyma w ręku.

– Rany... – szepnęła, spoglądając na Maksa.

I z powrotem popatrzyła na klamrę w kształcie niedomkniętej obręczy, na której końcach znajdowały się wyobrażenia smoczycich głów.

Po raz drugi w ciągu kilku dni Max i Tirill leżeli wśród wrzosów, gapiąc się na błękitne letnie niebo. Tylko bzyczenie owadów rozbrzmiewało w to spokojne gorące popołudnie. A właściwie wieczór – zbliżała się siódma.

– Jak myślisz, ile lat może mieć taka klamra? – zapytał Max.

– Pewnie przeszło tysiąc. Albo mniej – tego typu ornamentyki używano jeszcze długo w czasach chrześcijańskich.

– Również po reformacji?

– Nie sądzę. Ale ten styl był bardzo popularny od drugiej połowy dziewiętnastego wieku aż do pierwszych dekad poprzedniego stulecia. Możemy więc mieć do czynienia z repliką z tego okresu.

Na chwilę zapanowała między nimi cisza. Znów było słycać jedynie owady.

– Skoro już tu jesteśmy... Czy nie powinniśmy rozejrzeć się po okolicy? – zaproponował Max, siadając. – Skorzystamy z wykrywacza. Mamy jeszcze kilka godzin do zmroku.

Niełatwo było posługiwać się wykrywaczem poza konkretnym, ograniczonym obszarem. Max szukał w przypadkowych miejscach, ale bez rezultatów. Tirill sama wspinała się po skalistym wzgórzu tuż koło mokradła. Takich ruchów nie wyćwiczyłby żaden dorosły. Uczyło ich tylko dzieciństwo.

Max podszedł do źródła i gapił się w spokojną czarną wodę. Na myśl o jej głębokości wezbrała w nim fala strachu, którą zdołał jednak stłumić, i zaczął szukać przy brzegu.

Tuż obok wielkiego kamienia wykrywacz coś wyczuł.

– Możesz tu przyjść z łopatką? – zawołał.

Po chwili Tirill kucnęła obok.

– Tutaj... tuż przy kamieniu – wyjaśnił.

Niedługo później łopatka natrafiła na coś twardego. Tirill usunęła resztki ziemi rękami i uniosła wąski przedmiot.

– Nóż – stwierdziła. – Rękojeść musiała zmurszeć i odpaść.

Ostrze było długie i wyglądało bardziej na broń sieczną niż narzędzie do krojenia.

Usiedli na kamieniu. Tirill ostrożnie przytknęła kciuk do ostrza noża.

– Ciekawe, do czego go używano...

ROZDZIAŁ 60

NAZAJUTRZ MAX siedział w bibliotece w Dalen ze stertą książek przedstawiających historię regionu. Dalen i Eidsborg znajdowały się w sercu tej części Telemarku, gdzie ze wspólnego skarbcza legend i baśni norweskich zrodziły się liczne opowieści. Duża część książek zawierała właśnie legendy i podania, ale jak dotąd nie udało mu się znaleźć niczego na temat obrączki diabła. Max przejrzał również faksymile opisu topograficznego pastora Witzøe z roku tysiąc siedemset dwudziestego drugiego – tego samego, którego dotyczyła notatka Petera Schrama. Wspominano tam jedynie krótko, że w ściółce koło źródła ma znajdować się krąg powstały, gdy diabeł zgubił w tym miejscu swoją obrączkę. Nic o komendancie zaproszonym na wesele w piekle. Tellev Sustugu twierdził, że usłyszał legendę w więzieniu, od faceta, który już dawno nie żyje. Ale mógł oczywiście kłamać. Nie wiadomo, skąd znał tę opowieść.

Nagle Maksa uderzyła pewna myśl. A co, jeśli Tellev wymyślił historię o komendancie i weselu? Wyraźnie dał mu przecież do zrozumienia, że nadal boi się Jørgena Hommego. Może poprzez legendę próbował coś Maksowi przekazać, maskując fakt, że powiedział więcej, niż powinien. Detektyw zdziwił się, że stare podanie dotyczy człowieka, z którym on sam kiedyś pracował. Wytknięcie tej niespójności rozdrażniło Sustugu. Max nie wpadł na to wcześniej, ale ten fragment historii Tellev musiał zmyślić na poczekaniu, aby w ten sposób ubrać w słowa swój strach. Co takiego powiedział? „A jeśli obrączka wcale nie wyparowała? Może komendant ją sobie zatrzymał i zyskał życie wieczne?”

Co to mogło znaczyć?

Między regałami rozpoznał znajomą fryzurę. Julia Bergmann uśmiechnęła się do niego ostrożnie. Wyglądała, jakby czekała tylko, aż na nią spojrzy. Max wstał i podał jej rękę, kiedy podeszła. Pani pastor rozejrzała się wokół, jakby chcąc upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Że też spotykam pana akurat teraz – odezwała się cicho.

Niemieckie „r” przyjemnie łaskotało jego uszy.

– Aha?

– Tak... – Chciała powiedzieć więcej, ale przerwała.

Z opowieści Tirill wynikało, że Bergmann boi się potwierdzić podejrzenia, iż kościelny duch wcale nie jest duchem. Jednocześnie miała wyrazić nadzieję, że Max i Tirill będą dalej badać tę sprawę. Podkreśliła też, że widziała mnicha na trzy noce przed wigilią świętego Jana. Czyżby chciała ich skusić, aby odwiedzili kościół właśnie tej nocy? W takim razie zostało im jeszcze tylko parę godzin.

Pewnie dlatego się zawahała. Nie wiedziała, czy Tirill powiedziała Maksowi o ich rozmowie.

– Jest pan... człowiekiem wielu talentów. Prawda? – zaczęła.

Wpatrywała się w niego badawczo zza blond grzywki zasłaniającej jedno oko.

– Jeżeli tak pani twierdzi.

– I jest pan pewnie w Telemarku, by wykorzystać swoje talenty. Między innymi aby dowiedzieć się jak najwięcej o śmierci Knuta Abrahamsena. Skoro był pańskim przyjacielem i kolegą z pracy.

– Skąd pani to wie?

Przez chwilę wyglądała na zakłopotaną.

– Powiedział mi Johannes Liom. Chodzi o to, że... – Znow rozejrzała się dookoła. – Wiem o czymś, co wydarzyło się w noc utonięcia Abrahamsena.

– Co pani wie? – odpowiedział ostro.

– Proszę, nie tutaj. To poufne informacje. Możemy udać się w bardziej ustronne miejsce?

Kilka minut później siedzieli w wynajętym samochodzie Maksa, na tyłach biblioteki, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Wiedział pan, że nie tylko Kościół katolicki oferuje spowiedź? – zapytała.

– Tak.

– Cóż, wiele osób nie wie. Niedużo mówi się o tej właśnie posłudze Kościoła Norwegii. Również u mnie wierni czasami się spowiadają. W takich sytuacjach obowiązuje mnie całkowita tajemnica. Nawet jeżeli miałabym w ten sposób wejść w konflikt z norweskim prawem.

– A teraz chce pani zrobić wyjątek od tej zasady?

– Nie mogę zdradzić, kto mi to powiedział, ponieważ wyznanie było częścią spowiedzi, ale odczuwam bardzo silną potrzebę, aby się tym z panem podzielić. Chodzi o starszą panią, która ma w zwyczaju – raczej niedobrym – budzić się w nocy i w samej koszuli nocnej wychodzić z domu. Kilkakrotnie musiała zajmować się nią policja. Pewnego pięknego dnia – a raczej nocy – może przez to umrzeć, ale przecież nie można żyć wiecznie, a ona jest bardzo stara. Zdarza się, że staruszka opowiada historie, w które nie wszyscy wierzą. Czasem miesza przeszłość z teraźniejszością. Nie będę tego ukrywać, a pan musi wziąć to pod uwagę, słuchając, co miała mi do powiedzenia wczoraj, kiedy przyszła się wypowiedzieć do mojego biura. Podczas spowiedzi wyznała, że także tamtej nocy, kiedy utonął Knut Abrahamsen, spacerowała. Idąc przez most, zauważyła postać stojącą z wyciągniętą ręką przy balustradzie. Jak gdyby błogosławiła wodę, powiedziała. Po drugiej stronie mostu na skraju drogi parkowały dwa samochody. Była noc, ale zaczęło się lekko przejaśniać. O tej porze w Dalen niewiele się dzieje, delikatnie mówiąc. Nagle postać ją zauważyła i wypuściła przedmiot, który musiała cały czas trzymać. Pewnie dlatego stała z wyciągniętą ręką. Starsza pani powiedziała, że przedmiot z cichym pluskiem wpadł do wody. Więcej nie widziała, bo zawróciła, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu. Co pewnie i tak nie nastąpiło zbyt prędko.

Julia Bergmann zwróciła się do Maksa:

– Pomyślałam, że może to pana zainteresuje.

Max wiedział, co nieznana osoba upuściła do wody. Kluczyki samochodowe Knuta. Nie miał pewności, jak to się odbyło, ale właśnie ten moment musiała zobaczyć starsza pani. Dlatego kluczyki znaleziono w rzece oddzielnie. Właśnie ten szczegół – osoba na moście, która upuściła coś do rzeki – sprawił, że były policjant uwierzył w opowieść.

– Gdy dowiedziała się o Knucie Abrahamsenie i o tym, że jego samochód stał zaparkowany w miejscu, gdzie widziała tamte dwa auta, zaczęły dręczyć ją wyrzuty sumienia. Zrozumiała, że była świadkiem czegoś, co mogło mieć związek z utonięciem. Wczoraj poczuła, że dłużej już nie wytrzyma, więc przyszła się wypowiedzieć. Uznała za grzech, że o niczym nikomu nie powiedziała, chociaż tej nocy utonął człowiek.

– Ale dlaczego nie zgłosiła się na policję? – zapytał Max.

– No właśnie... – zaczęła Julia. Urwała, jakby nie wiedziała, czy ma kontynuować.

– Co właśnie?

– Miała powód, żeby wybrać pastora zamiast policji. Na moście nie widziała mianowicie zwykłego człowieka.

– Jak to?

– To był duch.

Max westchnął.

– Na pewno jej się przywidziało. Może ten ktoś miał na sobie okrycie z kapturem.

– Też jej to powiedziałam, ale staruszka obstawała przy swoim. Jako młoda dziewczyna widziała ponoć ducha przed kościołem w Eidsborgu. Nigdy o tym nikomu nie wspomniała, bo nie chciała wyjść na przesadną. Ale twierdziła, że w noc śmierci Abrahamsena ujrzała tę samą postać. W tym samym powłóczyстым habicie ze spiczastym kapturem i szerokimi rękawami. Była stuprocentowo pewna – to mnich upuścił coś do wody.

Max oparł się o zagłówek i zamknął oczy. Morderców da się wytropić i skazać, ale co właściwie robi się z duchem?

ROZDZIAŁ 61

O GODZINIE TRZECIEJ Tirill spakowała się i opuściła bibliotekę. Po drodze minęła Henrika Thuego, który rozmawiał z kimś z administracji. Prawie niezauważalnie skinął jej głową, a ona sztywno odwzajemniła pozdrowienie.

Odczuwała ból, skręcając na rondzie w stronę Lifjell. Tęsknota za Magnusem z dnia na dzień była coraz większa. Czasami objawiała się doznaniem pustki w miejscu obok niej, w miejscu, które powinien zajmować syn, a kiedy indziej konkretnym bólem gdzieś w okolicy serca.

Mimo to chciała dokończyć, co zaczęli, zanim wróci do mieszkania. Postanowiła spędzić noc w kościele słupowym w Eidsborgu. Tej nocy rok wcześniej Julia Bergmann ujrziała mnicha. Tirill była świadoma, że musi to zrobić za plecami Fjellangera, który uważał, że pastor mogła zastawić na nich pułapkę.

Nie wystarczyło jednak zacząć się gdzieś w pobliżu w nadziei, że uda jej się w przelocie dostrzec zjawę przed kościołem. Wiedziała przecież, co w takiej sytuacji zobaczy. Postać w szacie z kapturem, niosącą coś schowanego pod kocem. Ale być wewnątrz budynku to co innego. O ile duch nie jest prawdziwy, będzie musiał zapalić w środku latarkę, żeby cokolwiek widzieć. Przy odrobinie szczęścia Tirill mogłaby dojrzeć twarz mnicha.

W jakiś sposób musi się dostać do kościoła. Najważniejsze to nie zdradzić się z planem przed Fjellangerem.

Detektyw siedział na leżaku przed chatką, na głowie miał granatową czapkę z daszkiem z napisem „Florida” i pisał coś w małym czarnym notatniku. Na dźwięk jej kroków zamknął go i wstał. Robił tak zawsze, kiedy wracała z pracy. Wstawał i ją witał.

– Jak minął dzień? – zapytał.

– W porządku, ale tęsknię za Magnusem – powiedziała, padając na swój leżak.

– Byłem dziś w Dalen – oznajmił Fjellanger. – Spotkałem tam Julię Bergmann, która wyjawiała mi coś, co usłyszała podczas spowiedzi.

– Co? – zdziwiła się Tirill. – Wolno tak?

– No... Raczej nie jest to nielegalne, ale chyba też niezbyt powszechne. Choć co prawda nie zdradziła tożsamości penitentki.

– Co ci powiedziała?

Podczas gdy Fjellanger szczegółowo relacjonował swoją rozmowę z panią pastor, sekretne przekonanie Tirill umacniało się. Ten tak zwany mnich odgrywał kluczową rolę w całej sprawie. Gdyby udało jej się zobaczyć, kto kryje się pod kapturem, oznaczałoby to przełom.

– Najpierw pomyślałem, że opis upuszczania czegoś do wody dowodzi prawdziwości historii – powiedział Fjellanger. – Ponieważ zgadza się z faktem odnalezienia kluczyków samochodowych w innym miejscu. I nadal jestem pewien, że właśnie ten szczegół zgadza się z rzeczywistością. Ale ten duch... Sam nie wiem. Drugi raz w ciągu kilku dni Bergmann mówi nam o mnichu. Najpierw tobie, a teraz mnie. Obawiam się, że w obu przypadkach powodem jest chęć, aby zwabić nas tej nocy pod kościół. Przyczyna może też oczywiście być całkiem inna... Nie wiem, ale nie powinniśmy podejmować takiego ryzyka – stwierdził.

– Zgadzam się. Jeszcze nie oszaleliśmy – powiedziała Tirill.

ROZDZIAŁ 62

JERZYKI Z PRZENIKLIWYM WOŁANIEM pikowały w dół, przecinając błękitne niebo nad kościołem słupowym w Eidsborgu. Intensywne ciepło lata wypychało przez pory drewna smołę, która tworzyła bąbelki na jego powierzchni.

Zbliżała się szósta, ale przed budynkiem nadal stały dwa autokary. Do środka wchodziła grupka lekko ubranych Holendrów, pewnie ostatnich gości tego dnia, podczas gdy turyści, którzy wrócili z kościoła, fotografowali budowlę z zewnątrz.

Niezauważenie wmieszała się między wchodzących. Zaraz po przekroczeniu progu ściszyli głosy. Mrok ciężko spowijał wszystkie zakamarki, a przewodnik zapalił latarkę, żeby mogli cokolwiek zobaczyć.

Tirill miała nadzieję, iż Fjellanger nadal myśli, że pojechała odwiedzić Magnusa i matkę. Wcale mu się to nie podobało. „Nie bez powodu mieszkamy w tej chatce” – powiedział. Doskonale знаła ten powód – troskę o bezpieczeństwo syna – ale musiała skłamać, żeby wykonać to, co właśnie zaczęła. Matkę też okłamała, poza tym wytargowała, że na dzień albo dwa zamienią się samochodami. Nałgała jej, że potrzebuje miejsca, aby zawieźć parę rzeczy do chatki. W rzeczywistości chciała uniknąć rozpoznania swojego auta przez kogoś z tutejszych, gdyby długo stało w pobliżu kościoła.

W ciągu nocy Fjellanger na pewno wszystko zrozumie, ale wtedy będzie już za późno.

W tle słyszała, jak przewodnik opowiada o rekonstrukcji historycznej rytuału Nikulsa:

– *Some people in Eidsborg didn't approve of this modern use of the statue, and the play only took place twice* – wyjaśnił.

Niezmiennie cicho – niewidzialna, podczepiona do holenderskiej grupy – Tirill usiadła w ławce z dala od reszty. Nabrawszy pewności, że nikt jej nie widzi, zsunęła się na ławkę gdzie leżała, nasłuchując. Wydawało się, że nikt nie zauważył jej zniknięcia.

Powoli i bezgłośnie, niczym kot, który łapa za łapą skrada się w kierunku ofiary, zaczęła opuszczać się na podłogę. Mięśnie rąk i nóg jej drżały, ale była w dobrej kondycji. Wkrótce dotknęła chłodnych, szerokich desek posadzki. Leżała tam i słuchała słów przewodnika. Po chwili zaczęła wsuwać się, centymetr za centymetrem, pod ławkę, aż ukryła się w niemal całkowitej ciemności kościoła.

Oby tylko nikt nie zauważył przy wychodzeniu, że brakuje jednej osoby. Minęło kilka długich minut – Tirill nie śmiała prawie oddychać we wnętrzu o tak dobrej akustyce – ale wreszcie przewodnik zakończył i usłyszała szuranie licznych, powoli poruszających się stóp.

Kiedy wyszli z kościoła, nie mogła mieć pewności, że przewodnik nie został w środku. Może musiał coś tu jeszcze załatwić, skoro oprowadził ostatnią grupę tego dnia. Tirill nasłuchiwała kroków na starych deskach, ale nie dochodził jej żaden dźwięk.

Po kilku minutach zaczęła zastanawiać się, czy to właściwie był dobry pomysł. Po zamknięciu drzwi na klucz będzie mogła stąd wyjść dopiero, kiedy otworzą je następnego dnia. Pierwszą grupę wpuszczano o dziesiątej.

Zanim jednak dokończyła myśl, usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku – ten dźwięk nasunął jej skojarzenia z ciemnymi lochami w starych filmach.

Z obawy, że ktoś wróci, aby posprzątać, odważyła się wychynąć dopiero po upływie dwóch godzin.

Chociaż do zachodu słońca zostało jeszcze sporo czasu, ciemność sprawiała, że z trudem dostrzegała detale w wielu częściach pomieszczenia. Dlatego zaczęła od poszukiwań włączników światła, jednak niedługo później uświadomiła sobie, że ich tu nie znajdzie. Oczywiście. Przewodnik używał przecież latarki.

To będzie bardzo ciemna noc.

I długa. Zwłaszcza, jeżeli nic się nie wydarzy.

Podeszła do Nikulsa, stojącego na niewielkim postumencie wystającym ze ściany. Oświetliła go latareczką, którą z sobą wzięła. Złota broda lśniła. Mitra rzucała wysoki cień na ścianę za figurą. Czy

właśnie ją Knut Abrahamsen widział przez chwilę w samochodzie komendanta?

Tirill wyciągnęła rękę i dotknęła posągu. Był śliski, wręcz tłusty, jakby od dotykania przez wielu pełnych nadziei ludzi. Kiedy przestała oświetlać świętego, na powrót zniknął w półmroku i widziała tylko jego zarys.

W której części kościoła najlepiej było przebywać, gdyby coś miało się wydarzyć? Na pewno gdzieś, gdzie będzie ukryta, jednocześnie mogąc obserwować, co się dzieje. Istniało chyba tylko jedno takie miejsce.

Wspięła się po schodkach prowadzących na ambonę i odkryła, że w kościele znajduje się co najmniej jedna lampa elektryczna. Dzięki niej pastor mogła czytać kazanie.

Tirill ją włączyła. Światło padło półkolem na otwartą Biblię.

– Lecz Pan wyznaczył wielką rybę, aby połknęła Jonasza – przeczytała cicho. – I był Jonasz we wnętrznościach ryby trzy dni i trzy noce^[1].

Zamknięta w prastarym budynku sama czuła się jak we wnętrznościach ryby. Nagle przypomniała sobie słowa Gunsteina Lioma o tym, że olbrzymie pstrągi z jeziora Bandak i rzeki Tokke stanowią odrębny szczep, pochodzący od troci, które zostały odcięte od morza po roztopieniu lodów i wypiętrzeniu ładu. Ryby sprzed zlodowacenia.

Niżej na tej samej stronie przeczytała: „Ci, którzy trzymają się marnych bożyszczy, opuszczają swojego Miłościwego”^[2].

Co miał oznaczać ten cytat? Chodziło o miłosierdzie? Czy właśnie to stało się z ludźmi, którzy po kryjomu czcili Nikulsa? Zostali pozbawieni miłosierdzia Boga?

Wyłączyła lampkę i usiadła na podłodze ambony. Zakładała, że coś wydarzy się najwcześniej po północy. To wtedy Julia Bergmann widziała mnicha i wtedy, zdaniem starszej pani, postać na moście upuściła coś do rzeki Tokke. Czas między drugą a czwartą w nocy jest najlepszy dla tych, którzy chcą zrobić coś niepostrzeżenie. Wtedy na ogół wszyscy inni śpią.

O ile w ogóle ktoś przyjdzie. Może będzie musiała czekać w pustym, cichym kościele, aż pierwsza grupa turystów zjawi się nazajutrz o dziesiątej.

Za czternaście godzin.

Siedziała tak przez blisko godzinę, ale w końcu uświadomiła sobie, że nie ma sensu spędzać tam całej nocy. Ambona była zbyt ciasna. Bolały ją kolana i plecy. Poczuła się zmęczona, a w tym miejscu nie dało się odpocząć.

Tirill zeszła z kazalnicy. Na dworze nadal świeciło słońce, ale w kościele znajdowały się tylko dwa nieduże okna wysoko na południowej ścianie nawy oraz jedno nieco większe w prezbiterium, przez które blade światło padało na ołtarz. Nawę, gdzie zbierali się wierni, spowijała niemal całkowita ciemność. Żeby coś widzieć, musiała pomagać sobie latarką. Namalowane postacie gapily się ze ścian w pustkę. Kobiety i mężczyźni. Niektórzy konno. Stroje i fryzury przywoływały Tirill na myśl średniowieczne ballady.

Snop światła padł na skromny szary krucyfiks nad wejściem do prezbiterium, który – jak wiedziała – dorównywał wiekiem budynkowi. Myśl o ludziach, którzy go oglądali przez ostatnie siedemset pięćdziesiąt lat, napęliła ją niewyjaśnionym lękiem.

Ich spojrzenia. Nadzieja. Strach. Wszystko to jakby dalej żyło w starym krucyfiksie.

Ławki były zbyt wąskie, aby w nich odpocząć. Tirill uznała, że najlepszą opcją będzie podłoga, więc położyła się w przejściu. Na starych, szorstkich deskach podłogi dało się całkiem znośnie leżeć. Przez chwilę rozważała nawet, czy nie zdjąć kurtki i nie użyć jej jako poduszki, ale bała się, że będzie jej zimno. Już lepiej pobrudzić włosy. Poza tym nie mogło być zbyt wygodnie – nie wolno jej było zasnąć.

ROZDZIAŁ 63

PO PRZEBUDZENIU z początku nie pojmowała, gdzie jest; wiedziała tylko, że nie w domu, ponieważ pachniało inaczej, a podłoże było twarde i zimne. Gdy sobie przypomniała, zdjęła ją panika. Usiadła i gorączkowo szukała po omacku latarki, ale bez skutku. Wokół panowała całkowita ciemność.

Z kieszeni spodni udało jej się wydobyć komórkę.

Było po drugiej! W słabym świetle telefonu znalazła latarkę, którą zapaliła, a następnie zupełnie wyłączyła telefon. Z latarką w ręku weszła po wąskich schodkach na ambonę, gdzie zwykła przebywać tylko pani pastor.

Coś zbliżyło się do niej z impetem. Kawalek czarnej nocy musnął jej twarz niczym podmuch wiatru i zniknął.

Nietoperz.

Może za dnia cała ich kolonia zwisała głowami w dół z belek pod sufitem, a po nadejściu nocy wszystkie fruwały po kościele. Trzepotały skrzydłami nad rzędami ławek. Nad ołtarzem i chrzcielnicą. Koło głowy posągu świętego. Wlatywały i wylatywały przez niewielkie otwory w dachu krytym gontem. Nocny taniec, którego nikt nie widział.

Nagle lawina nietoperzy ruszyła spod belek pod sufitem, zwierzęta zaczęły krążyć bezładnie po wnętrzu.

– Nie, nie, nie... – jęknęła Tirill, zasłaniając głowę rękami.

Wtedy zwróciła uwagę na dźwięk. Ktoś otwierał drzwi kościoła. W solidnym zamku zgrzytało i chrobotąło. Nagle serce zaczęło jej bić tak szybko, że aż ogarnęły ją mdłości.

Wyłączyła latarkę i pochyliła głowę, aby się schować. Drzwi kościoła otwierały się wolno, ze skrzypieniem, które zdawało się równie stare jak sam budynek. Przez chwilę trwała cisza, jak gdyby ktoś stał w wejściu i nasłuchiwał. Następnie ciężkie drzwi zamknęły się z tym samym przeciągłym dźwiękiem.

Skulona na podłodze ambony zauważyła jednak, że zapalono latarkę. Ostrożnie, jakby każdym ruchem mogła spowodować wybuch, wychyliła głowę nad krawędź swojej kryjówki.

Poniżej stała szara postać w szacie ze spiczastym kapturem, a jej twarz spowijała ciemność.

Mnich.

W przeciwieństwie do większości duchów trzymał w ręku latarkę, a pod jego stopami skrzypiała podłoga.

Spodziewała się, że mnich stanie tuż przy drzwiach, tam, gdzie wisiał Nikuls, ale on szedł już przejściem. Tirill znów się schyliła, w obawie, że zostanie zauważona, chociaż szanse na to były niewielkie, dopóki nie świecił prosto na nią. Próbowwała oddychać najciszej jak to możliwe, lecz miała wrażenie, że dźwięk jej oddechu wypełnia cały kościółek.

Co gorsza, kroki zatrzymały się zaledwie kilka metrów od niej.

Przez krótką chwilę panowała zupełna cisza, po czym od ścian pustego kościoła odbił się ostry, metaliczny szczęk. Parę sekund później rozległo się podobne zgrzytnięcie. I jeszcze dwa. Następnie na podłogę spadło coś ciężkiego i twardego. Ławka? Tirill nie mogła się powstrzymać, więc znów ostrożnie wyjrzała znad krawędzi kazalnicy. W kościele panował całkowity mrok, z wyjątkiem niedużego miejsca poniżej ambony, gdzie postać w szacie oświetlała latarką podłogę. Gdy Tirill zrozumiała, co się stało, niemal wydała okrzyk przerażenia. Mnich usunął jedną z szerokich desek podłogi. Odrzucił ją na bok. Właśnie to usłyszała. Teraz oświetlał powstały otwór. Nie wydawał się wystraszony ani czujny. Cała postać miała w sobie pewien spokój, jak gdyby była u siebie w domu. Tirill pomyślała, że mnich musiał robić to już wiele razy wcześniej.

Starając się oddychać jak najciszej, przyglądała się, jak mężczyzna w szacie wchodzi w otwór w podłodze. Wyglądało, jakby siadał. Widać było jedynie jego ramiona i zakapturzoną głowę. Po chwili zniknął.

Czyżby zamierzał leżeć pod kościelną podłogą jak ukryty wampir w oczekiwaniu na wschód słońca? Wkrótce znów zobaczyła ruch. Nie miała jednak odwagi dalej patrzeć, ponieważ światło latarki

zostało skierowane niemal prosto w górę, więc mogło omieść jej głowę wystającą nad brzegu ambony.

Dopiero gdy usłyszała, że deskę odłożono na miejsce, zaryzykowała i znowu wyjrzała. Człowiek w szacie klęczał, wsuwając podłużne narzędzie w szczelinę między deskami. Manipulował nim, aż dał się słyszeć głośny szcęk. Następnie przeniósł się w inne miejsce, gdzie powtórzył operację. Wyglądało to na swego rodzaju zamek, otwierany za pomocą dziwnego klucza, co najmniej półmetrowej długości.

Jednak nie z tego powodu serce Tirill zabiło jeszcze szybciej. Sprawiał to przedmiot stojący obok mężczyzny. Miał około metra wysokości i przypominał ludzką postać, jednak w półmroku nie było widać szczegółów.

Skończywszy montować deskę, mnich wyjął koc, który musiał trzymać pod szatą, i zarzucił go na przedmiot. Jednak zanim koc opadł, promień światła musnął stojącą tam rzecz. Tirill zobaczyła ciemny drewniany posąg o dziwnej spiczastej głowie, który po chwili zniknął pod przykryciem.

Duch z kościoła słupowego w Eidsborgu uczynił teraz to, co miał w zwyczaju. Podniósł posąg zawinięty w koc i wyniósł go na dwór. Kiedy Tirill usłyszała zgrzyt zamykanych drzwi, osunęła się na podłogę ambony. Wypuściła powietrze, jak gdyby wstrzymywała oddech przez cały czas obecności mnicha.

Ale niedługo później zeszła z kazalnicy i zaczęła badać deski podłogi. Choć dokładnie im się przyglądała, oświetlając szczeliny latarką, nie była w stanie zauważyć nic niezwykłego.

Znalazła za to swój medalion, który zawsze nosiła na szyi. Łańcuszek zerwał się i musiał spaść na ziemię, gdy spała. Tirill otworzyła medalion i pogłaskała opuszkiem palca kosmyk włosów synka.

Następnie włączyła telefon i napisała krótką wiadomość do Fjellangera.

ROZDZIAŁ 64

MAX STAŁ za grupą Niemców czekających na wejście do kościoła. Jednak najpierw z oprowadzania musieli wrócić pierwsi tego dnia turyści. Właśnie usłyszał, jak przewodnik dziękuje uczestnikom po niemiecku. Wyszli. Wśród nich ujrzał niesamowicie potargane włosy Tirill. „Nieźle osiągnięcie, wmieszać się w tłum z taką fryzurą” – pomyślał.

Zmrużyła oczy na słońcu, jak gdyby wychynęła z podziemi, i zwróciła na niego uwagę. Już szykował się, żeby rzucić zabawny komentarz i w ten sposób wyraźnie zasygnalizować, że się nie gniewa. Jasne, że się nie gniewał. Oczywiście ogromnie zaryzykowała, ale ryzyko bardzo się opłacało.

Uśmiechnął się przyjaźnie, kiedy do niego podeszła.

– Wyglądasz jak jakaś...

– Muszę siku! – ucięła Tirill i minęła go szybkim krokiem.

Max odwrócił się za nią. W połowie drogi między kościołem a muzeum zaczęła biec.

Kiedy kilka minut później wróciła, była już w lepszym humorze i zdążyła też zrobić coś z włosami. Wyglądały bardziej normalnie. Czyli jak wielka, misterna fryzura po eksplozji. Nawet z podbitym okiem i siedmioma czarnymi szwami nad lewą brwią wyglądała dobrze. Pełna energii i gotowa stawić czoło przygodzie.

Ponieważ mieli dwa samochody i musieli jechać oddzielnie do Bø, chwilę rozmawiali przed wyruszeniem w drogę.

– Jak myślisz, co to było? – zapytał, chociaż to samo pytanie zadał już kilka godzin wcześniej przez telefon.

I otrzymał tę samą odpowiedź:

– Bożek.

– Bóstwo domowe? – dążył.

– Nie wiem, ale to dziwne, że ktoś przechowuje je w kościele.

– Dziwne, obojętnie jaki to bożek. O ile to bożek – dodał.

– W każdym razie ten mały czort był nie z tego świata. Tyle zdążyłam zauważyć.

Wieczorem siedzieli w chatce, studiując swoje kopie pracy Petera Schrama.

Na stole leżał pistolet, który Tycho Abrahamsen wziął do Dalen, a który Max później skonfiskował. Pierwotnie musiał należeć do Knuta. Pewnie dlatego detektyw tak intensywnie odczuwał obecność pistoletu. Prawie jakby był żywą istotą. Jakby reprezentował zabitego przyjaciela przy stole.

Max czytał po raz kolejny o pojęciu *genius loci*. Duch miejsca. Opis w dużej mierze przypominał książki Henrika Thuego, ale jedno różniło Schrama i profesora: podczas gdy Thue jedynie sugerował możliwość istnienia wcześniejszego kultu płodności nad Eidsborgtjørni, w rozprawie doktorskiej Schrama miał on odgrywać kluczową rolę. Młody badacz uważał, że Nikuls nie tylko z czasem stał się *genius loci*, ale był nim od samego początku, ponieważ został włączony jako nowy element ugruntowanej tradycji. Mężowie kościoła pozwolili na dalsze odprawianie rytuału pod cienką fasadą chrześcijaństwa, zamiast uznać swoją przegraną w walce z tym, co dawne. Umieli się dostosować.

„Co właściwie takiego Tirill widziała w nocy?” – zastanawiał się. – „Jaki to posąg ukrywano pod podłogą starego kościoła?”

Kiedy czytali, zaczęło się ściemniać, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Max po raz pierwszy czuł, że zbliżył się do młodego naukowca, który zaginął dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Nie miał takiego wrażenia nawet po spotkaniu z wdową. Chociaż rękopis wydawał się nieco chaotyczny, zainteresowanie Schrama tematem było widoczne w każdym zdaniu. Świadczyło to nie tylko o oddaniu nauce, lecz o specyficznym sposobie postrzegania świata – wszechstronnym, nieuznającym zwykłych granic spojrzeniu, gdzie z każdego szczegółu wynikała szersza perspektywa, i odwrotnie. Za przykład mógł służyć związek, jaki Schram dostrzegł między pewną relacją rzymskiego historyka Tacyta a głęboką miłością, którą chłopci z Eidsborga darzyli Nikulsa. Tacyt opisuje, w jaki sposób plemiona na dalekiej północy Europy czciły boginię zwaną Nerthus. Historyk opowiada między innymi o rytuale polegającym na procesji kapłanów z wizerunkiem bogini,

który następnie zanurzano w wodzie i myto, podobnie jak wózek, na którym przewożono obraz oraz tkaninę, w którą był on zawinięty.

Schram twierdził, że relacja Tacyta może wyjaśnić osobliwe zjawisko obmywania posągu, takiego jak Nikuls, poprzez zanurzanie go w wodach Eidsborgtjørni. Obrzęd zupełnie niespotykany w przypadku wizerunków świętych.

Nerthus była boginią płodności, pisał dalej Schram, prawie na pewno wczesną poprzedniczką nordyckiego boga Njorda, który co prawda miał postać mężczyzny, ale posiadał wiele podobnych cech. Z czasem Njorda wyparł jego syn Frej – jedno z najpopularniejszych bóstw epoki wikingów – również odpowiadający za płodność.

– Ciekawe rzeczy – odezwał się do Tirill, tak samo zatopionej w lekturze. – Zostawiamy zakupy na stole?

– Nie możesz się tym zająć? – mruknęła bez cienia zainteresowania.

Max wstał, rozprostował sztywne ciało i zaczął wkładać do lodówki mleko, sok, jajka, produkty do zrobienia kanapek i owoce. Na końcu w torbie zostały jedynie tampony.

– A to?

– Chyba do łazienki – rzuciła, po czym wróciła do czytania.

Kiedy Max odłożył opakowanie tamponów na półkę w łazience, wyszedł na dwór do Tirill.

– Wiesz coś o Njordzie i Freju? – zapytał.

Bibliotekarka przerwała lekturę i spojrzała na kolegę.

– Bogowie płodności. Ojciec i syn, jeżeli dobrze pamiętam. Ale poczekaj, sprawdzę.

Usiadł obok niej i obserwował, jak wyszukuje w sieci genealogię bogów nordyckich.

– Jako boga płodności Freja wyobrażano w postaci fallicznej – przeczytała. – Śpiewy i czynności wykonywane podczas ceremonii ku jego czci raziły wczesnych chrześcijan, którzy potępiali kult jako nieprzyzwoity. Kult płodności był związany ze śmiercią i krwią, w jego ramach odbywano też rytualne stosunki płciowe o charakterze mistycznym. Imię Frej oznacza Pana...

Zamilkła i spojrzała na Maksa.

– Czytaj dalej...

– W świecie zwierząt Freja kojarzy się ze świnia, ponieważ wieprz Slidrugtanne ciągnął jego powóz. Powszechne miało być... składanie w ofierze Frejowi świńskich łbów.

Ostatnie słowa wypowiedziała niemal bezgłośnie, lecz Max mimo to je usłyszał.

W tej samej chwili nagły podmuch wiatru porwał firanki w oknie i wypełnił chatkę świeżym zapachem leśnej ściółki.

– Lękajcie się Pana – szepnęła Tirill.

ROZDZIAŁ 65

JEDEN DZIEŃ do wigilii świętego Jana.

Nikt nie przygotował jej na to, w czym miała wziąć udział kolejnej nocy. Jednocześnie czuła, że całe jej życie było jednym długim przygotowaniem. Wszystkie wieczory spędzone na tylnym siedzeniu samochodu jeżdżącego w tę i z powrotem po Bøgata, gdy próbowała upodobnić się do tych, którzy nigdy nie zastanawiali się nad granicami istnienia. Wrażenie, że w szkole jest niewidzialna, a jednocześnie zawsze pod ostrzałem spojrzeń. Marzenia pod kołdrą o pokonaniu prędkości dźwięku w myśliwcu lecącym nad Bø, z hukiem tłukącym szyby naraz we wszystkich domach i autach jej kolegów. Albo o byciu zielonooką skrzypaczką, potrafiącą z czarować każdego chłopaka, jakiego tylko zapragnie, i swoją grą skusić ich wszystkich, by jeden za drugim weszli do wodospadu, gdzie ona czekała na nich jak w cieplej kąpieli.

Wszystko to było przygotowaniem do niesamowitego, przelomowego zdarzenia, które miało wkrótce nastąpić. Usiadła wygodniej na podłodze i delikatnie pogłaskała chłopca po miękkich włosach. Babcia musiała je dzisiaj umyć. Może nie protestował tak mocno, jak kiedy robiła to sama.

Wychowywanie Magnusa było najważniejszym przygotowaniem ze wszystkich. Tirill czuła, jak nieposkromiona wola powstała w niej niczym smok ziejący ogniem na tych, którzy chcieli odebrać jej życie. Smok zionął też ogniem dla Magnusa, bo jego własny gadzi obrońca mógł powstać dopiero za wiele lat.

– Twoja mama nie jest z tych, co się wycofują – szepnęła jak najciszej, żeby na pewno go nie obudzić.

Następnie wyszła ze swojego starego pokoju.

Matka stała w korytarzu ze zrezygnowaną miną.

– Nie mam pojęcia, gdzie podział się klucz do drzwi wejściowych – powiedziała.

– Nie leży jak zwykle na półce?

– Nie leży, ale wiem, że parę godzin temu tam był. Potem go nie ruszałam.

– Nie masz zapasowego?

– Mam, mam...

Tirill wzruszyła ramionami.

– Magnus śpi – powiedziała. – Muszę na chwilę wyjść.

Dom rodzinny znajdował się w pobliżu jej mieszkania, gdzie może powinna była zajrzeć, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie miała na to ochoty. Poszła więc w przeciwnym kierunku, w stronę centrum. Gdy przechodziła przez most nad torami kolejowymi, z łoskotem przejechał pociąg towarowy, sprawiając, że konstrukcja mostu zadrżała pod jej sandałami. Tirill oparła się o barierkę i spojrzała w dół, gdzie zniknął wagon za wagonem, aż nagle skończyły się i został tylko nieruchomy tor.

Trzech nastolatków siedziało na sfatygowanym stole przed budką z fastfoodem, wymyślając pewnie jakieś świństwa. Wiedziała, kim jest jeden z nich. Jego ojciec też był taki – większość wypowiedzi ludzi rozumiał jako wypowiedzenie wojny. Zapewne się nie zmienił. Synek posłał Tirill zimne spojrzenie i splunął w jej stronę.

Ileż to dziwnych rzeczy można odziedziczyć.

Doszła aż do dwóch kościołów, gdzie odnalazła nagrobek praprababki. Przeczytała nazwisko i daty. Tak młodo umarła. Ale zdążyła mieć co najmniej jedno dziecko – pradiadka Tirill. Tyle było potrzeba, aby Tirill mogła stać tutaj tego wieczoru.

Kobieta, po której już dawno zostały kości i proch w mroku pod ziemią, była do niej niezwykle podobna. Choć nie mogła o tym wiedzieć, w lustrze widziała twarz Tirill. A ilekroć Tirill przeglądała się w lustrze, widziała swą praprababkę. Twarz podróżującą w czasie. W końcu Tirill też tutaj spocznie, zaledwie kilka metrów od praprababki. Co stanie się wtedy z ich twarzą? Czy jakaś młodsza krewna na widok zdjęcia Tirill Vesterli poczuje się, jakby już kiedyś żyła?

Wstała i popatrzyła na rodzinne miasteczko – zawiła sieć linii łączących żywych i umarłych.

ROZDZIAŁ 66

WIGILIA ŚWIĘTEGO JANA. Nieduży pagórek tuż koło mokradła stanowił naturalny punkt obserwacyjny. Ze szczytu roztaczał się niemal nieograniczony widok na krąg i źródło. Działo to jednak w obie strony, a nie można było wykluczyć, że ktoś w dole podniesie wzrok i ich zauważy. Dlatego Max udał się z siekierą głębiej za linię drzew, gdzie zaczął rąbać niewysoką sosnę. Kiedy przeciągnął ją nad krawędź wzniesienia, wrócił i ściał również brzozę. Zasłonięci dwoma niedużymi drzewkami zyskali dobre warunki do obserwacji.

Na górcie panowało przyjemne ciepło, ale po zachodzie słońca spodziewali się szybkiego ochłodzenia, zamierzali więc wtedy skorzystać z mat.

– Wycisz telefon – poprosił.

– Lepiej całkiem wyłączyć – stwierdziła Tirill. – Nigdy nic nie wiadomo.

– Okej, rozsądna uwaga.

Gdy tylko to zrobili, otaczająca ich cisza jeszcze się pogłębiła.

Słońce zbliżało się do wzgórz na zachodzie, zalewając krajobraz ostatnim, miękkim światłem, w którym ostro wyróżniały się drobinki pyłu i małe owady wypełniające leśne powietrze.

Na Florydzie ciemność – granatowa, rozbrzmiewająca śpiewem cykad – zapadała krótko po zachodzie słońca, niczym kaptur narzucony na świat. Tutaj następowało to niepostrzeżenie. Nawet po zniknięciu słonecznej tarczy pod horyzontem było jasno jak w dzień.

Prawie.

Coś zmąciło światło. Szarość unosząca się z podłoża, sącząca się z pni drzew i kamieni. Zielona trawa mokradła straciła swój srebrzysty połysk, zmatowiała, nabrała wręcz koloru słomy. Samo źródło – okrągłe oczko wodne – było tak samo czarne jak wcześniej. Płaski kamień jeszcze bardziej poszarzał.

Tirill ziewnęła i zerknęła na zegarek, który musiała pożyczyć od matki. Na co dzień wystarczała jej komórka.

– Dziesięć po dziesiątej – powiedziała. – Powinniśmy chyba na zmianę pełnić wartę?

– Racja. Jak często będziemy się zmieniać? – zapytał Max.

– Co parę godzin, żeby mieć czas na sen.

– Sen? – zdziwił się.

– Trzeba spróbować – odparła Tirill. – Będziesz czuwał pierwszy? Ja jestem zmęczona już teraz.

– W porządku. Zmienisz mnie koło północy.

Obserwował bagno. Czy już to kiedyś robił? Nie, to był zdecydowanie pierwszy raz. Bagna nie obfitowały zwykle w ciekawe wydarzenia, nie wymagały więc tego, by im się przypatrywać.

Nie tak wyobrażał sobie życie przed emeryturą. W myślach widział raczej mały antykwariat na wyspach Florida Keys, gdzie pijałby z Ann wino do lunchu, ciesząc się na myśl o latach, które mieli jeszcze przed sobą.

Siedział za to w głębi lasu gdzieś w Telemarku i obserwował bagno w towarzystwie śpiącej obok dziwnej kobiety.

Czy ktoś się w ogóle pojawi? „Nie” – pomyślał. W jakież to szalony sen wpakował się na jawie? Sen, w którym ze śmiertelną powagą wierzył, że ktoś czci zapomnianego od tysiącleci bożka? Gdzie podziela się jego zdolność krytycznego myślenia? Gdzie prawda, która wskazywała mu drogę?

Ale przecież to za nią podązał! No i oboje z Tirill myśleli krytycznie, kierowali się logiką.

A jednak wylądowali tutaj.

W ciągu dwóch godzin nic się nie wydarzyło, jedynie szarość coraz mocniej sączyła się z ziemi, kamieni i pni drzew. Koło północy zaczęło to przypominać ciemność, która nadal nie była jednak nieprzenikniona. Max nadal rozróżniał mokradło na tle lasu.

– Tirill? – szepnął.

Od razu się odwróciła – może wcale nie zasnęła.

– Moja kolej?

– Tak.

Szeptali najciszej jak umieli, jakby ktoś mógł podsłuchiwać ich zza pni drzew.

– Obudzę cię za dwie godziny – powiedziała.

Kiedy szeptała mu do ucha, najpierw pomyślał, że to Ann zapomniała kluczy i stoi przed ich domem w Sarasocie, niecierpliwie przyciskając dzwonek. Śniła mu się, a teraz usiadł, czując w sobie pustkę wywołaną jej brakiem.

Nie ściemniło się dużo bardziej. Nasłuchiwał głosów. Trzasku gałęzi. Ale nic nie mąciło ciszy, nawet żaby czy nocne owady, do których był przyzwyczajony.

Po dłuższej chwili pozwolił sobie zerknąć na zegarek. Niedługo później zauważył, że zaczyna jaśnieć. Najkrótsza noc w roku już przechodziła w dzień.

Dźwięk!

Dźwięk w głuchej leśnej ciszy – tak krótki, że nie odgadł, co go wywołało. Może ruch.

Słuchał, wstrzymując oddech.

Po czym wyraźnie usłyszał męski głos.

ROZDZIAŁ 67

NA WSZELKI WYPADEK zasłonił Tirill usta, kiedy mówił jej szeptem na ucho:

– Ktoś idzie.

Nie odezwała się, tylko zmieniła pozycję i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

Max położył się obok, tak że oboje schowali się za ściętymi drzewkami. Chwycił aparat i znalazł między gałęziami odpowiednie miejsce, gdzie mógł wetknąć teleobiektyw. Regulując ustawienia wizjera, żeby uzyskać jak najostrzejszy obraz mokradała, znów usłyszał, jak ktoś mówi. Tym razem również mężczyzna. Bliżej.

Może ktoś tylko przechodził obok? Bawił się w noc świętojańską w pobliskim domku letniskowym – albo na dworze – a teraz, nad ranem, wracał do domu.

Pięć palców Tirill wpiło się nagle w jego ramię, więc zerknął znad aparatu. Z początku nic nie zobaczył, ale Tirill spojrzeniem pokazała mu, w którą stronę ma patrzeć.

Wtedy dostrzegł ich między pniami sosen. Cztery osoby idące w stronę mokradała i źródła. W długich szarych pelerynach, ze spiczastymi kapturami mocno zakrywającymi głowy, wyglądali, jakby przybyli prosto z przeszłości. Osoba na czele trzymała pod pachą coś zawiniętego w koc. Na podstawie kształtu nie dało się stwierdzić co. Inny człowiek niósł plecak, również zakryty kocem. Musiał trochę ważyć, bo sporo wystawał znad jego głowy. Jeden z nich przerzucił też przez ramię duży czarny worek na śmieci.

Max poczuł, że musi uszczypnąć się w rękę, ale Tirill już to za niego zrobiła. Jej palce nadal wbijały mu się w ramię. Skoro go bolało, na pewno nie śnił.

Dochodziła trzecia. O tej porze prawie wszyscy śpią. Idealny moment na załatwianie potajemnych spraw.

Znów przytknął światłoczuły aparat do oka, aby odszukać ich przez wizjer. Przesuwał wzrokiem po czarnych jak smoła zaroślach i niewyraźnych kamieniach, aż wreszcie odnalazł cztery szare postacie powoli, choć zdecydowanie posuwające się naprzód. Jak gdyby robiły coś ważnego, lecz niewymagającego pośpiechu.

Człowiek na czele zatrzymał się i odstawił przedmiot niesiony pod pachą, wciąż zawinięty w koc. Powiedział coś do pozostałych, ale nie dało się rozróżnić słów. Następnie wyjął zawartość czarnego worka na śmieci i oparł ją na ramieniu, po czym wszedł na mokradało, zostawiając tamtych troje. Nagle Max zorientował się, co takiego niesie. Przez teleobiektyw wyraźnie widział płaski ryj i duże uszy. Ponieważ twarz postaci częściowo skrywał kaptur, wyglądała niemal jak świnia idąca na dwóch nogach. Max zrobił głęboki wdech i wcisnął przycisk wyzwalacza. Miał wrażenie, że cyknięcie w głuchej ciszy zabrzmiało jak huk wystrzału, ale mężczyzna spokojnie szedł dalej w stronę źródła.

Na miejscu ułożył świński łeb na płaskim kamieniu.

Ołtarz!

Tirill ostrożnie ujęła aparat, więc Max go jej podał.

Troje pozostałych usiadło wśród wrzosów między pniami sosen. Nie dało się określić ich płci, ponieważ luźne szaty ukrywały wszelkie kształty, a kaptury zasłaniały twarze.

Postać na bagnie wyprostowała się i chwilę stała przed świńskim łbem. Następnie odwróciła się i poszła do swoich kompanów. Człowiek poruszał się w ten sam sposób co wcześniej. Niespiesznie, lecz zdecydowanie. Max uznał, że to mężczyzna.

Wróciwszy do tamtych trojga, zdarł koc z przedmiotu, który niósł wcześniej pod pachą.

Nawet bez teleobiektywu Max widział co to. Ciemny posąg, zapewne drewniany, przedstawiający mężczyznę siedzącego po turecku. Głowa wydawała się niezwykle wysoka i spiczasta, jakby miał na niej stożkowaty kapelusz lub hełm. Bez wątpienia to tę figurę Tirill zobaczyła w kościele. A Knut przelotnie w bagażniku samochodu komendanta. Nie było też wątpiwości, że to męski bożek – erekcję widzieli nawet z daleka.

– Jasny gwint... – odezwała się cicho Tirill.

– Ten sam, który widziałas w kościele?

– Tak.

– Daj mi aparat...

Niechętnie pozbyła się możliwości oglądania powiększonego obrazu, za to Max znowu mógł z niej skorzystać.

Mężczyzna podniósł posąg i zaczął iść, trzymając go przed sobą na wysokości pasa. Troje pozostałych ruszyło za nim, z rękami na ramionach poprzedzającej osoby. Szli powoli, spokojnie, z godnością.

– Obchodzą krąg – szepnęła Tirill.

Wreszcie zobaczyli na własne oczy, w jaki sposób powstała Obrączka Diabła. Właśnie tej odpowiedzi poszukiwali Peter Schram i Cecilie Wiborg.

Prawdopodobnie sami też ją znaleźli. „I musieli zapłacić za to życiem” – pomyślał ponuro Max.

Idąc przez wąskie bagno, postacie w pelerynach zaintonowały pieśń. Słów nie dało się dosłyszeć, ale ton brzmiał obco, jakby pochodził z innego świata. Prawdopodobnie tak właśnie było. Śpiewane przez nich słowa musiały pamiętać czasy, gdy ludzie chowali swoich bliskich w kurhanach, a u wybrzeży pływały wikińskie łodzie.

Fjellanger na chwilę zapomniał o fotografowaniu, lecz gdy zgromadzeni zawrócili w stronę mokradła, zrobił kilka nowych zdjęć. Po pierwszym okrążeniu szli dalej w ten sam sposób, ale ich śpiew się zmienił. Może z każdą rundą pieśń zyskiwała nowe elementy. Maksowi zdawało się, że w chórze słyszy kobiecy głos. Po chwili intensywnego nasłuchiwania nabrał pewności, że grupa składa się z trzech mężczyzn i jednej kobiety.

Człowiek na czele całej grupy niósł przed sobą ciemny posąg. Fallus i świński łeb sugerowały, że jest to wizerunek Freja.

Max usiłował rozpoznać w głosach coś znajomego, ale przez samą obcość pieśni trudno było mu je umiejscowić w znanym mu świecie.

Nad pagórkami na zachodzie rozżarzyło się wschodzące słońce. Jakby w odpowiedzi znad mokradła zaczęła się unosić mgła. Szaty tych w dole musiały być mokre u dołu i ciężkie. Nadal śpiewali tę samą monotonną pieśń. Wciąż nowe zwrotki. Max przypomniał sobie nagranie z rekonstrukcji rytuału Nikulsa. W obu przypadkach drewniany posąg noszono dookoła zbiornika wodnego. W obu przypadkach rozbrzmiewały monotonne śpiewy. Nie było śladu pompy i przepychu, tak typowych dla Kościoła katolickiego. Żadnych kadzideł ani kolorowych strojów. Tylko peleryny, szare jak skała, oraz śpiew, który brzmiał, jak gdyby powstał z zapachu zimnego bagna i pierwszego światła muskającego czubki sosnowych koron.

Język przypominał mu islandzki.

Kiedy pierwsze promienie słońca dotarły do źródła, a woda zamigotała, przestali śpiewać. Zamienili ze sobą kilka słów, ale nie dało się usłyszeć, co powiedzieli, ponieważ znajdowali się po drugiej stronie mokradła, między kępami wrzosów. Nadal trzymając wizerunek bóstwa, przewodnik udał się na bagno. Tam do połowy zanurzył posąg w wodzie i zaczął go polewać. Trwało to minutę, po czym wyjął figurę z wody, odstawił ją i wrócił do trójki pozostałych.

Widok ciemnego drewnianego bożka wystającego z trawy, spowitego poranną mgłą, oraz świńskiego łba leżącego obok na kamieniu, przyprawiał Maksa o mdłości, ale wzbudzał też jego podziw. Mdłości odczuwał na myśl, że ta dziwaczna maskarada ma związek ze śmiercią Knuta. Oraz Petera Schrama i Cecilie Wiborg. Tak musiało być. Podziw budził za to tysiącletni wizerunek bóstwa. I niepojęty fakt, że rytuał przetrwał po dzień dzisiejszy.

Po drugiej stronie bagna czwórka zbliżyła do siebie zakapturzone głowy. Zdawali się pochłonięci cichą rozmową.

Po chwili jedno z nich podeszło do wizerunku bóstwa koło źródła. Tam mężczyzna się zatrzymał. A może to była kobieta? Nie dało się tego określić. Szara postać stała zwrócona plecami do Maksa i Tirill. Powoli uniosła wyprostowane ręce, ustawiając je jak wskazówki zegara na godzinie drugiej i dziesiątej.

Wykonała szybki gest prawą dłonią i nagle rozległo się wyraźne dzwonienie. Max przypomniał

sobie dzwoneczek przymocowany do pierścienia, który wyglądał na przeznaczony do noszenia na palcu. Leżał w szufladzie w jej gabinecie tej nocy, kiedy się kochali. To Åse Enger Thue musiała tam stać, ubrana w szarą pelerynę zakrywającą twarz.

Max usłyszał w myślach jej zrozpaczony głos: *Nigdy w życiu nie czułam się tak wykorzystana!* Ale to ona cały czas go wykorzystywała. Pewnie od samego początku wiedziała, kim jest. Chciała go do siebie przywiązać, żeby w ten sposób wydobyć informacje o jego śledztwie. Jednocześnie próbowała skierować podejrzenia Maksa na swego męża. Co nawet jej się udało.

A jednak widok kobiety stojącej z wyciągniętymi rękami zrobił na nim ogromne wrażenie. Zaczęła śpiewać. Cała jej postać emanowała miłością. Do tego, co przyjmowała, co przez nią płynęło. Do promieni słońca, które ją ogrzewały, i do mgły, która spowijała ją niczym cieniutki jedwab. Do lasu i wszystkich jego stworzeń. Do wody i źródła, które nigdy nie przestawało wypływać z głębi. Stojąc tak w prześwietlonej słońcem mgłę, przypominała boginię.

Mimo to Max nie zapominał o tym, że pod średniowiecznymi okryciami kryją się ludzie odpowiedzialni za trzy zabójstwa. To oni odebrali życie Knutowi. Detektyw wsunął pistolet za pasek spodni i zasłonił rękojeść swetrem.

Pieśń ucichła. Åse powoli opuściła ręce i stała z pochyloną głową przed Frejem. Mgła zgęstniała tak bardzo, że dolna część jej ciała była ledwie widoczna, podobnie jak ciemny drewniany posąg.

Nagle jakby usiadła. I prawie natychmiast wstała. Co takiego zrobiła? Max wpatrywał się w nią, aż szczypały go oczy. Coś się zmieniło. Szarość okrywała ją jedynie od głowy do pasa. Niżej Åse była bielsza niż otaczająca ją mgła.

Uniosła szatę, a pod spodem była naga!

W tej samej chwili uświadomił sobie, co teraz nastąpi. Ukucnęła, otaczając udami wizerunek bożka. Nie dało się określić, czy dotknęła fallusa, ale na to wyglądało. Wkrótce zaczęła poruszać się jak podczas stosunku z mężczyzną. Najpierw powoli i ostrożnie, a później, gdy odnalazła rytm, prędeej.

Max zrobił sporo zdjęć rytualnego współzycia, które odbywało się na mokradle. Następnie wyjął kartę pamięci z aparatu i włożył ją do kieszeni spodni.

Ruchy Åse stawały się coraz gwałtowniejsze. Dziksze. Dzwoneczek bezustannie dzwonił. Wydała z siebie głośny dźwięk podobny do krzyku mewy, pulsujący w rytm unoszącego się podbrzusza. Coraz szybciej, aż zlał się w przeciągły, czysty krzyk, który brzmiał, jakby dobywał się z samego źródła, coraz głośniejszy, aż pękł od środka i przeszedł w gardłowy jęk. Wtedy się osunęła. Leżała jak szary garb pośrodku Obrączki Diabła.

Max przesunął wzrok na mężczyzn wśród drzew. Było ich tylko dwóch. W tej samej chwili rozległ się trzask suchej gałązki, na którą ktoś nadepnął. Odwrócił się niespokojnie, po omacku szukając pistoletu pod swetrem. Ale postać w pelerynie, celująca w niego z dubeltówki, ostrzegawczo pokręciła głową.

ROZDZIAŁ 68

ZAPOMNIAŁ OBSERWOWAĆ tamtych trzech. Tirill najwyraźniej również. Teraz będą musieli za to słono zapłacić. Stojący za nimi mężczyzna nie odezwał się słowem, trzymał tylko broń wycelowaną w ich plecy. Max nie zdążył zobaczyć jego twarzy. Gdyby wystrzelił z obu luf naraz, bez wątpienia trafiłby oboje.

Åse podeszła do dwóch towarzyszy wśród rzadko rosnących sosen. Spiczaste nakrycie głowy Freja wystawało znad trawy mokradła. Odrąbany świński łeb na kamieniu był niczym zły znak zapowiadający, co się wydarzy.

Max zerknął z ukosa na Tirill, bladą i poważną. Nie potrafił odgadnąć jej myśli. Powinna była go posłuchać i przerwać zabawę, zanim stała się groźna. Teraz jednak było za późno. Mogła jedynie prosić Boga, aby pozwolił jej znów ujrzeć synka.

Wreszcie, kiedy – jak mniemał – postawił swoje ostatnie kroki, dotarli na miejsce. Mężczyzna, który ich pojmał, oddał strzelbę jednemu z pozostałych, a sam zatrzymał pistolet Knuta Abrahamsena. Wszyscy stali z lekko pochylonymi głowami w mocno nasuniętych kapturach.

Zaledwie kilka metrów dalej leżał czarny worek na śmieci, w którym wcześniej trzymali świński łeb. I jeszcze coś ukrytego pod kocem. Pewnie plecak, który niósł jeden z nich.

– Cześć, Åse – odezwał się Max.

Tirill rzuciła na niego zdziwione spojrzenie.

Åse Enger Thue odsunęła kaptur, a dzwoneczek na małym palcu wydał delikatny dźwięk. Ujrzał tę samą twarz, w której prawie się zakochał, która jednak teraz wyglądała zupełnie inaczej. Coś mu przypominała, ale nie wiedział co. Miała puste obce spojrzenie, jak gdyby była nieobecna. Nawet spoglądając jej prosto w oczy, nie nawiązał z nią kontaktu. Zdawała się patrzeć w głąb siebie zamiast na niego.

Jej wzrok przestraszył go bardziej niż broń skierowana w nich z dwóch stron.

– No, no... – powiedział mężczyzna z dubeltówką, zdejmując kaptur.

Błysk, który zwykle gościł w oczach Johanna Lioma, zastąpiła śmiertelna powaga.

– Zjawiacie się jak na zawołanie.

Pozostałe postacie również zsunęły kaptury. Stali przed nimi Lars i Gunstein Liomowie. Syn i ojciec Johanna.

– Johannes... – stęknęła Tirill.

– Co to w ogóle za medalion? – zapytał. – Nosisz w nim coś?

– Co? – szepnęła.

– Myślisz, że tamtej nocy nie wiedziałem o twojej obecności? W kościele. Byłaś taka przestraszona, że usłyszałem twój oddech. W każdym razie czyjś oddech. W tamtym momencie dopadły mnie wątpliwości, co dalej robić. Ale poszczęściło mi się. Na podłodze leżał medalion. Rozpoznałem go. Wtedy pojąłem, kto kryje się w pobliżu. Jednak zrozumiałem coś jeszcze – że nigdy się nie poddadacie. Pomyślałem, że skoro dotarliście aż do mnicha, niedługo odkryjecie też krąg. Tak się też, jak widać, stało. Ustaliliśmy więc, że najlepiej będzie odprawić rytuał jak zwykle, a potem wyłowić was jak ryby, które połknęły haczyk, kiedy Åse zjednoczy niebo i ziemię. Z doświadczenia wiem, że trudno jest wtedy skoncentrować się na czymś innym.

Teraz Max zrozumiał, dlaczego myślał, że gdzieś już widział starego Gunsteina. Mężczyzna był podobny do Jørgena Hommego. I jego syna Jona. Ten sam nos i krzaczaste brwi. Do tego coś w spojrzeniu. Nagle przypomniał sobie słowa Tellewa Sustugu. Knut miał rozmawiać z synem Jørgena Hommego, kiedy opuszczał Tellewa w swój ostatni wieczór.

Popatrzył na Gunsteina Lioma.

– Jesteś synem Jørgena Hommego – rzekł.

Starzec lekko się uśmiechnął. Na twarzy miał wymalowaną dumę.

– To na tym to wszystko polega, prawda? Sekret rodziny Homme? Przeszedł ze starego komendanta na ciebie, Gunsteina, i dalej na twoich potomków. W waszych żyłach płynie krew rodu

Homme. Prawie dwadzieścia lat minęło od ślubu Jørgena i jego żony do narodzin Jona. W międzyczasie Jørgen musiał splodzić ciebie poza małżeństwem, a później we wszystko cię wtajemniczyć. Może obiecał ci też gospodarstwo. Jon pewnie nic o tym nie wie, biedaczek.

W trawie mokradła siedział Frej ze skrzyżowanymi nogami, w dziwnym nakryciu głowy.

Max wskazał głową posąg.

– Co z tego macie?

– Co mamy...? – Johannes poluzował pas trzymający pelerynę. Pod spodem miał zwyczajne ubrania, a z kieszeni spodni wystawały kajdanki. – Czy to już nie do pomyślenia, że robi się coś z nieegoistycznych pobudek, z pragnienia samorealizacji? Do tego doszło? Od niepamiętnych czasów – pewnie odkąd chrześcijanie przepędzili nas znad Eidsborgtjørni – to mokradło stanowi miejsce spotkania nieba i ziemi. Pierwiastka męskiego i kobiecego. W przeciwieństwie do mętnej gadki o ciele Chrystusa i śmierci za nasze grzechy to jest szczerą prawdą. Namacalna prawda. To dzięki temu spotkaniu dalej trwa świat. Tu nie panuje żaden karzący bóg ani dziwaczne reguły życia ze środkowowschodniej pustyni. Jedynie to, co każdego dnia widzimy wokół. Rosnąca trawa, płynąca woda. Ryby w wodzie i renifery w górach. Macica przyjmująca nasienie. Ciało, które gnije i zmienia się w glebę. Dowód na spójność świata. Frej ucieleśnia cały świat. Chrystus ucieleśnia wyłącznie ludzkie zagubienie i upadek. Ten rytuał nie odbywa się tylko w noc świętojańską. Również z okazji ślubów i narodzin dzieci. Polowań, a szczególnie przed nimi. Zawsze, gdy dzieje się coś związanego z płodnością lub urodzajem. Gdyby odprowadzono go tylko w noc świętojańską, nie powstałby aż tak wyraźny krąg. Chodzimy tutaj od ponad tysiąca lat.

– Ale jeżeli chodzi o płodność, to co ona tu robi? – zapytał Max złośliwie.

Åse uprzedziła Johannesą.

– Trzeba brać, co się ma – powiedziała. – Nawet takie stare skażone zwierzę jak ja. Gdybyś tylko wiedział, jak to jest pieprzyć się z całym światem. Czuć w sobie wytrysk słońca i deszczu. Ale oczywiście tego nie wiesz. Twoje wykonanie nie było na takim poziomie, delikatnie mówiąc. Chociaż myślałeś, że byłeś naprawdę dobry, co? Potrafię udawać.

Stary Gunstein ordynarnie się zaśmiał.

– Więc rok temu w noc świętojańską nie byłaś u swojej siostry w Skien? – chciał wiedzieć Max.

– W sumie to byłam. Opiekowałam się jej psem, gdy ona robiła zakupy w Londynie. Wskoczyłam jedynie na krótko, wieczorem. Jak zawsze w wigilię świętego Jana.

– A scena u ciebie w domu była oczywiście tylko grą? Pretensje, że czujesz się wykorzystana?

– Henrik wyznał, że musi mi coś powiedzieć. Wtedy usłyszałam opowieść o prywatnym detektywie badającym sprawę Cecilie. Boże, wiedziałam przecież, kim jesteś, kiedy spotkałam cię po raz pierwszy. Johannes zadzwonił, gdy tylko zjawiłeś się w Eidsborgu. Głupi Henrik sądził, że to wszystko dla mnie nowość. Ale zaskoczył mnie mówiąc, co powiedział ci podczas twojego przesłuchania. Że Cecilie przyszła do mnie i przyznała się do ciąży. Zrozumiałam, że w twoich oczach czyni mnie to podejrzaną. Więc musiałam jakoś uniknąć podejrzeń. Stąd ta cała awantura, gdzie niby z tobą skończyłam. Dobra byłam, co?

Mówiła beznamiętnym tonem, z wciąż nieobecny spojrzeniem.

– Co waszym zdaniem by się stało, gdybyście to przerwali? – odezwała się Tirill. – Nastalby koniec świata?

Max zwrócił uwagę na całkowite opanowanie w jej głosie.

– Nie, stałoby się coś dużo gorszego – odpowiedział Johannes. – Zawiedlibyśmy. Bylibyśmy najślabszym ogniwem łańcucha, tak długiego, że ginie w mrokach przeszłości. Nikt z tych, którzy chodzili tędy przed nami, nie zawiódł. Nikt. W przeciwnym razie nie stalibyśmy tu dzisiaj.

– I właśnie przez to zginął Knut? – zapytał Max.

– Zginął, ponieważ zginęła Cecilie. A jak myślisz, dlaczego zginęła Cecilie? Ponieważ zginął Peter. Wszystko zaczęło się od Petera Schrama. W jakiś sposób udało mu się wydedukować, że coś odbywa się tutaj w wigilię świętego Jana. Pewnie przez tę przeklętą książkę pastora Witzøe, w której wspomina o kręgu. Układanka musiała być dość skomplikowana, ale ostatecznie Schram dopasował

wystarczającą ilość elementów, by postanowić spędzić tu noc, dokładnie jak wy. Nawet w tym samym miejscu. Wszystko to mogło się dla nas źle skończyć, lecz uratował nas wschód słońca. Pierwsze promienie padające na wzgórze. To ja go zobaczyłem. Przez krótką chwilę, ale wystarczyło. Z siekierą w rękę zakradłem się na górę. Na mokradle mama dosiadła Freja. Zawsze całkiem zdejmowała szatę. Mówiła, że tak lubi najbardziej, czuć rosę i wiatr na ciele. A na pagórku leżał ten długowłose okularnik, jedną ręką trzymając lornetkę, a drugą gmerając w spodniach. Co, twoim zdaniem, miałem zrobić? Grzecznie poczekać, aż skończy? Istniało tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Rozłupałem mu głowę siekierą. Schram nie zdążył się nawet odwrócić. Ciało wepchnęliśmy później do źródła. Facet nadal miał erekcję. Matka nieźle się z tego uśmieła.

Johannes wyszczerzył się, jakby właśnie opowiedział zabawną anegdotę.

– A Cecilie? – zapytał Max.

– Nie byłem całkiem szczery, gdy powiedziałem, że rozmawialiśmy tylko o sprawach naukowych – odparł Johannes. – Szybko zrozumiałem, że wpadła na jakiś trop. A w Eidsborgu niewiele jest do wytropienia, z wyjątkiem nas. Więc stopniowo, podstępem udało mi się zdobyć jej zaufanie. Cecilie nabrała pewności, że sprawa musi dotyczyć rodu Homme, bo tylko on przetrwał tutaj od średniowiecza. Słusznie myślała, ale oczywiście nie miała pojęcia, że ja również należę do rodu. Z czasem przedstawiła mi swoją teorię o bałwochwalstwie, jak to określała. Może nie uwierzysz, ale zapytała mnie nawet, czy nie udam się z nią tutaj tej nocy. Chętnie przystałem na jej propozycję. Na miejscu spotkaliśmy pozostałą część rodziny.

Åse Enger Thue zaśmiała się pogardliwie.

– Zdębiała, gdy mnie zobaczyła. „Miło cię znów widzieć” – powiedziałam. Jeszcze nie tak dawno chwaliła się, że jest w ciąży z Henrikiem. Zaniósła się płaczem, zrobiła scenę. Usiłowała powoływać się na rzekomo łączącą nas siostrzaną więź. Z miernym skutkiem. „Szkoda dziecka – powiedziałam – ale macierzyństwo nie jest prawem człowieka”.

– Wtedy zaczęła gadać o rytuale – podjął wątek Johannes. – O tym, co jej zdaniem się tutaj działo. Zresztą nie była daleka od prawdy. „Kultywujecie unikalną tradycję – mówiła. – Szanuję to. Nikomu o tym nie powiem”. „W takim razie poznasz jeszcze jedną tradycję” – odparłem. Wtedy wszyscy ją zadźgaliśmy. Już wcześniej podjęliśmy taką decyzję. Że wszyscy wezmą w tym udział. Skończyła w źródle, tak samo jak Peter Schram.

Max poczuł ból głowy. Obawiał się, że zwymiotuje.

– Sądziliśmy, że na tym się skończy – ciągnął Johannes. – Ale kiedy policjant, o którym Jørgen Homme rozpuścił plotki, nagle, trzydzieści lat po zniknięciu Schrama, zadzwonił do drzwi, wiedzieliśmy, że grunt pali się nam pod nogami. Ale dopadliśmy go dopiero, gdy zdradził, że wie, kto jest ojcem taty. Chciał się chyba powymądrzać, napędzić nam stracha. Udało mu się i to był błąd. Skoro dotarł tak daleko, mógł powiązać jedno z drugim. A nie był przecież studentem, tylko ekspolicjantem. Utopiliśmy go w zlewie. Zamiast wyrzucić ciało do źródła, co oznaczałoby kolejne tajemnicze zaginięcie w Eidsborgu, w nocy wepchnęliśmy je do rzeki.

– Ubrani w szaty... – mruknął Max.

– Tak, na wypadek, gdyby nas ktoś zobaczył. Uznaliśmy, że ewentualni świadkowie nie pójdą na policję z informacją, że z utonięciem mógł mieć związek duch z kościoła.

– A co z kluczami? Dlaczego wyrzuciliście je do rzeki?

– Po prostu zapomnieliśmy mu je włożyć do kieszeni. Ostatecznie ustaliliśmy, że otwarty samochód, z portfelem i kluczami w środku, wzbudzi większe podejrzenia niż kluczyki w rzece. To normalne zamykać za sobą drzwi. Taki ludzki odruch. Nawet gdy chce się wskoczyć do rzeki. Więc wyrzuciłem kluczyki z mostu.

– Ktoś cię widział – powiedział Max.

– Kto?

– Niech ta osoba pozostanie anonimowa.

– No cóż. Dosyć gadania! – zarządził Johannes i poprawił kajdanki, które wypadały mu z kieszeni. Następnie pomachał bronią. – Teraz rozprawimy się z wami raz na zawsze.

Max wciągnął powietrze przez nos. Pachniało ściółką i zimnym mokradłem. Oraz czymś jeszcze, jakby przyprawą. Rozpoznawał woń, ale nie potrafił jej nazwać. Może to woskownica? Drżał, ale nie tylko ze strachu. Noce były jasne i łagodne, a dni gotowały się w ciepłe prawie niezachodzącego słońca, jednak o brzasku zawsze panował szczególny, dojmujący chłód.

Wszystko to rozpoznawał. Nareszcie wrócił do domu również zmysłami, ale było za późno. Wszystko za późno.

Lars Liom sprawdził, czy pistolet jest odbezpieczony, i wycelował go w Tirill. W tej samej chwili Åse odwróciła się i podbiegła do tobołu, który jedno z nich niosło na plecach, a który nadal leżał schowany pod kocem. Dzwoneczek na palcu zadzwonił. Dźwięk przypominał odgłos niedużego ptaka. Max próbował zobaczyć, co robi, ale ona siedziała tylko odwrócona do nich plecami.

Mijały sekundy, lecz nikt się nie odzywał. Czasami rozlegało się czyste pobrzękiwanie, słyszał też, że kobieta cicho mówi.

– Wszystko w porządku? – zawołał wreszcie Johannes, nie spuszczać wzroku z Maksa. – Åse? Max miał wrażenie, że w jego głosie pojawiło się coś nowego. Czyżby... lęk?

Kiedy Åse w końcu się podniosła, dźwignęła coś ciężkiego. Przez krótką chwilę stała tyłem do nich. Nagle się odwróciła. W ramionach trzymała coś zawiniętego w szary wełniany koc. Nie uszła daleko, gdy Tirill zaczęła krzyczeć. Wtedy Max zobaczył to samo co ona. Z koca wystawała kędzierzawa chłopięca główka.

Tirill chciała podbiec do Åse, ale zdążył ją powstrzymać. Przeraziła go siła jej ciała. Jakby całe zmieniło się w mięśnie. Gdyby się wyrwała, natychmiast zastrzelono by całą ich trójkę.

Max zbliżył twarz do jej ucha i szepnął przez jej krzyk:

– Bądź zimna jak lód, Tirill. Zimna jak lód, inaczej Magnus zginie.

Chyba nikt inny nie usłyszał jego słów.

Krzyk Tirill przeszedł w ledwie słyszalny jęk, a potężną moc ciała zastąpiło drzenie. Max dalej ją obejmował, uspokajająco gładząc jej przedramiona. Musiał zdobyć broń, ale ani Johannes, ani jego syn nie stali wystarczająco blisko.

ROZDZIAŁ 69

W ODLEGŁOŚCI kilku metrów klęczała Åse Enger Thue, głaszcząc głowę nieruchomego chłopca ułożonego na kamieniu ofiarnym. Nie zabrała stamtąd świńskiego łba, który groteskowo kontrastował ze spokojną chłopięcą buzią i piżamką ze Spidermanem.

– Dostał lek nasenny – powiedział Johannes. – Nic mu nie zrobiła.

Max poczuł, jak Tirill mocniej drży w jego objęciach.

– Zimna jak lód – powtórzył szeptem, ale nie wiedział, czy go usłyszała.

– Odłóż go we wrzosy – poprosił Johannes.

Ale Åse dalej głąskała głowę Magnusa. Max słyszał, że cicho do niego mówi, jednak nie rozpoznawał słów. Miała ten sam nieobecny wyraz twarzy jak wtedy, gdy odsunęła kaptur.

Nagle uświadomił sobie, skąd zna ten widok. Åse była podobna do praprababki Tirill. Martwej kobiety ze starej fotografii, która stała wśród żywych z niewidzącym spojrzeniem. Na zdjęciu było też małe dziecko. Chłopiec, który wyciągał rączki do zmarłej matki, w nadziei, że go pocieszy, okaże mu miłość.

– Mama...? – Głosik był słaby jak ptasi pisk.

– Ma...

Max zasłonił usta Tirill, zanim zdążyła wykrzyknąć imię syna. Na dźwięk jego głosu zaczęła mu się wyrzywać.

– Tu jest mama – usłyszał wyraźnie Åse. – Taki byłeś grzeczny, na nic nie narzekałeś. Grzeczny chłopiec. Synek mamusi.

Tirill wiała się jak piskorz, próbując krzyknąć przez jego palce.

– Mama będzie cię pilnować, aż to wszystko się skończy – ciągnęła Åse przy kamieniu.

– Wystarczy! – warknął Johannes Liom. – Chodź tutaj.

Ale Åse nie wyglądała, jakby miała zamiar wykonać rozkaz.

– Zobaczysz, jak to jest stracić jedyną, najpotrzebniejszą ci osobę – zwróciła się do Tirill.

Spod szaty wyjęła długi nóż. Tirill rzuciła się jak w drgawkach, już prawie wyrwała się z uścisku Maksa.

– Åse! – krzyknął Johannes ostrzegawczo.

Posłała im spojrzenie ciemne jak źródło obok.

– Powinien być mój! – powiedziała.

Wtedy gwałtownie uniosła nóż, ale zanim dokończyła ruch, strzelba Johannesesa, dotąd wycelowana w Maksa i Tirill, przesunęła się i wypaliła prosto w jej głowę. Strzał z tak małej odległości zadziałał jak wybuch. Głowę odrzuciło na bok, a kamień i trawa mokradła pokryły się kępkami włosów, krwią i mózgiem.

Dzwoneczek kilka razy zabrzączał. Po czym nastąpiła cisza. Słyszeli tylko głośny pisk w uszach.

Max skoczył na Johannesesa i ciosem wytrącił mu broń. Razem wylądowali we wrzosach, Max na górze. Kątem oka zobaczył, że Lars celuje w niego z pistoletu. Zawahał się, chyba z powodu ojca. Max porwał dubeltówkę i na leżąco oddał ostatni strzał. Widział, jak ręka trzymająca pistolet leci w tył. Broń poszybowała łukiem, aż spadła niedaleko Gunsteina. Max zerwał się na równe nogi i zdążył go dopaść dokładnie w momencie, kiedy ten chciał chwycić pistolet.

Nadepnął dłoń starca, który wrzasnął z bólu. Wtedy Max cofnął nogę i podniósł broń. Spojrzał na leżącego, zawodzącego Gunsteina. Jego wnuk Lars był blady z przerażenia, a lewą ręką obejmował prawe przedramię.

W powietrzu rozchodził się ostry zapach. Smużka siwego dymu nadal unosiła się z dubeltówki, która leżała wśród wrzosów. Max pochylił się, by ją podnieść.

Na dźwięk rozdzierającego krzyku Tirill okręcił się wokół własnej osi z pistoletem gotowym do strzału, ale nie było sensu naciskać spustu. Johannes Liom włożył jedną rękę w kajdanki, a drugi ich koniec zatrzasnął na szyi posągu bóstwa. Bez słowa, jedynie z dziwnym wyrazem ekstazy na twarzy, wskoczył do źródła.

Max rzucił się na brzeg czarnego oczka wodnego. W toni ujrzał zarys białej twarzy. Idąc na dno, mężczyzna trzymał w ramionach Freja. Max nie mógł nic zrobić. Johannes Liom i jego bóg tonęli. Chwilę później obu pochłonął wieczny mrok otchłani.

EPILOG

ZGASIŁ LATARKE, a wokół niego znów zapadła ciemność – całkowita, niczym niezmacona, ale, co dziwne, wcale się nie bał. Strach towarzyszył mu za to, kiedy otwierał drzwi kościoła kluczem, który zgodnie z umową dostał od pozostałych przy życiu Liomów. Gdy drzwi skrzypnęły, ogarnęło go nieprzyjemne uczucie i już chciał się wycofać. Jeszcze gorzej się poczuł, gdy po dłuższym manewrowaniu dziwnym narzędziem zdołał wreszcie odbezpieczyć głęboko ukryty zamek trzymający dużą deskę posadzki. Ciężki zapach stęchlizny, który wydobył się z tajemnego pomieszczenia pod kościelną podłogą, nappełnił go przerażeniem.

Ale wtedy też się nie wycofał.

Jednak w ciemności strach minął, jak gdyby nigdy nie dawał o sobie znać. Max mógł do woli włączać i wyłączać latarkę, nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia. Właściwie wołał ciemność. Pomieszczenie było tak małe, że ledwie mógł w nim usiąść. Na kamiennej posadzce niewygodnie się siedziało, a ściany pokrywały grubo ciosane deski.

To tutaj mieszkało bóstwo – od najdawniejszych czasów, jak twierdzili ocalali Liomowie. Może odkąd wybudowano kościół. Frej siedział tutaj w ciemności, w dziwnym nakryciu głowy, z erekcją, podczas gdy nad nim trwały śpiewy i modlitwy. Członkowie rodu Homme zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie, słuchali księdza. Ale wiedzieli, że stary bóg nadal istnieje, pod ich stopami. Bóg, który był tutaj pierwszy, zanim jego świątynię zastąpiono kościołem.

Jakby to miejsce stanowiło bezwarunkową własność bóstwa.

Max osiągnął swój cel. Poznał prawdę o tym, co się stało z Knutem Abrahamsenem. Jednak nie miał powodów do zadowolenia. Pod zamkniętymi powiekami ciągle widział, jak Åse otrzymuje strzał w głowę. Może ten obraz nigdy nie przestanie go prześladować.

Tycho Abrahamsen z matką byli mu wdzięczni. Podobnie jak rodzice Cecilie i wdowa po Peterze Schramie. Max zwrócił Tychonowi pistolet. Mimo wszystko należał do jego ojca.

Lars i Gunstein Liomowie bezwarunkowo przyznali się do winy. Gunstein do wszystkich trzech zabójstw, Lars do dwóch ostatnich. Była to część ich umowy, dzięki której Max otrzymał klucz do kościoła oraz urządzenie, którego używali do otwierania podłogi. Po swojej wizycie miał się pozbyć obu przedmiotów. Razem z Tirill obiecał im, że nigdy nie wyjawia informacji o dawnym kulcie ani nie opublikują zapisanych na karcie pamięci zdjęć z rytuału. Przeciwnie, Max i Tirill mieli zniszczyć kartę po zakończeniu procesu i wymierzeniu kary Larsowi i Gunsteinowi. Zamierzali dotrzymać tej obietnicy.

Porwanie czteroletniego chłopca z domu jego babci w Bø oraz zabójstwo i samobójstwo, które nastąpiły później, przedstawiono w mediach jako wydarzenia niezwiązane z morderstwami, do których wcześniej przyznali się Liomowie. Åse Enger Thue, porywając Magnusa, przejawiała objawy poważnego niezrównoważenia psychicznego, o czym nie wiedział Johannes Liom. Byli kochankami, ale Johannes zastrzelił Åse, kiedy zrozumiał, że kobieta chce zabić dziecko. Następnie odebrał sobie życie.

Jeżeli chodzi o morderstwa, Lars i Gunstein zeznali, że do pierwszego z nich doszło, ponieważ Peter Schram natknął się na zbiór cennych złodziejskich łupów ukrytych przez Jørgena Hommego, a przeznaczonych dla jego syna z nieprawego łoża. Wyjaśnienie brzmiało wiarygodnie, ponieważ wielu mieszkańców Eidsborga znało plotki o tym, że stary komendant okradał przestępców. Dwa pozostałe zabójstwa popełniono, aby zapobiec wykryciu sprawców pierwszego.

Sprawę mocno nagłośniły media. Jednak szum byłby nieporównywalnie większy, gdyby wyszedł na jaw tysiącletni kult Freja.

Na polecenie policji źródło miał przeszukać nurek, który jednak szybko wrócił na powierzchnię, twierdząc, że przebywanie tam jest zbyt niebezpieczne. Później próbowano używać rozmaitych drągów i haków. Zanurzono w wodzie kamerę, również bez skutku. W głębi prawdopodobnie płynęła podziemna rzeka, porywająca wszystko, co wpadło do źródła.

Max zapalił latarkę i wyjął z kieszeni spodni przedmiot. Starą klamrę, którą znaleźli w Obrączce Diabła. Postanowił, że zostawi ją tutaj. Nie istniało chyba odpowiedniejsze miejsce. Jej właściciel z pewnością czcił Freja, a właśnie w tym pomieszczeniu przechowywano posąg bóstwa. Dlatego Max

czuł, że postępuje właściwie, odkładając kłamrę na kamienną podłogę.
Wtedy wyłączył latarkę, by po raz ostatni poczuć prastary mrok.

POSŁOWIE AUTORA

DROGI CZYTELNIKU,

o ile nam wiadomo, kult Nikulsa z kościoła słupowego w Eidsborgu wyglądał dokładnie tak, jak opisano w książce. Również rekonstrukcja historyczna rytuału miała miejsce w rzeczywistości. Natomiast w kwestii posągu świętego pozwoliłem sobie na twórczą inwencję. Figura, którą obecnie można podziwiać w kościele słupowym w Eidsborgu, jest kopią. Średniowieczny oryginał znajduje się w muzeum Uniwersytetu w Oslo. Dla dobra fabuły zdecydowałem się zmienić w książce ten szczegół i umieścić w kościele oryginalny posąg.

Z wyjątkiem tej modyfikacji kościół słupowy w Eidsborgu został przedstawiony tak, jak obecnie prezentuje się odwiedzającym. A naprawdę wart jest odwiedzin, podobnie jak pobliskie muzeum, gdzie można między innymi przyrzeć się bóstwom domowym, co również zostało opisane w książce.

Chociaż posąg Nikulsa jest tylko kopią, niewykluczone, że to się zmieni. Mieszkańcy Eidsborga już kilkakrotnie podejmowali próby odzyskania świętego z Oslo. I pewnie szybko nie dadzą za wygraną.

Bø w okręgu Telemark, *kwiecień 2015 r.*,

Vidar Sundstøl

PRZYPISY

- [1] Biblia Warszawska, Jon 2,1.
- [2] Biblia Warszawska, Jon 2,9.